

Biblioteka
UMK
Toruń

026625/
1946

026625/
1946

PAMIETNIK LITERACKI

VII

FRYBURG · SZWAJCARIA
STYCZEŃ · MARZEC
1946

POLOGNE 1919-1939

Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne
w języku francuskim, obrazujące całokształt
dorobku Polski w okresie 20-lecia.

Całość Wydawnictwa obejmuje 3 tomy
przy współpracy z górną 100 autorów.
Objętość każdego z tomów 500-700 stron.
Wielka ilość map i wykresów.

TOM I : ŻYCIE POLITYCZNE I SPOŁECZNE 24 Fr.

*Historia, Zagadnienia prawne, Polityka społeczna, Polacy za granicą,
Wyznania, Mniejszości Narodowe, Obrona Narodowa.*

TOM II : ŻYCIE GOSPODARCZE 24 Fr.

*Opis geograficzny, Surowce, Opis demograficzny, Rolnictwo, Przemysł,
Handel, Inwestycje publiczne, Finanse.*

TOM III : ŻYCIE KULTURALNE (w druku)

*Literatura, Szkolnictwo, Nauka, Sztuka, Inne dziedziny życia kultural-
nego.*

Nakładem Domu Wydawniczego

LA BACONNIÈRE · BOUDRY (Neuchâtel) SZWAJCARIA

Przedpłata :

Całość (trzy tomy) : 50. — Fr szwaj.

Nr. konta czekowego : $\left\{ \begin{array}{l} \text{Neuchâtel IV. 1226} \\ \text{Lyon 1313-61} \end{array} \right.$

Wpłat dokonać można :

w Szwajcarii :

- a) czekiem pocztowym na konto IV.1226 (La Baconnière, Boudry),
- b) czekiem bankowym.

Za granicą :

- a) czekiem bankowym,
- b) akredytywą,
- c) wpłatą przez urząd kompensacyjny (z równ. zawiad. telegr.) dla krajów posiadających clearing ze Szwajcarią.

Pamiętnik Literacki

Wydano staraniem

BRATNIEJ POMOCY POLSKIEGO OŚRODKA
UNIWERSYTECKIEGO WE FRYBURGU

KOMITET REDAKCYJNY :

Przewodniczący : DR ALEXANDER CZESŁAW MELEŃ

Członkowie : EUGENIUSZ LUKAS

PROF. DR KONSTANTY REGAMEY

MIECZYŚLAW SANGOWICZ

Sekretarz : ZBIGNIEW J. MAŁECKI

Ogłoszenie artykułu w « Pamiętniku Literackim » nie oznacza, że Redakcja podziela poglądy jego autora. Wszystkie prace zamieszczone w Pamiętniku są wyrazem zapatrywań osobistych ich autorów. Redakcja uważa za wskazane dać możność swobodnej wymiany poglądów, stawiając jedynie wymogi odnośnie poziomu intelektualnego samych wypowiedzi i ich zgodności z uczciwą troską o dobro Narodu Polskiego.

Wydawca :

Dr ERNST EIGENMANN, Berne — Compte de chèques postaux III 18825 Berne.

Redakcja i Administracja :

Fribourg 2 (Suisse), Case postale 14.

PAMIETNIK LITERACKI

VII

FRYBURG · SZWAJCARIA

STYCZEŃ · MARZEC

1946

SPIS RZECZY :

ALEKSANDER KORCZYŃSKI :	<i>Drogowskazy</i>	5
JERZY BRZOWSKI :	<i>W listopad siódmy.</i>	8
KONSTANTY REGAMEY :	<i>Stanisław Ignacy Witkiewicz</i>	9
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>« Chrystos wskres ».</i>	20
JERZY BRZOWSKI :	<i>Z Xiegi Apokalipsy</i>	21
CHARLES JOURNET :	<i>Warszawa czyli trzecia wojna światowa</i> .	22
KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI :	<i>Pieśń o fladze.</i>	29
JERZY BRZOWSKI :	<i>Kolęda Królowej Korony Polskiej.</i> . . .	31
JERZY GAJEWSKI :	<i>Testament 1945.</i>	32
WŁADYSŁAW ŁUCZAK :	<i>Wigilia.</i>	33
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Rozmowa z przyjacielem</i>	34
ZYGMUNT RAWITA GAWROŃSKI :	<i>Izolacja jako motyw konstrukcyjny.</i> . . .	35
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Więzienny erotyk</i>	44
ZYGMUNT NOWAKOWSKI :	<i>Jeśli wlażeś między wrony.</i>	45
JANUSZ RAKOWSKI :	<i>Wczoraj i dziś reformy rolnej w Polsce</i> .	57
WŁADYSŁAW ŁUCZAK :	<i>Gwiazdy betleemskie</i>	79
MICHAŁ TROSTIANSKY :	<i>Oświata publiczna w Z. S. S. R.</i>	80
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Nasza kolęda</i>	86
WŁADYSŁAW ŁUCZAK :	<i>Śnieg</i>	87
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Wędrowka</i>	87
WŁADYSŁAW ŁUCZAK :	<i>Nowy Rok</i>	88
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Kuszenie.</i>	88
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Więzienne godziny.</i>	89
BRONISŁAW MIAZGOWSKI :	<i>Śmierć Karlika</i>	90
LEON CHRZANOWSKI :	<i>Panna Antonina</i>	95
<i>Notatnik bibliograficzny.</i>		103

026625



W. 1500/68

DROGOWSKAZY

Przemówienie wygłoszone dnia 11 listopada 1945 roku w Genewie i Fryburgu.

W przeraźliwym blasku nieszczęścia szukać nam dziś trzeba jedynie najgłówniejszych prawd życia naszego narodu, wzrok winniśmy kierować na odwieczne drogowskazy naszych dziejów. W perspektywie wieków i w perspektywie ciężących wiekami ubiegłych lat sześciu zatracają kolejne rocznice swe drugorzędne szczegóły historyczne — pozostaje jedynie ich najgłębszy, najprawdziwszy sens. I wtedy, choć przypominają one związane z nimi zmienne zewnętrzne fakty, w rzeczywistości stają się jakby drogowskazami — drogowskazami, co wprowadzie w różnych miejscach tej samej drogi są rozmieszczone, ale wskazują zawsze jeden i ten sam kierunek. Jeden i ten sam najwyższy, najważniejszy, najgłówniejszy cel!

W ciągu wieków dziejowych zmagañ naród nasz wykształcił swój własny charakter i stworzył swoją własną ideę zbiorowego życia tak samo, jak wykształcił swój język, czy obyczaje. I dziś Polska to nie tylko ziemia i jej mieszkańcy, ale również, a raczej przede wszystkim, to nasz własny, indywidualny charakter narodowy i nasza własna koncepcja życia zbiorowego. One to stanowią istotny rdzeń i sens naszego bytu dziejowego! Z nimi to wiążą się prawdy najgłębsze dziejów naszych! Jak kamienie przy drodze zapyłonej nam strudzonym, tulaczym wędrowcom, wskazują właściwy kierunek. Jedynie słuszny, zawsze od wieków niezmienny...

Jakież to prawdy niezmienne, wieczne, Nemezis naszych dziejów na tablicy drogowskazów wypisała i wiedzie nas nimi poprzez zawieruchy największe naszego narodowego istnienia?

Przez wieki swego niepodległego bytu państwowego Naród Polski wytworzył w sobie gorące, namiętne, bezpamiętne niemal umiłowanie wolności! Uczynił z wolności — z wolności narodu i wolności człowieka, wolności obywatela — najwyższy, najdroższy i sercu najbliższy ideał. Historia nasza nie zna prześladowań religijnych ani politycznych, nie zna tortur ani stosów inkwizycyjnych, nie zna samodzierców, na których skinienie zapelniano by turmy więzienne. Kiedy w klasycznym dziś kraju demokracji — we Francji — wolność człowieka

zależała od kaprysu jedynowładczych Ludwików lub ich równie despotycznych ministrów-kardynałów; kiedy w klasycznym dziś kraju wolności — w Anglii na skinienie tyrańskich pomazańców spadały pod toporem kata głowy najwyższych dygnitarzy państwa — wtedy już Polska Rzeczpospolita Narodów przygarniała pod swe opiekuńcze skrzydła otaczające ją narody, co u Niej szukały obrony dla swego życia narodowego, co Jej pomocy wzywały w walce o wolność.

A później walka o wolność stała się na wiek przeszło najgłębszym sensem życia Narodu, który nie szczędził krwi ofiarnej najlepszych swych synów, aby ją odzyskać.

A jeszcze później, w myśl odwiecznej naszej dziejowej maksymy « za naszą wolność i waszą », sami wolność odzyskawszy, nie pozostaliśmy głusi na wołanie o pomoc w walce o wolność braci naszych z nad Dźwiny i Dniepru...

I w tragicznym wrześniu 1939 roku przyjęliśmy wszyscy bez wahania walkę o wolność i niepodległość. Walkę nierówną, która pochłonęła jedną piątą bezmałą żywego ciała Narodu...

I to jest dziejów naszych prawda pierwsza!

Od zarania swego życia zbiorowego Naród nasz związał je z ideą chrześcijaństwa i z kulturą, jaką ono wytworzyło. Rychło bardzo przestaliśmy być jedynie konsumentami tej kultury, a wnosić poczęliśmy coraz większy własny przyczyniek do wspólnego jej dorobku.

Tej kultury i idei, co wartości duchowe i prawa moralne wynosi na szczyty, a walczy z kultem siły materialnej, zwierzęcej, fizycznej przewagi, pragnącej zamknąć jednostkę ludzką w koszarach niewolniczego przymusu i bezdusznego posłuszeństwa.

Tej kultury i tej idei, co odrzuca wszechwładzę państwa-molocha, państwa-absolutu, które podporządkowuje życie ludzi swym własnym, oderwanym celom.

Tej kultury, tej idei, która organizację państwa chce oprzeć o człowieka. O poszanowanie jego osobowości i o jego najwyższe, duchowe wartości.

I to jest dziejów naszych prawda druga!

I nakoniec, również poprzez wieki naszego życia, wytworzyliśmy w sobie jako naród, umiłowanie wartości duchowych ponad korzyści materialne, a gdy trzeba — wbrew nim. Bez względu na cenę. Przywiązywanie większej znacznie wagi do czynników irracjonalnych, niż do rozsądkowych kalkulacji, stało się jedną z najgłębszych cech naszego narodowego charakteru.

Zmagania nasze z końca XVIII i początku XIX wieku były dziełem wielu ludzi świątłych i mądrych, którzy Polsce życie całe w żmudnej pracy poświęcili. Ale Naród wniósł do « narodowego pamiątek kościoła » na wieczny spoczynek w wawelskim panteonie prochy ks. Józefa, co i życiem swym i śmiercią uosobił Jego umiłowanie imponderabiliów!

Gdy inne społeczeństwa zapobiegliwością i wieloletnią mrówczą pracą zdobywały to czym się i dziś właśnie szczyca: piękne wstęgi asfaltowych szos i zawrotny procent pokrycia złotem banknotów — my w tym samym czasie daliśmy światu Szopena i Curie-Skłodowską...

Gdy inni liczą teraz uporczywie miliony strat materialnych tej wojny — my, ludzi, co odeszli, oplakujemy i z niepokojem szukamy zagubionych dzieł sztuki i książek-białych kruków...

Nieraz od obcych, ostatnio jakże często i od swoich, słyszeliśmy słowa krytyki surowej pod adresem tej polskiej romantycznej duszy. Zarzuty braku realizmu. I wielu widzieć dziś dla nas pragnie, w tej chwili tragicznie ciężkiej, drogę jedynie właściwą w pozytywnej pracy codziennego budowania, pomnażania ekonomicznych wartości, mierząc lekko z zamiary wedle sił. Sił materialnych. Ale tkwi w tym podwójny błąd. Błąd dlatego, że taki, a nie inny, jest nasz narodowy charakter, wykształcony poprzez wieki, i chcieć go dziś doraźnie, sztucznie zmienić jest tym samym, co chcieć zmienić przemocą język, a naukową doktryną obyczaje narodu. Naród, któryby zmiany takiej stał się ofiarą, stałby się innym narodem, o ile w ogóle jakimkolwiek narodem mógłby być potem nazwany: stałby się raczej bezbarwną, zobojętniałą masą, statystyczną cyfrą mieszkańców, mniejsza o to jak nazwanej i czyjej prowincji. Błąd dlatego, że dzięki tej właśnie cesze naszego charakteru przetrwaliśmy lata niewoli już kiedyś, zachowując przez to swe własne oblicze i swoją własną ideę zbiorowego życia. Ta właśnie, a nie inna, cecha charakteru pozwoliła nam trwać i walczyć wbrew wszelkiemu rozsądkowi z przeważającą siłą materialną, aby zakończyć tę walkę 11 listopada 1918 roku. Ta właśnie cecha charakteru pozwoliła nam odzyskać niepodległość. Zmiana — choćby ewolucyjna — tej naszej romantycznej duszy polskiej pozwoli Polakom (jeśli nimi wtedy jeszcze będą) zapewne trwać biologicznie, da im może nawet dobrobyt materialny kiedyś w dalekiej perspektywie. Ale pozbawi nas radykalnie chęci i zdolności do walki o wolność i niepodległość nawet na przekór wszystkiemu, co rozsądny pozytywizm nieraz, być może, jeszcze za « tabu » uznać skłonny będzie. Pozbawi więc nas niepodległości. Pozbawi nas wolności.

To jest dziejów naszych prawda trzecia!

I dlatego tym, co dziś mówią: « Dość mocarstwowych, romantycznych mrzonek! Dziś czas na pozytywną szarą pracę. Dość wielkich słów o godności i honorze narodu! Dziś czas na sprytną grę. » odpowiedzieć należy: Spójrzycie na odwieczne drogowskazy naszych dziejów!

Spójrzycie na znaki co od tysiąca lat Naród Polski prowadzą!

I na nich wyczytacie, że nie dziś czas dla nas na codzienną tylko spokojną pracę. I nie znajdziecie na nich wskazania, aby o zagrożony był nasz niepodległy starczyło dziś, czy kiedykolwiek, po kupiecku — najsprytniejszą choćby — prowadzić grę.

W chwilach najcięższych Naród Polski zawsze nieomylnym instynktem

wiedziony odnajdywał swe odwieczne drogowskazy i, gdy w rozterce rozum mógł zbłądzić, w imponowalności odpowiedzi właściwej szukał!

I dziś tedy tak, jak przed sześciu laty, jedyną w nich odpowiedź dla siebie znajdziemy: « Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, napewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna: tą rzeczą jest honor... »

ALEKSANDER KORCZYŃSKI.

W LISTOPAD SIÓDMY

Listopad dla Polaków — niebezpieczna pora :
Inni — zwykli są drętwieć w jesienne przymrozki,
Zwykli łapę ssać, drzemać w zatęchłych śpiworach,
Zwiądłe uszy rozsądnie zalepiając woskiem — —

My — właśnie w listopadzie (« fantazja »?... « przekora »?...)
Wierzmy, najżarliwiej, w wiosnę... z łaski boskiej — —
I, wędrując po lasach, wędrując po borach,
Z ziemi obcej do polskiej, czy z polskiej do... włoskiej,
Słuchamy, czy już szumi z pod śniegów, czy rośnie
Nie wiem : wiosna — Ojczyźnie, czy Ojczyzna — w wiosnie?...

Niechże jej kto chce szuka w ściennych kalendarzach,
Niech mu świtów godzinę chronometr wybiera,
Niech dni życia wycenia, wymierza, wyważa,
I, paktując — po kursie z ceduły giełdźiarza —
O Ojczyznę, na srebrnych wybitą talerach,
Przesuwa ją, jak saldo w księdze buchaltera — — —

A nasz pakt — przy polowych spisany ołtarzach,
A nasz kurs : serc, co rosna, gdy czasby umierać!
A nam, właśnie w listopad, ktoś — Wielki — wydzwania
Od lat — z śmierci jesiennej — nasz czas :
zmartwychwstania — — —

JERZY BRZOWSKI.

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

(1885-1939)

W zamęcie wydarzeń dziejowych, wśród huku bomb i jęków ofiar obozów koncentracyjnych, bez większego echa przeszły fakty, które w innych warunkach wywołały by znacznie żywszy odgłos w polskiej opinii kulturalnej. Chodzi mi mianowicie o przygnębiająco długą listę zgonów czołowych postaci kultury polskiej w latach 1939-1945. Nie można powiedzieć, by zgony te nie wywołały wstrząsającego wrażenia, nie tylko w polskiej opinii, — ale było to przerażenie ilością, masowością tych strat kulturalnych. Wobec tragizmu samej liczby ofiar tępała reakcja na poszczególne, indywidualne straty. W kraju nie było ani prasy ani warunków pozwalających na poświęcenie poszczególnym postaciom Zmarłych godnego ich omówienia pośmiertnego. A nawet piśmiennictwo emigracyjne musiało się ograniczyć raczej do podawania list ofiar, nie będąc w stanie nadążyć z omówieniem każdej ofiary z osobna. Obecnie jednak przyszedł czas, by do pewnych strat powrócić, by wielu postaciom, które już na zawsze opuściły firmament kultury polskiej, poświęcić odpowiednie do ich znaczenia omówienie, by zamknąć szczegółowy bilans ich działalności.

Do takich postaci należy Stanisław Ignacy Witkiewicz, powszechnie zwany Witkacym, który zginął śmiercią samobójczą podczas wędrówki wrześniowej 1939 roku, decydując się na ten ostateczny krok pod wpływem wiadomości o wkroczeniu wojsk rosyjskich na teren Polski. Postać dziwna i bardzo różnorodnie oceniana. Nie ulega jednak wątpliwości, iż dla pewnego okresu kultury polskiej postać bardzo ważna i istotna. Znając Witkacego bardzo dobrze osobiście i mając za sobą okres « witkacomanii », przez który przeszło tylu ludzi w Polsce, chcę się pokusić o skreślenie w tym krótkim szkicu jego sylwetki duchowej i artystycznej o tyle, o ile jest to możliwe wyłącznie na podstawie wspomnień, prawie bez pomocy dokumentacji i bez możliwości znalezienia chociażby jednej pracy Witkiewicza.

Zadanie nie jest łatwe, gdyż autor « *Tumora Mózgowicza* » był postacią zbyt oryginalną i zbyt złożoną, by — zwłaszcza teraz, gdy jeszcze za mało lat dzieli nas od chwili jego tragicznego zgonu — można było się zdobyć na obiektywną i wszechstronną ocenę. Owa złożoność i wielowarstwowość była może najcharakterystyczniejszą cechą psychiki Witkacego i niewątpliwie leży ona u źródła sprzeczności opinii wydawanych o nim za życia. Jedni uważali go za wariata, burzyciela ustalonych zasad myślowych, artystycznych,

nawet moralnych, za centrum dekadencej zarazy, za narodowego szkodnika i gorszyciela, inni znowuż widzieli w nim proroka i kodyfikatora nowej sztuki, myśliciela i artystę pierwszej klasy, nie tylko najwybitniejszego dramaturga polskiego z okresu między dwiema wojnami, lecz również pierwszego teoretyka, który potrafił stworzyć zręby ideowe sztuki awangardowej. Bynajmniej jednak nie cała awangarda artystyczna podzielała te zachwyty. Pomijając już tych, którzy jak Skamandryci lub — na drugim krańcu — futuryści, byli zbyt mocno atakowani przez Witkiewicza, by odczuwać wobec niego szczególną tkliwość, niejedni nawet z bliższych mu duchowo artystów awangardy nie mogli się pogodzić z tak w nim wciąż istotnymi pozostałościami klimatu duchowego Młodej Polski.

Ta rozbieżność poglądów cechowała nie tylko artystów i krytyków. Wśród szerszego społeczeństwa panowała w stosunku do Witkacego taka sama dezorientacja. Dla jednych — zresztą najmniej licznych — był on autorem « futurystycznych » sztuk, co szczególnie oburzało Witkiewicza, konsekwentnie i od początku walczącego z futuryzmem. Dla innych był Witkacy autorem powieści, o których pewien czytelnik wyraził się : « *Jest to mieszanina filozofii z pornografią. Filozofii nie rozumiem i opuszczam, a pornografia — owszem, dobra.* » Inni znowuż znali Witkacego jedynie przez pryzmat jego książki p. t. « *Narkotyki* » (Nikotyna, Alkohol, Kokaina, Peyotl, Morfina, Eter oraz Appendix), z niezdrową ciekawością snuli przypuszczenia na temat, jakie to jeszcze tajemnicze perwersje uprawia autor, i napróżno szukali w aptekach narkotyku pod nazwą « *appendix* ». Dla większości jednak był Witkiewicz portrecistą i każdy, nawet niejedyn z jego wrogów ideowych, miał snobistyczną przyjemność powieszenia w gabinecie portretu, gdzie jego twarz wynurzała się z kłębow węży, błyskawic i jakiejś bliżej nieokreślonej protoplazmy. Prasa « bogo-ojczyźniana » oddawna okrzyczała moralnym bolszewikiem człowieka, dla którego jednak wieść o wkroczeniu Sowieców w historię Europy stała się sygnałem do samobójstwa.

Trudno się dziwić tym sprzecznościami, skoro sam Witkiewicz zdradzał zupełną niezdolność do oceny swego własnego znaczenia. Głosząc w teorii najbardziej radykalną doktrynę formizmu i nielitościwie zwalczając w sztuce uczuciowość romantyczną, tzw. « *bebechowość* » wg. lansowanego przez niego wyrażenia — w praktyce był ostatnim mohikaninem młodo-polskiego sentymentalizmu z całym jego balastem pesymizmu, « *nagiej duszy* », « *chuci* », « *potworności istnienia* » i szukania ucieczki przed tą potwornością w alkoholu i innych narkotykach lub w sztuce pojmowanej również jako narkotyk. W twórczości malarskiej przywiązywał największą wagę do swoich kompozycji w stylu czystej formy, uważając je za swe najlepsze w ogóle dzieła artystyczne. Tymczasem ta dziedzina jego twórczości była bodajże najslabsza i kompozycje te są prawie nieznanne ; natomiast tak popularną działalność portretową uważał Witkiewicz za artystyczną prostytucję i upra-

wiał to « rzemiosło » jedynie dla zarobku. Dramaty swoje, będące niewątpliwie najbardziej oryginalnymi wytworami jego talentu, uważał jedynie za eksperymenty artystyczne i ilustrację swoich teorii estetycznych, znacznie większą wagę przywiązując do powieści pod względem czysto artystycznym właśnie słabszych od sztuk. Mając tyle powodów do zarozumiałości snobował się przede wszystkim faktem, iż był w Australii, dokąd pojechał jako sekretarz sławnego etnologa Bronisława Malinowskiego, profesora uniwersytetu w Londynie. Wysztychając wielokrotnie patriotyczne nastroje, nie zawahał się jednak porzucić tę tak go nęcącą podróż, by wziąć udział w walce o Polskę podczas poprzedniej wojny.

Ale w tych wszystkich sprzecznościach tkwiła właśnie oryginalność jego natury. Osiągnięcia jego w poszczególnych dziedzinach działalności, wzięte z osobna, nie stworzyły by mu może tego rozgłosu, jaki miał. Dopiero owe niezwykle połączenie wszystkich tych elementów naraz stworzyło z niego postać tak sugestywną i tak jedyną w swoim rodzaju. Stał się on pewnego rodzaju syntezą mentalności polskiej z pierwszego 30-lecia dwudziestego wieku, ogniskując w sobie cały niepokój, ale równocześnie i całe bogactwo myślowe i uczuciowe tego okresu.

Poto jednak, by obiektywnie ocenić jego osiągnięcia, należy rozpatrzeć każdą z dziedzin jego działalności z osobna. Należy odróżnić Witkiewicza — filozofa i teoretyka sztuki — od Witkiewicza artysty, i tu jeszcze inaczej należy podchodzić do jego malarstwa, inaczej do działalności literackiej. Mimo iż wszystkie te dziedziny w osobowości jego spletają się w organiczną, nierozdzielalną całość, rola, jaką odegrał, jest w każdej z nich odmienna.

Najcenniejszym i najoryginalniejszym wkładem Witkiewicza w kulturę polską jest jego doktryna estetyczna, teoria czystej formy. Jest to dziedzina jego twórczości, która wywarła największy wpływ. Główna teza tej teorii, iż w dziele istotna jest tylko konstrukcja formalna, a całkowicie drugorzędne są czynniki treściowe, fabularne, anegdotyczne czy uczuciowe — nie jest nowa. Nawiązuje ona do powszechnego w pierwszych dziesięcioleciach dwudziestego wieku zwrotu sztuki europejskiej w kierunku formalnym i ma znaczenie tylko jako pierwsze w Polsce bezkompromisowe wypowiedzenie hasła, propagowanego gdzie indziej już wcześniej. Nowe natomiast i oryginalne są szczegółowe rozwinięcia i sprecyzowania tej tezy. W tym względzie ścisłością myślenia i zwartością koncepcji, przemyślanej we wszystkich szczegółach i dającej się stosować do wszystkich epok a nie tylko do sztuki nowoczesnej, przewyższa Witkiewicz znacznie współczesnych sobie teoretyków formizmu polskiego jak Chwistek, Czyżewski, Konrad Winkler. Przede wszystkim jednak wyraźnie odcina się od aż nazbyt często z formizmem utożsamianego futuryzmu, propagowanego w Polsce w początkach lat dwudziestych przez Brunona Jasińskiego, Anatola Sterna i Aleksandra Wata. Bardzo trafnie podkreśla Witkiewicz, iż formizm — będący zresztą dla niego nie

jakimś kierunkiem, lecz jedynym sensownym pojmowaniem sztuki, wychodzi z założenia, iż artysta tworzy nowe konstrukcje, Czystą Formę zupełnie niezależnie od wzorów świata zewnętrznego, jest więc na drugim krańcu realizmu czy naturalizmu, co nie oznacza, iż ma za wszelką cenę unikać tematów wziętych z natury. Ale tematy te są materiałem przypadkowym i dla ukształtowania Czystej Formy nieistotnym. Jest więc właściwie obojętne czy sztuka deformuje, czy nie, rzeczywistość zewnętrzną, o ile tylko osiąga doskonałość formalno-konstrukcyjną. Futuryzm natomiast usiłuje uzasadnić swoje nowatorstwo przez twierdzenie, iż właśnie sztuka futurystyczna odtwarza prawdziwą rzeczywistość. Odwołuje się więc do pobudek zdaniem Witkiewicza nic wspólnego ze sztuką nie mających, a przy tym popełnia fałszerstwo, gdyż to co tworzy nie jest żadną rzeczywistością. Jest więc futurystyczny według Witkiewicza po prostu realizmem ze znakiem minus.

Równie ostro występuje przeciw Peiperowi, który obejmując dziedzictwo po futurystach staje się na jakiś czas przywódcą polskiej awangardy poetyckiej. Chociaż w wielu punktach program Peipera pokrywa się z witkiewiczowskimi hasłami (operowanie w poezji nie słowami i pojęciami, lecz ich układami komponowanymi nie na drodze logicznej lecz czysto estetycznej, skąd zamiłowanie do metafor o odległych, często wręcz sprzecznych asocjacjach itd.) jednakże uzasadnienie tego programu i jego cele : « nowe rozkołysanie życia i idei o życiu, odkrywanie nowego piękna w krajobrazie miasta, masy czy maszyny » — są dla Witkiewicza pustymi i mętnymi hasłami nic nie przesądzającymi o wartości i znaczeniu sztuki. Podług niego jest zupełnie obojętne czy obraz przedstawia maszynę czy kwiatek, krowę czy bohatera narodowego, « rzeczywistość » wiernie odtworzoną czy zdeformowaną czy po prostu abstrakcyjną konstrukcję, — byle układ linii, brył i kolorów tworzył Czystą Formę, wywoływał wrażenie jedności w wielości.

O ile definicja Czystej Formy jako « jedności w wielości » nie jest nowa, o tyle bardzo cenne jest ściśle przeprowadzone przez Witkiewicza rozgraniczenie treści i formy, rzucenie jasnego światła precyzyjnej i konsekwentnej analizy na beznadziejnie dotąd zagmatwane problemy stosunku tych zasadniczych elementów dzieła artystycznego. Zakładając, iż tzw. treść (elementy fabularne, opisowe, anegdotyczne, emocjonalne czy też ideologiczne) jest absolutnie nieważna dla wartości artystycznej dzieła, nie wpada Witkiewicz bynajmniej w krańcowość żądającą programowej eliminacji tej treści. Stwierdza, iż w niektórych dziedzinach sztuki jak np. w teatrze eliminacja ta jest prawie niemożliwa do przeprowadzenia. Ale też nie jest to wcale konieczne. Jak pisze Witkiewicz w « *Teatrze* », « chodzi tylko o to, aby sens sztuki nie był koniecznie zawarty w sensie samej życiowej lub fantastycznej treści dla całości dzieła, tylko, aby sens życiowy mógł być dla celów czysto formalnych tzn. dla syntezy wszystkich czynników teatru : dźwięków, dekoracyj, ruchów na scenie, wypo-

wiadanych zdań, w ogólnym stawianiu się w czasie, jako nierozzerwalnej całości — zmieniany nawet w zupełny z punktu widzenia życiowego, bezsens stawania się... Sens całości ma być określony tylko wewnętrzną, czysto sceniczną konstrukcją a nie wymaganiem konsekwentnej psychologii i akcji według jakichś życiowych założeń... Nie chodzi o to, aby sztuka teatralna koniecznie była bezsensowna, tylko aby raz przestać się krępować dotąd istniejącym szablonem opartym na życiowym sensie » (podkreślenia moje).

Problem ten wiąże się ściśle z zagadnieniem deformacji, czyli zniekształcania obrazu świata widzialnego w malarstwie, bezsensu w teatrze i poezji, gwałceniu gramatyki i składni w literaturze itd. Skoro sztuka nie jest odtwarzaniem świata zewnętrznego, problem deformacji właściwie nie istnieje, gdyż stosunek odtworzonej w sztuce rzeczywistości do jej pierwowzoru nie ma żadnego znaczenia formalnego. Problem jest raczej natury historyczno-psychologicznej : dlaczego dawni artyści umieli stworzyć Czystą Formę bez uciekania się do deformacji, a w sztuce nowoczesnej deformacja staje się prawie koniecznością ? Odpowiedź na to pytanie znajduje Witkiewicz w tzw. « perwersji artystycznej », w fakcie, iż zblazowana ludzkość współczesna już nie reaguje na zwykłe związki elementów formalnych, potrzebuje wrażeń ostrzejszych, zestawienia odleglejszych barw, sprzecznych pojęć itd. Tylko na tej drodze może jeszcze artysta współczesny wywołać wrażenie jedności w wielości.

Najoryginalniejszym bodaj, mimo iż dotyczącym dość szczegółowego zagadnienia, odkryciem Witkiewicza jest koncepcja « napięć kierunkowych ». Chodzi tu o jedyne wypadki, kiedy tak zwane elementy treściowe stają się istotne dla dzieła sztuki. Dzieje się to wówczas, gdy spełniają one funkcję formalną. Nieraz pewien kształt w konstrukcji malarskiej pozostaje pod względem kompozycyjnym obojętny, nie ciąży w żadnym kierunku, dopóki nie nada mu się podobieństwa do jakiegoś znanego przedmiotu lub stworzenia, np. przez dodanie mu oczu. Wtenczas ta sama płaszczyzna staje się nagle « skierowana », a tym samym potęguje konstruktywność dzieła. W muzyce takimi « napięciami kierunkowymi » są uczuciowość i ekspresja, która jedynie w tym wypadku jest elementem istotnym, w teatrze — pewne wyładowania psychologiczne itd. Potrzebą tych « napięć kierunkowych » tłumaczy Witkiewicz fakt, iż najbardziej nawet formistyczna sztuka nie zrywa z pewnym « podobieństwem do prawdy życiowej ».

Teoriom tym, wyłożonym w trzech podstawowych książkach : « *Nowe formy w malarstwie i wynikające stąd nieporozumienia* » (1919), « *Szkice estetyczne* » (1922) i « *Teatr* » (1923) niepodobna odmówić jasności, konsekwencji i precyzji. Zarzucić im można najwyżej pewną sztywność dogmatyczną i jednostronność. Stworzywszy raz zwartą teorię estetyczną, nie poddał jej Witkiewicz rewizji ani razu w ciągu życia, ani nie wzbogacił już jej o nowe

wartości. Dlatego też dla znających jego dzieła był tak nieinteresujący w dyskusji na tematy estetyczne. Zarzucano mu również, iż rozwijając konsekwencje głównego założenia z żelazną logiką, nie umiał udowodnić konieczności tego głównego założenia. Zarzut niesłuszny. Na korzyść swej teorii przytaczał Witkiewicz wiele dowodów. Biorąc pod uwagę występującą z całą naocznością specyficzność i niesprowadzalność wrażeń artystycznych, starał się przez eliminację elementów przypadkowych dotrzeć do tych czynników, które są niezbędne, by pewien twór uznać za dzieło sztuki. I dochodzi do przekonania, iż tym jedynym i niezbędnym czynnikiem jest konstrukcja formalna.

Do tych samych wniosków dochodzi również na drodze metafizycznej. Tu występuje ściśle związanie estetyki Witkacego z jego pracami filozoficznymi, do których przywiązywał znacznie większą wagę niż do swej działalności na polu sztuki, stwierdzając, iż tylko praca nad filozofią daje naprawdę możliwość « znalezienia się w innych jakichś stronach, odmienienia szarości swej egzystencji, wychylenia się w nieznanie ». W tej tęsknocie uczuciowo-pesymistycznej do filozofowania odnajdujemy młodopolską nutę. Ale od młodopolskich mętnych myślicieli różniła Witkacego zimna, racjonalna umysłowość. Słusznie przedstawia Stefan Szuman Witkiewicza-filozofa jako człowieka, « który zupełnie i we wszystko zwątpił, ale posiada wprost niewyczerpany, uparty, niepoprawny nałóg prawdy. Ma on chłodną, do ostateczności posuniętą odwagę szczeroci, aby i o sobie wiedzieć i mówić prawdę. Wyzbyty jest wszelkich wobec siebie złudzeń... Bezwzględne dążenie do odkrywania prawdy nie cofa się nawet przed niszczeniem sensu życia. Wynikiem obłąkańczego szukania wieczne znajdywanie pułki i nicoci ».

Istotnie, ktokolwiek, tak jak np. niżej podpisany, miał okazję dysputowania z Witkacym na tematy filozoficzne, musiał mu przyznać niesamowitą zdolność wytrapienia wszelkich zakłamań myślowych, wszelkich złudzeń i « wiar filozoficznych », wszelkiego hipostazowania nie narzucającego się z nieodpartą koniecznością. W tym krytycyzmie filozoficznym odznaczał się Witkacy prawdziwie fanatyczną zaciekłością. Przykładami mogą być jego filipiki przeciw logice formalnej jako podstawie poglądu na świat (« *O logistyce — zwierzenia laika* » — *Zet* 1935, str. 70 i n.), przeciw filozoficznym pretensjom fizyków współczesnych, przeciw freudyzmowi lub bergsonizmowi (« *O intuicji* » — *Gazeta Literacka* 1932, str. 4 i n.).

W pracy pozytywnej jednak nad stworzeniem własnego systemu okazał się Witkiewicz znacznie mniej oryginalny, mniej twórczy nawet niż w swoich teoriach estetycznych, mimo iż pracy tej poświęcił większą część życia, zamykając jej wyniki w pisanej przez 15 lat książce « *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia* » (1935). System przedstawiony w tej rozprawie stanowi swoistą syntezę monadologii Leibniza z psychologizmem Avenariususa, Macha i Corneliusa. Nazywa go Witkiewicz materializmem biologicznym (« *bijologicznym* » — jak zawsze z właściwym sobie uporem kazał

pisać), ale jest to raczej pewnego rodzaju metafizyczny personalizm. Wzbogaca bowiem Witkiewicz psychologizm o jeszcze jedną « jakość » i to daną nam najbardziej bezpośrednio i absolutnie nie podlegającą wątpliwości — o poczucie istnienia i to nie istnienia w ogóle, lecz naszego własnego istnienia. To też podstawą ontologii stają się Istnienia Poszczególne, nowocześnie pojęte monady. Odczucie to jest identyczne z bezpośrednim doznawaniem jedności osobowości. Owa « tożsamość osobowości » jest punktem centralnym filozofii Witkiewicza i stanowi również metafizyczne źródło jego estetyki. Albowiem owo poczucie jedności i jedyności takiej a nie innej osobowości, poczucie absolutnie niesprowadzalne do czego innego i niewytłumaczalne, wywołuje w nas uczucie « dziwności istnienia », tzw. « uczucie metafizyczne », które szuka wyładowania w stwarzaniu czegoś, co podobnie jak osobowość, jest jednością w wielości czyli Czystą Formą. Z drugiej strony doznawanie wrażeń artystycznych czyli « bezpośrednie pojmowanie jedności w wielości » przez pokrewność do poczucia jedności osobowości wzbudza « uczucie metafizyczne » i na tym polega prawdziwe artystyczne wzruszenie.

Ta, niewątpliwie interesująca, ale bardzo subiektywna koncepcja, nie posiada owej jasności i bezpośredniej oczywistości, co inne wywody estetyczne Witkacego, toteż spotkała się ze znacznie liczniejszymi sprzeciwami, chociaż wyrażenia « dziwność istnienia » i « uczucie metafizyczne » stały się na jakiś czas niezbędnymi akcesoriami żargonu artystów i teoretyków sztuki. Warto tu jednak podkreślić, iż potępiając z nieubłaganą zaciekłością « bebechowatość » w sztuce, znajduje Witkacy ostateczne uzasadnienie sztuki w uczuciu « bebechowym » do kwadratu, jakim jest lęk przed dziwnością istnienia.

Należy tu dodać, że głębokim przekonaniem Witkacego było, iż w miarę coraz większego uspołeczniania życia tak *par excellence* indywidualna wrażliwość na « uczucie metafizyczne » staje się coraz rzadsza aż wreszcie w ludzkości automatycznie i stuprocentowo uspołecznionej zaginie całkowicie. Będzie to ostateczny i nieodwołalny upadek sztuki. Znamienny jest w tym względzie opis tego przyszłego świata doskonale zmechanizowanego i zetatyżowanego pod rządami proletariackiego dyktatora Sajemana Tempego, tworzący zakończenie powieści « *Pożegnanie jesieni* ». Realizację takiego świata uważał Witkacy za rzecz bliskiej przyszłości, wiązał ją z rozwojem komunizmu i temu swemu głębokiemu przekonaniu dał najdobitniejszy wyraz, kładąc kres swemu życiu w momencie, gdy jego zdaniem komunizm rozpoczął podbój świata.

Gdyby się w twórczości osobistej Witkiewicza szukało realizacji jego założeń teoretycznych, na pierwsze miejsce należy wysunąć jego dramaty. Już ich same tytuły są małymi wzorkami Czystej Formy, operującymi sprzężeniami najdziwniejszych skojarzeń, nie gardzącymi deformacją języka i nie obawiającymi się bezsensu : « *Dobra Ciocia Walpurgia* » (1921), « *Wariat i zakonnica* » (1923), « *Metafizyka dwugłowego cielęcia* » (1921),

« *Tumor Mózgowicz* » (1921), « *Niepodległość trójkątów* » (1921), « *Małwa czyli Hyrkaniczny światopogląd* » (1922), « *Nadobnie i Koczkodany, czyli Zielona pigułka* » (komedia z trupami — 1922) itd. Myliłby się ktoś, ktoby widział w tych dziwacznych tytułach jedynie humorystyczne wybryki, podobnie jak ci krytycy, którzy podejrzewali, iż celem Witkiewicza w jego sztukach była po prostu chęć zakpienia z publiczności i krytyki. Najbardziej wszystkich dezorientowało to, iż sztuki Witkiewicza bynajmniej nie miały charakteru bezsensownego widowiska, jakiego niejedni się po Czystej Formie spodziewali, ani nie były całkowicie realistyczne. Zawodziły również wszelkie próby symbolistycznej interpretacji. Do czystego bezsensu ucieka się Witkiewicz w tych półdramatach, półkomediach tylko w wyjątkowych momentach, co robiło tym większe wrażenie, gdy normalna skądinąd i realistycznie potraktowana akcja nagle ni stąd ni zowąd przemieniała się w dziwną groteskę, której idei nie sposób było odcyfrować.

Trudność zajęcia stanowiska wobec tych sztuk wynikała głównie z tego, iż w praktyce Witkiewicz nie zastosował się stuprocentowo do własnej teorii. Celem jego sztuk jest zaakcentowanie « dziwności istnienia ». Osiąga on tę dziwność częściowo tylko przez konstrukcję formalną w której owe wybryki nonsensu i dziwaczne wykołajenia akcji pełnią taką samą funkcję formalną jak np. oparte na sprzeczności metafory w poezji lub dysonanse i kontrasty dynamiczne w muzyce. Jednakże postacie sztuk witkiewiczowskich są nie tylko marionetkami kształtującymi sploty formalne. Są one mimo wszystko postaciami, charakterami w dawnym znaczeniu, wygłaszają sensowne poglądy, ba nieraz całe tyrady filozoficzne. Takie ich zachowanie się bynajmniej nie zawsze ma celowość czysto formalną. Wierny swej zasadzie, iż deformacja, w tym wypadku bezsensowność, jest dopuszczalna, ale nie jest konieczna dla Czystej Formy, pozwala sobie Witkiewicz na wyrażanie « dziwności istnienia » bezpośrednio, poza Czystą Formą, niemal naturalistycznie, przez pokazanie dziwnych postaci i dziwnych splotów wydarzeń. Z tego wynika dwoistość metody dramatycznej, która dezorientowała krytyków, ale dla nieuprzedzonego widza uchodziła niepostrzeżenie, gdyż cel tych obu metod był jednakowy. Należało się tylko poddać bezpośrednio działaniu sztuki a nie usiłować przez interpretację odcyfrowywać jej « myśli przewodniej ». Takiej bowiem podstawowej idei, tendencji myślowej sztuki Witkiewicza nie mają wcale. Postacie jego dramatów są jedynie konkretyzacjami pewnych wglądów w życie, skondensowanymi « formułami » bytu. Pokazane one są nie w celu przedstawienia prawdy, tylko po to by wywołać « uczucie metafizyczne » przez poznawanie wciąż innych odmian i wypadków szczególnych « dziwności istnienia ».

Praktyka wykazała tu z dobitną naocznością pewne niedociągnięcie teorii Czystej Formy. Według tej teorii bowiem forma to jedynie konstrukcja. Tymczasem to nie tylko konstrukcja, lecz również elementy formalne, które

poza podatnością do łączenia się w kompozycje wyższego rzędu mają również swój własny wyraz formalny, specyficzną sugestywność. Akord dysonansowy ma sens nie tylko jako człon harmonicznego pochodzenia, lecz również jako brzmienie samo w sobie. Podobnie postacie czy wydarzenia w dramatach witkiewiczowskich niezależnie od ogólnej konstrukcji sztuki, są jakby zakłębieniami wydobywającymi w duszy widza wzmożoną wrażliwość na tajemniczość i metafizyczność nawet codziennego życia.

W zdolności do odkrywania coraz to nowych uosobień dziwności zdradza Witkiewicz niewyczerpaną pomysłowość. Posługuje się on w swych dramatach przeważnie kombinacją groteski z « obnażaniem » życia, sięganiem do jego podszewki tak głęboko, że aż się otwierają metafizyczne perspektywy. W tym obnażaniu jest nielitościwy. U żadnego z pisarzy współczesnych nie występuje tak szczere i bezkompromisowe pokazywanie nicości i marności świata przy całkowitym pominięciu metod dydaktycznych czy naturalistycznych. Ale nigdy postacie tych dramatów nie stają się abstrakcyjnymi symbolami, pozostają żywymi ludźmi, tylko działającymi jakby w drugim wymiarze, niezależnie od fizycznych i psychologicznych praw życia.

Sztuki te należą niewątpliwie do najwybitniejszych osiągnięć współczesnej polskiej twórczości dramatycznej, chociaż dla szerszej publiczności pozostały prawie nieznanymi. O wiele większy rozgłos zyskały dwie powieści Witkiewicza : « *Pożegnanie jesieni* » (1927) i « *Nienasycenie* » (1930) — chociaż pod względem formalno-artystycznym ustępują dramatom. Zresztą Witkiewicz wielokrotnie i dobitnie się zastrzeżę przeciw uważaniu powieści w ogóle za utwór artystyczny. Same rozmiary tego gatunku literackiego nie pozwalają, jego zdaniem, na osiągnięcie jednej całości formalnej czyli « Czystej Formy ». Artystyczne w powieści mogą więc być jedynie poszczególne krótkie fragmenty, całość zaś służy do innych celów i tu do głosu dochodzą owe tak dla czystej sztuki nieistotne elementy ideologiczne, emocjonalne i opisowe. Toteż powieści Witkiewicza mają wyraźnie ideologiczno-publicystyczny charakter i wywołują z potrzeby zwrócenia uwagi na najistotniejsze problemy życia współczesnego, zagadnienie przyszłości kultury polskiej i europejskiej, na katastrofalny upadek dotychczasowej kultury, na wszystkie niepokoje i lęki nabrzmiałe w duszy myślącego człowieka współczesnego, na równi z potraktowaną niezwykle śmiało « metafizyką erotyzmu ». Wybór formy powieści zamiast rozprawki publicystycznej pozwala autorowi na bardziej bezpośrednie pokazywanie i akcentowanie niesamowitości współczesnego życia, i w tej dążności do maksymalnego ekspresjonizmu nie zatrzymuje się Witkiewicz przed stwarzaniem najdziwniejszych sytuacji, jak np. zakokainowanie niedźwiedzicy w głuchej dolinie tatrzańskiej (« *Pożegnanie jesieni* »), lub przed przedstawianiem najdziwniejszych nieraz niemal absurdalnych perwersyj. Na ogół nie krępuje się względami realizmu — powieści jego odbywają się niby w Polsce, ale jakiejś półrealnej, mającej częstokroć charakter fantastycznego, nierzeczy-



wistego kraju, prowadzącego wojnę z żółtą rasą. Bliższe nawiązanie do aktualnej rzeczywistości polskiej odnajdujemy jedynie w postaci dyktatora Kocmołuchowicza w « *Nienasyce* », wzorowanego na Piłsudskim.

Z tym wszystkim powieści te mają jednak wielką przewagę elementu publicystycznego i to jest ich głównym niedociągnięciem artystycznym. Postacie są bądź świetnie zarysowanymi w kilku pociągnięciach charakterami, bądź stają się papierowymi marionetkami służącymi do wypowiedzania myśli autora. Wszystkie postacie, niezależnie od wykształcenia, rozprawiają o Husserlu, o Whiteheadzie, o de Broglie — o najzawilszych zagadnieniach współczesnej filozofii i nauki i w wywodach tych całkowicie tracą swą indywidualność. Wyraźnie z tym tłem kontrastują nieoczekiwane ustępy o charakterze lirycznym zwłaszcza przepiękne w swej nastrojowości i wstrząsającej sugestywności opisy natury — np. opis lasu przed sceną pojedynku w « *Pożegnaniu jesieni* », wspaniałe przedstawienie reakcji na piękno Tatr pod wpływem kokainy i porywający opis wiosny w « *Nienasyce* ».

Osobne uwagi należą się stylowi Witkiewicza. W pracach teoretycznych styl ten jest częstokroć trudny ze względu na pedantyczną dążność do maksymalnej dokładności, do wyjaśnienia z góry wszelkich możliwych nieporozumień. Stąd przydługie zdania upstrzone nawiasami, myślnikami, odnośnikami. Równocześnie jednak umie Witkiewicz ożywić wykład naukowy przez niepraktykowane przez nikogo innego wybryki stylistyczne jak np. rozpoczynanie w rozprawie filozoficznej odnośnika od słów : « popatrz kotku ! ». Te wkręty humoru wprowadzają odprężenie uwagi i potęgują zainteresowanie. W ten sposób występuje charakterystyczne pomieszanie : podczas gdy w powieści wpada Witkiewicz często w styl publicystyczno-naukowy, w artykułach swoich posługuje się od czasu do czasu chwytami powieściowymi i felietonowymi. W dążności do trafności określenia nie obawia się Witkiewicz tworzyć bardzo pomysłowych i pełnych humoru neologizmów. Niektóre z nich jak « aprenuledełuzym » zyskały w swoim czasie wielką popularność. Do tej samej dziedziny twórczości należą fantastyczne imiona postaci dramatów i powieści, które Witkiewicz uważał za prawdziwe dzieła twórcze, i które działają bądź przez swoiste skojarzenia bądź przez samą sugestywność fonetyczną : Gyubal Wahazar, Jan Maciej Karol Wścieklica, Multiflakopulo, Persy Zwierzontkowska, ksiądz Wyprztyk, Buliston Chwazdrygiel, Genezyp Kapen (o którym w szkole mówiono : « je ne zipe qu'à peine » — ledwie zipię) lub — pełen humoru persyflaż charakterystycznych nazwisk skandynawskich — trener norweski Tvardstrup. Trudno zresztą wyczerpać to całe panopticum nazwisk postaci witkiewiczowskich. Każde z nich jest małym arcydziełem dowcipu i pomysłowości.

Pozostało nam już tylko omówienie malarskiej działalności Witkiewicza. Jak już wspomniałem wielkiego talentu w kierunku « czystoformalnych » kompozycji nie zdradzał on, pomimo wielkich tęsknot w tym kierunku.

Nieliczne znane jego obrazy w tym stylu stanowią dziwaczne skłębienie kształtów o charakterze jakichś polci mięsa obdarzonych oczami lub niewyraźnie zaznaczonymi kończynami i w swych wijących się liniach aż nazbyt często przypominających wynaturzoną secesję. Natomiast w tak przez siebie samego pogardzanym portretowaniu miał Witkiewicz talent niepospolity i oryginalny. Rozróżniał on szereg typów — od portretów najbardziej zbliżających się do Czystej Formy i dążących do charakterystyki modelu przez konstrukcję linii i płaszczyzn — do portretów tzw. « wylizanych », w których zgodnie z życzeniem klienta chodziło « o podobieństwo ». Mimo pogardy dla tego naturalistycznego malarstwa umiał Witkiewicz chwytać podobieństwo z wielką sugestywnością i potrafił nawet w « wylizanych » portretach przez odpowiedni dobór barw i perspektywy stworzyć portret nie tylko fizyczny lecz i psychiczny. Ceny za obrazy były odwrotnie proporcjonalne do tej hierarchii artystycznej (por. broszurę « *Regulamin Firmy Portretowej S. I. Witkiewicz* » 1932 — charakterystyczny wzór humoru i pedanterii autora). Czysta Forma była najtańsza, najdrożej kosztowały portrety « wylizane », gdyż zdaniem Witkiewicza było to zajęcie najobrzydliwsze. Każdy portret miał obok podpisu kabalistyczne znaczki CO — 3, C₂H₅ — 4 etc. zaznaczające, po ilu dniach nie palenia, nie picia, nie używania kokainy zrobiony był obraz. I kto wie czy w tym drobnym, napozór żartobliwym dodatku nie ukrywało się najbardziej i najdramatyczniej osobiste wyznanie artysty.

Wspomniałem, iż Witkiewicza można było uważać za syntezę polskiej mentalności 1900-1930 roku. Po roku 1930-tym przestał on już odgrywać tę rolę. Zwalczano go mniej, powieści jego spotkały się ze sprawiedliwszą i wnikliwszą oceną krytyki, teorie estetyczne zyskały należne im uznanie i weszły niejako do arsenału klasycznych prawd o sztuce. Ale spotkał ich los wszystkich zwycięskich idei : — przestały pasjonować. Przyszło młodsze pokolenie, które odrazu bez trudu przyjęło z myśli witkiewiczowskich to, co było trwałe, ale przyniosło ze sobą nowe idee, które dla Witkiewicza były niezrozumiałe i obce. Przy swym dogmatyzmie i jednostronności ideologicznej nie umiał on i nie chciał znaleźć wspólnego języka z młodszymi. Tezy jego zwyciężyły, ale człowiek został prześcignięty przez epokę. Usuwał się zgorzkniały i zniechęcony coraz bardziej w swoją samotnię, zrezygnował z teoretycznej i praktycznej działalności artystycznej, poświęcając się wyłącznie pracy filozoficznej. Ale wśród filozofów zawodowych miał jedynie « *succès d'estime* », zwłaszcza iż ci naukowcy nie mieli zrozumienia dla jego felietonowego stylu. Tak też odchodził powoli z życia, aż tragiczna śmierć jeszcze raz udowodniła jak bardzo jednolity był ten tak pozornie sprzeczny w sobie charakter.

Człowiek odszedł, ale zostało jego dzieło, które zasługuje na lepsze niż dotychczas zbadanie. Zostają teorie estetyczne, które pomimo swej jednostron-

ności stanowią wzór wnikliwej analizy sztuki, pozostają powieści pełne jeszcze nienależycie ocenionych wartości, gdyż czytelnicy dotychczasowi zbyt wyrażnie przesuwali zainteresowanie wyłącznie na sceny dotyczące « metafizyki erotyzmu » nie widząc elementów ciekawszych myślowo i wartościowszych artystycznie — pozostają dramaty, o których już Żeromski pisał w « *Snobizmie i postępie* », iż są « w twórczości dramatycznej naszej oryginalnymi zjawiskami i zasługują na to, żeby je traktować nie tak po macoszemu jak dotąd » — wezwanie to nigdy nie zostało uwzględnione. I pozostaje wreszcie pamięć o człowieku, który był w swoim czasie jednym z mocniejszych fermentów w kulturze polskiej i który posiadał jedyny w swoim rodzaju fanatyzm w bezwzględnym dążeniu do prawdy i istotności. I jeśli nawet nie zgodzimy się z proponowanymi przez niego rozwiązaniami, z obcym dla nas pesymistycznym sceptycyzmem, nie możemy nie odczuć szacunku przed tą tak rzadką w epoce panoszącą się zakłamania szczerością i rzetelnością myśli.

KONSTANTY REGAMEY.

« CHRYSZTOS WOSKRES »

*« Chrystus zmartwychwstał » — « Woistno woskres » —
Pozdrawia miasto — odpowiada wioska.
Skiby się złocą słońcem rannych łez
i pachną świętem: kielbasą i czosnkiem.*

*Wetknięty w błękit dzwonek boży srebrzy
z nad strzech wtóruje mu bociani klekot
« Sława Tobie » nuca puchem bazi wierzby
a dzwony biją szeroko, daleko...*

*Chrystus od chaty przechodzi do chaty
i błogosławi ziemię wierzb i wiśni...*

— — — — —
*Otwieram oczy — : « O daj Boże znaty
Koły sia Wetykdeń » nam Twym dzieciom wyśni!*

Fryburg, Wielkanoc 1945.

JANUSZ KUCHARSKI.

Z XIĘGI apokalipsy

Płoną lasy ... i róże || w dymiących urnach zgorzelisk —
Czas-li komu żałować || krwi stratowanych orchidej?!
Głuchnę, Prawdy apostoł, || w trzasku kruszących się idej — —
Czernieję, świecznik Piękna, || trafiony w serce obelisk — —

Wjedzie na cmentarz Jutro, || czołgiem zwycięsko-tyrańskim,
Wjedzie, ujarzmić przeszłość || — w popiołach jej tysiąceci —
Rozkaże trup moj przyoblec || w błękitu strzep weterański,
W usta — megafon wtłoczyć, || w oczach — neony zaświecić,
Zakuć w żelazne dzwona || mój szkielet, bym stał na baczność
W panopticum kultury || — eksponat, robot i jeniec —
... I drgać zaczną me usta ... || I oczy me żarzyć się zaczną ...
I prężyć się — me ramiona, || z chrzęstem stalowych gąsienic ...

Elektro-magnetycznie || bić — sercu memu rozkaże,
By zawirował, na nim, || posłusznych dysków ebonit —
... Aż z piersi mej, wzdętej eterem, || głos zgrzytnie — samooskarżeń :
« O krwi zatruta — orchidej ... || O rózo — żrąca miąższ dłoni !... »

— — Lecz, kiedyś ... w spazmie tęsknoty || za SERCEM, zamilkłym wszechrzeczy —
(Gdy świat, z błogości, zadrzemie, || syt cerebralnych witamin)
Wionę, z głośników, szeptem || — dławiony i lękiem ... i łzami :
Słuchajcie ... Słuchajcie ... « OTOM || — za WAS-SYN-cierpiat-CZŁOWIECZY — —

I — urwę ...

— — Czemuś cierniową || drogą, ONEGO CZASU,
Poszedł, stopy anielskie || krwawiąc, w przedśmiertnej udręce? !
By nie deptać orchidej?... || Nie trwożyć modlących się lasów?...
Róż nie płoszyć?... — — by kwiatu || nie strzępił ni ogień, ni — ręce?...

Patrz :

— lasem ognioodpornym || zjeżyły się blizny zgorzelisk !...
Z cieplarni róż ołowianych || i, kutyh w betonie, orchidej
Wystrzelił, w bezbronne niebo, || stratosferyczny obelisk!!! —
Chełpliwy, szydarczy odwet || gardzących OFIARĄ Twą, idej...

JERZY BRZOWSKI.

WARSZAWA CZYLI TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA

« *Ta Polska, która umrzeć nie chce.* »
Pius XII.

Poniżej zamieszczamy za zgodą autora przekład kilku fragmentów artykułu, który ukazał się w kwartalniku « *Nova et Vetera* » w październiku 1944 r. Mimo upływu przeszło roku od jego opublikowania nie stracił on nic na wartości. Zawiera bowiem niezwykle trafne ujęcie istotnego sensu sprawy polskiej w perspektywie ogólnoeuropejskiej i światowej, ujęcie nadal tak aktualne, że nie wiele możnaby dziś nawet dorzucić. *Red.*

1. *Dramat Warszawy*

Po 63 dniach rozpaczliwej walki w obrębie Warszawy i po beznadziejnym wzywaniu Aliantów na pomoc, podziemna armia polska, nie mając więcej ani żywności ani wody ani amunicji, ustąpiła przed górującymi bez porównania liczebnością i wyposażeniem siłami niemieckimi. Zniszczeniu uległo w Warszawie 85 % domów; mówi się o 500.000 zabitych wśród cywilnych i żołnierzy; niektórzy z mieszkańców dostali obłądu; 1.000.000 ludności cywilnej — w tym chorzy, kobiety, starcy i dzieci — wyewakuowanej przez Niemców z ruin, pozbawionej dachu nad głową, odzieży, opieki, żywności, oczekuje śmierci z chłodu, z głodu i z nędzy.

Prasa rosyjska zarzuciła Polakom, że nie mają armii podziemnej. W chwili, gdy oddziały rosyjskie ukazały się przed Warszawą, armia ta rozwinęła pełną aktywność. Jednakże wojska rosyjskie, przypuszczając zapewne, że nie uda im się zdobyć Warszawy natarciem czołowym, zrezygnowały z ataku. Los powstańców stał im się obojętny. Gdy zaś powstańcy wyblągali drogą radiową u Anglików i Amerykanów dostarczenie im żywności i amunicji na spadochronach, Rosjanie uniemożliwili prawie całkowicie zamierzoną operację, odmawiając samolotom alianckim, wysłanym w tym celu, prawa lądowania na lotniskach rosyjskich położonych w pobliżu Warszawy.

Postawa rządu rosyjskiego, ton jaki nadał on prasie moskiewskiej z jednej strony, a prasie Komitetu Lubelskiego z drugiej, sposób w jaki przyjął w Moskwie delegatów rządu londyńskiego, wszystko to nie pozostawia żadnych złudzeń. Obrońcy Warszawy zostali wyszydzeni; sam fakt istnienia ich dowódcy potraktowano początkowo jako bajkę, następnie dowódca ten został ogłoszony zdrajcą; zapewniano, iż bynajmniej nie znajduje się on przy swoich oddziałach; w końcu zaś postanowiono go rozstrzelać jeżeli tylko

sposobność ku temu się nadarzy. Wreszcie niedobitki bohaterskiej warszawskiej armii podziemnej, które wycofały się ku pozycjom rosyjskim, zostają deportowane w głąb Rosji. Czy nie należałoby w świetle tych ponurych zdarzeń spojrzeć na starą już sprawę Katynia ?

Gdyby Warszawa nie porwała się wcale do walki, gdyby pozwoliła czołgom niemieckim krążyć po swych ulicach, karabinom maszynowym zagrzeździć się w oknach domów warszawskich, armatom i moździerzom niemieckim umieścić się wśród stołecznych murów — byłoby aż nadto jasne, że jest ona w zмовie z Niemcami, że cała Polska zdradziła, że dusza polska zaprzedała się wrogowi...

Ale Warszawa powstała do walki, biła się aż do zupełnego okaleczenia jej przez najeźdźcę, aż do śmierci, aż do wymordowania jej mężczyzn, kobiet i czternastoletnich chłopców, którzy ciskali bańki z gazoliną na czołgi niemieckie aby spowodować ich wybuch. Stawiała ona opór przekraczający granice bohaterstwa, dochodzący do szaleństwa — i to właśnie staje się dziś dowodem jej zdrady !

Albowiem trzeba, aby Polska zdradziła, aby straciła honor i prawo do istnienia !

Warszawa ostała się po raz pierwszy w roku 1939, pomimo straszliwych ran, gdy miała przeciw sobie Niemców i Rosjan razem. I oto teraz została zamieniona w gruzy przez Niemcy na chwilę przed ich upadkiem, w oczach triumfujących na wszystkich frontach sprzymierzeńców, z których jedni, co nie wątpię w jej prawo i wierność, nie są w stanie przyjąć jej z pomocą, a drudzy pozwalają swojej prasie znieważać wielkość jej agonii. Chętnie widzieliby śmierć Polski, ale nie śmierć pełną chwały !

Jednakże temu przynajmniej nikt na świecie nie byłby w stanie przeszkodzić.

2. Punkt węzłowy polityki europejskiej

Wydarzenia te są zbyt tragiczne by nie kryły w sobie jakiejs tajemnicy. Wydaje się, iż właśnie w losach Polski — być może dlatego, że jest ona tak niezwykle zdolna do odzwierciedlania oblicza wolnej Francji, odbijając je jednak w zwierciadle ustawionym na krańcach innego świata — ważą się coraz częściej losy Europy. Wydaje się, iż dziś raz jeszcze Polska wplątana jest w sam węzeł polityki europejskiej i znajduje się w centralnym punkcie dramatu, w miejscu gdzie ziemia ma się obsunąć i zawalić, grożąc pochłonięciem w tej katastrofie całego gmachu europejskiego. Wydaje się, iż raz jeszcze Polska posiada przywilej wyprzedzenia i skondensowania w swjej własnej tragedii, tragedii całej Europy ; i że w tym znaczeniu w jakim można było powiedzieć : Gdańsk czyli druga wojna światowa, będzie można również powiedzieć : Warszawa czyli trzecia wojna światowa.

3. Istotne znaczenie rozbiórów Polski

W przykuwającej uwagę książce Grzegorz Gafenco¹ podkreśla z naciskiem dziwne podobieństwo między sytuacją z okresu pierwszego rozbioru Polski (5 sierpnia 1772) a sytuacją w chwili zawarcia porozumienia w Moskwie (21 sierpnia 1939). W obu wypadkach rozbiór Polski daje hasło do załamania się « polityki prawa » i do zapanowania « polityki siły ». Punkt ciężkości europejskiego życia politycznego przesuwają się gwałtownie ze sfery respektowania (niewątpliwie pełnego hipokryzji) traktatów do sfery cynicznego kultu przemocy. Uznanie prymatu sprawiedliwości ustępuje miejsca jawnemu uznaniu prymatu siły. Pierwszą i natychmiastową konsekwencją jest załamanie się tego, co Gafenco nazywa *granicą na Wschodzie*, zniesionej — jak zbyt wątpliwa tama — przez zawieruchę rozpętanych ambicji. A oto druga konsekwencja : po zaproszeniu Rosji przez Niemcy do podziału, w imię najwyższego prawa siły, położonych między nimi krajów rozpoczynając od Polski, — dwa te imperializmy stanęły niebawem naprzeciw siebie wzdłuż linii idącej od Polski ku Bałkanom i Turcji, tym razem już nie jako sprzymierzeńcy, lecz jako rywale. A ponieważ obie te potęgi wyrzekły się polityki prawa i proklamowały politykę siły ; ponieważ ich poprzedni sojusz był wynikiem machinacji, która w świetle Ewangelii jest pierwszą ze zbrodni politycznych, — nie mogą one przeto żywić najmniejszego choćby zaufania do traktatów, jakimi starają się odtąd nawzajem oszukiwać. Przecistawiają więc sobie wzajemnie jedynie dwa machiawelizmy, dziwnie do siebie podobne, skąd wynika wieczny stan wojny, w który nie może nie być wciągnięta cała Europa. Według słynnego powiedzenia, cała Europa znalazła się na skutek rozbioru Polski w stanie grzechu śmiertelnego.

4. Siła i prawo

Czyż to nie z powodu Polski właśnie musiał się po raz pierwszy przejawić w całej swej brutalności ten konflikt dwóch podobnych machiawelizmów, dwóch polityk, dwóch systemów w oczach których prawo nie liczy się już *za nic*?

Od dawna już orzeł biały, walczący z orłem czarnym i rozpościerający swe skrzydła od Bałtyku po Morze Czarne, przestał być mocarstwową potęgą. Polska przeszła, w znaczeniu politycznym, — lecz tylko w tym znaczeniu — do roli państw drugorzędnych. Co więcej, jest ona położona na obszernej równinie po obu brzegach Wisły i pozbawiona granic naturalnych. Znajdując się między dwoma systemami politycznymi upojonymi zwycięskimi podbojami i podnieconymi przez *libido dominandi*, ma Polska za sobą tylko i wyłącznie

¹ *Préliminaires de la guerre à l'Est*, Luf, Fribourg 1944, str. 290.

swe prawo. To znaczy *nic*? To znaczy — *wszystko*. O Europo, miej się na baczności!

Jedno jest jasne. To, czego życzą sobie z jednaką siłą hitlerowski « przeciwnik » Polski i jej stalinowski « sojusznik » — to właśnie radykalnego zniknięcia pewnej *określonej* Polski. Tej Polski w obronie której Anglia i Francja chwyciły za broń. Polski objętej tą Kartą Atlantycką do której Stalin zgłosił swój akces¹. Powiedzmy to jeszcze ściślej. Ponieważ londyński rząd polski nie tylko nie wykluczył możliwości rewizji granic i nowego ich wytyczenia, lecz odwrotnie wyraźnie przyjął tę ewentualność jako możliwą w chwili zawierania pokoju — oto czego życzą sobie w rzeczywistości Hitler i Stalin : całkowitego zniknięcia Polski, która nie byłaby ani niemiecka ani rosyjska ; całkowitego zniknięcia *Polski polskiej*, tej Polski, która umrzeć nie chce.

5. Jak unicestwi się Polskę

Byłoby to klęską bezgraniczną gdyby ta Polska miała umrzeć, gdyby Europa dopuściła do jej śmierci.

Wiadomo co dziać zaczęłoby się w Polsce. Program jest ustalony zawczasu :

1^o Zniknięcie elity polskiej, która nie chce popełnić zdrady i która nie przestaje wierzyć w prymat prawa nad siłą. Zbędne są w tym celu piece krematoryjne Birkenau — Sybir z jego kopalniami i lasami wystarczy w zupełności. Byłaby to śmierć *inteligencji* polskiej.

2^o Masowa deportacja ludności polskiej na Kaukaz lub na Sybir i zastąpienie jej na całym obszarze nowego polskiego terytorium przez obcą ludność przybyłą z Uralu lub z poza Uralu. Byłaby to śmierć samego *ciała* Polski.

3^o Stworzenie Polski-widma, zewnętrznej marchii polskiej, której ofiarowanoby możliwość powetowania swych szkód na ziemiach autentycznie niemieckich — aż po Odrę! —, i od której zażądanoaby aby splamiła się współdziałając w masowej deportacji ludności niemieckiej. Byłaby to, tym razem w rozległej skali, nowa sprawa Cieszyna. Byłaby to śmierć samej *duszy* Polski : machiawelizm przelałby się wtedy drogą transfuzji z serca wrogów Polski do jej własnego serca. Widzimy już pozbawionych rozsądku Polaków, którzy skłonni są połknąć tę zatrutą przynętę.

6. Sprawa stref wpływów

Wiadomo również jak potoczyłyby się wypadki gdzie indziej. Nastalby, nie zrównoważony żadną inną siłą, triumf machiawelizmu i na długie lata koniec tego wszystkiego, co dotąd nazywano Europą.

¹ G. GAFENCO, *op. cit.*, str. 369.

Na gruzach państwa niemieckiego pozostałoby jedno — zrównoważyć imperializm Wschodu przez imperializm Zachodu. Podzielonoby zatem Europę na dwie sfery wpływów : atlantycką i eurazyjską. Będzie się jednak musiało przygotowywać trzecią wojnę światową na wypadek, gdyby te dwa imperializmy starły się ze sobą w Europie, pochłonawszy uprzednio to co znajduje się między nimi. Z drugiej strony skąd można wiedzieć jak długo jeszcze przegrodą między nimi będzie na Pacyfiku Japonia ?

Gafenco pisze w swej książce : « Nie jest nie możliwe wyobrazić sobie taki podział wpływów w Europie, przy którym Anglia zarezerwuje sobie *decydującą przewagę dla swych planów i interesów* na Zachodzie, a przyzna Z. S. S. R. prawo do takiej samej przewagi na europejskim Wschodzie. Taki jest pogląd Anglika Carr'a. Autor *The Conditions of Peace* życzy sobie takiej współpracy, przy której korzyści wynikające z podziału wpływów zdobędą przewagę nad korzyściami « *wyższego rzędu* », lecz bardziej « *chimerycznymi* » nowego porządku, który należałoby zrealizować. Jednakże myśl ta nie jest nowa. Sprowadza się ona do tego samego, czym był traktat w Tylży (1807) lub porozumienie w Moskwie. I niesie z sobą ryzyko tych samych ujemnych skutków, takiego samego biegu wydarzeń i takiego samego zakończenia. Napoleon i Hitler próbowali również uzgodnić swe plany i interesy z rosyjskimi, dzieląc z Rosją sfery wpływów na europejskim Wschodzie. Rezultatem tego był naprzód wzrost apetytów kosztem krajów sąsiednich, a potem konflikt między współpracownikami ¹. »

Polityka zalecana przez Carr'a nie obroniłaby Polski. Porzuciłaby ona Polskę na pastwę *drugiego* imperializmu.

9. Demon imperializmu

« Nawet gdy podbój nie jest początkowo celem wojny, kończy się ona zazwyczaj na podboju. W przekonaniu bowiem zwycięzcy wygodne jest przywłaszczyć sobie nie tylko ziemie zwyciężonego, ale nawet i ludność, by ciągnąć korzyści z jej pracy. W ten sposób właśnie powstały niegdyś wielkie imperia azjatyckie. Wszystkie one uległy rozkładowi pod wpływem najrozmaitszych czynników, w rzeczywistości zaś dla tego ponieważ były zbyt wielkie, aby żyć ². »

Konfederacja bałkańska Słowian południowych, która pozwoliłaby Rosji, zamkniętej od tysiąca lat w basenie Morza Czarnego, okrążyć jednym skokiem Cieśniny, aby znaleźć wyjście na Morze Egejskie i Adriatyk ; Polska, której nie odmówionoby już więcej Gdańska (ani nawet Prus Wschodnich, w stosunku do których posiadała ona tak długowieczne uprawnienia ; nie uwzględniane dotąd argumenty Polaków, którzy żądają dziś Prus Wschodnich,

¹ Str. 373.

² HENRI BERGSON, *Les deux sources*, str. 298.

będą mogły być z powodzeniem podjęte!), lecz która byłaby wcielona do Związku Republik Sowieckich, od chwili tej panującego nad Bałtykiem, — jakże oprzeć się podobnej pokusie, jak oprzeć się tym imperialistycznym snom o potęgę? « Tobie dam całą tę potęgę i chwałę wszystkich królestw całego świata; bo mnie są oddane a dają je, komu chcę » (Św. Łukasz, IV, 6).

Aby opanować ten zawrót głowy, aby zwalczyć to kuszenie demona imperializmu, trzeba by osiąść choć trochę ducha Tego, Który nie chciał « służyć jak tylko Bogu samemu ». W tym miejscu skłonmy się z podziwem przed Kutuzowem, zwycięzcą Napoleona, który w roku 1812, po oswobodzeniu terytorium Rosji, odmówił przekroczenia granic ojczyzny i przeniesienia działań wojennych do Europy¹.

Zresztą zgodna z duchem chrześcijańskim polityka nie odmówiłaby Rosji potrzebnych jej wyjść na Bałtyk i na Morze Śródziemne, ani nawet na Morze Północne i Atlantyk. Co więcej, polityka taka pragnęłaby usilnie pracować nad wcieleniem Rosji do społeczności europejskiej. Znalazłaby ona jednak swoje własne rozwiązanie tego problemu, polegające na umiędzynarodowieniu, na prawach wzajemności, pewnej ilości wielkich portów i lotnisk na obszarach rozmaitych państw. Byłoby to rozwiązanie problemu na drodze prawa, a nie na drodze siły. Takie rozwiązanie stanowiłoby krok naprzód ku współpracy narodów w obrębie tego, co Pius XII zwie społecznością międzynarodową, wielką wspólnotą rodzaju ludzkiego² i przygotowałoby w przyszłości unię federacyjną narodów. « Uniwersalizm, powiada Św. Augustyn, to trzeci szczybel w strukturze społeczności ludzkiej...³ »

Żaden wszakże imperializm nie potrafiłby naprawdę zjednoczyć świata. Ani dawny imperializm rzymski. Ani imperializm Świętego Cesarstwa, « wskrzeszony » przez hitlerowski pangermanizm. Ani imperializm Świętej Rosji. Albowiem jest prawem, iż « sama rozległość każdego mocarstwa rodzi wojny jeszcze bardziej okropne: walki społeczne i wojny cywilne⁴ ».

11. Polska prawdziwa

Henryk Bergson pisze o patriotyzmie: « Znali go już dobrze starożytni; uwielbiali oni ojczyznę i to właśnie jeden z ich poetów powiedział, iż słodko jest umrzeć dla niej. Daleko jest jednak jeszcze od tego uczucia przywiązania do państwa-grodu, zgrupowania ludzi w imię bóstwa, które pomagać im będzie w boju — do zjawiska patriotyzmu, który jest cnotą zarówno czasu pokoju jak czasu wojny, który zabarwić się może mistycyzmem, nie miesza jednak

¹ G. GAFENCO, *op. cit.*, str. 375.

² Encyklika *Summi Pontificatus*.

³ *De civit. Dei*, ks. XIX, rozdz. 7.

⁴ *Ibid.*

do swej wiary żadnego wyrachowania. Spowija się weń kraj naprawdę wielki. Wywyższa on życie narodu. Wchłania on w siebie z dusz ludzkich to co w nich najlepsze. Wreszcie tworzy się on wolno, nabożnie, ze wspomnień i z nadziei, z poezji i z miłości, po trosze ze wszystkich tych elementów moralnego piękna, które istnieją na ziemi, tak jak miód z kwiatów się wytwarza ¹. »

Po trosze z wszystkich tych elementów moralnego piękna, które istnieją na ziemi... Oto, co przede wszystkim stwarza ojczyznę, ojczyznę prawdziwą. Oto, co przede wszystkim sprawia, iż umrzeć dla niej jest czymś wielkim. Oto, co przede wszystkim zachowuje ją podczas wielkich katastrof dziejowych. Oto, co przede wszystkim czyni ją wtedy godną ponownego wyjścia z krainy cieni — ku światłu, z śmierci — do życia.

« Dla czegoż dana jest narodowi waszemu moc zmartwychwstania? »

« Nie dla tego że naród wasz był potężny, bo Rzymianie potężniejsi byli i umarli, a nie zmartwychwstali... »

« A wy będziecie zbudzeni z grobu, boście wierzący, kochający i nadzieję mający. »

« Wiecie iż pierwszy umarły którego Chrystus z grobu wzbudził był Łazarz. »

« I nie wzbudził Chrystus z grobu ani hetmana, ani filozofa, ani kupca, lecz Łazarza. »

« I powiada pismo iż Chrystus kochał go i był to jeden człowiek nad którym Chrystus płakał. »

A któż jest teraz Łazarzem między narodami? »

To Mickiewicz pisał te słowa w *Księgach Pielgrzymstwa i Narodu Polskiego*. W sto lat później, gdy Polskę załazały po raz pierwszy armie, podówczas sprzymierzone, Niemiec i Rosji, skolei papież Pius XII wyraził się w tych samych niemal słowach : « Chrystus, który oplakiwał śmierć Łazarza i swą ojczyznę w gruzach, zbiera i przechowuje łzy, które wy wylewacie nad waszymi drogimi zmarłymi i nad tą Polską, która umrzeć nie chce ². »

CHARLES JOURNET.

¹ *Les deux sources*, str. 299.

² Przemówienie z 30 września 1939.

PIEŚŃ O FLADZE

Jedna była... gdzie? Pod Tobrukiem,
druga była... hej! pod Narvikiem,
trzecia była pod Monte Cassino,

a każda jak zorza szalona
biało-czerwona, biało-czerwona!

Czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona.

Zebrały się nocą flagi,
flaga fladze dodaje odwagi :
— No, noo, nie bądź taka zmartwiona :

Nie pomogą i moce piekła,
jam ciebie, tyś mnie urzekła,

nie zmogą cię bombą ni złotem
i na zawsze zachowasz swą cnotę

i nigdy nie będziesz biała
i nigdy nie będziesz czerwona,

zostaniesz biało-czerwona
jak wielka zorza szalona,

czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona.

Tak mówiły do siebie flagi
i raz po raz strzelił karabin,

zrobił dziurę w czerwieni i w bieli,

lecz wołały flagi : — Nie płaczcie,
choćby jeden strzępek na maszcie,
nikt się zmienić barw nie ośmieli!
zostaniemy biało-czerwone
flagi święte, flagi szalone!
Z pod Tobruku i z pod Murmańska,
niech nas pędzi dola cygańska,
zostaniemy biało-czerwone,
nie spoczniemy biało-czerwone,

czerwone jak puchar wina,
białe jak śnieżna lawina,
biało-czerwone.

O północy, przy zielonych stolikach
modliły się diabły do cyfr,
były szarfy i ordery i muzyka
i stukał tajny szyfr.

Diabły w swoim sercu głupiem, bo niedobrem
rozwiązywały biało-czerwony problem.

Łkała flaga : — Czyżem powinna
zginąć, bo — jestem inna ?

że nie taka... dyplomatyczna,
że — tragiczna, że — nostalgiczna,

ta od mgieł i od tkliwej rozpaczy
i od serca, które nic nie znaczy,

flaga jak ballada szopenowska,
co ją tkąła sama Matka Boska.

Ale wtedy przyszła dziewczyna
i uniosła flagę wysoko,

hej ! wysoko ! ku samym obłokom !
jeszcze wyżej ! gdzie się wszystko zapomina,

jeszcze wyżej, gdzie jest tylko sława
i Warszawa, moja Warszawa !

Warszawa jak piosnka natchniona,
Warszawa biało-czerwona,

czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,

biało-czerwona,
biało-czerwona,
ohej ! biało-czerwona.

1. X. 44.

K. I. GALCZYŃSKI.

KOLEDA KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ

Synu, Synu — — cóż Ci po obrzędach —
Złocie ziemskim, myrrze, aloesie?...
— — Lecz wiem — gdy wiatr z Polski Ci przyniesie
Słowa, miłe Tobie, jak legenda
Twych dziecięcych dni: kolęda, hej, kolęda! —
Śmiejesz się (... jak — dzieckiem...), Ty — Król na Niebiesiach...

Synu mój — — obojgu nam sądzone
Trony nasze: Tobie zasiąść po Prawicy,
Mnie — na czoło Polską wdziać Koronę,
Aby lud mój — owi kolędnicy —
Co rok z gwiazdą śpieszył bellejemską
W Twoim sercu bożym — radość budzić ziemską...

— — Dziś mnie, ludu tego Matce i Królowej,
Patrzeć nań — nie z tronu Częstochowy:
Pod zmarzniętym róży białej zleął on krzakiem,
Jak bezdomny w Wigilijną noc przybędą...
Wilki złe odstrasza — krzyża drżącym znakiem...
Broni się — stygnącym szeptem: hej... kolęda...

Synu, Synu — — otom cała, z nim i przy nim:
Nie — na tronie... Nie — w kadzidel dymie...
Może rozgrzać go, ocalić go potrafię,
Gdy całuje twarz mą, żywą, — na ryngrafie,
Gdy przy sobie widząc mnie — Maryję —
Wie, że rąbkim z głowy go okryję?!

— — Ty, co kwiatu słyszysz śmierć pod jesień,
Ty, co żywot słyszysz w bzu młodego pędach —
Usłysz, Synu, w gwiezdnych sfer bezkresie,
Przyjmij, Synu (... gdy wiatr z Polski go przyniesie — —)
Szept mych łez: kolęda... hej... kolęda — — —

Fryburg, Boże Narodzenie 1945.

JERZY BRZOWSKI.

TESTAMENT 1945 :

1. Na czarnym brzegu, w czarnym kraju,
rzeka jak otok na mundurze,
jak złoty otok marynarski,
płynie raz w dole, raz na górze.

2. Noce spokojne, i wilgotne
oparem ciepła, a tęsknotą,
melodią bardzo uprzykrzoną,
płynące, ową rzeką złotą!

3. A wszystkie kraje — zagraniczne,
rozkosze wszystkie — mało-wiele,
smutno nad złotej brzegiem rzeki
tęsknić! a choćby z przyjacielem.

4. Jest jedna karczma fantastyczna,
ale wnet zniknie już w zieleni,
bo to i bluszcz, i gość podróżny
gęsto się tam, a chętnie pleni!

5. W brasserji owej płynie piwo
szeroką strugą bursztynową, —
tyle go słońce nawarzyło
za dobrych ludzi złą namową!

6. Liść każdy w słońcu się przegląda
gość każdy trunek, i nadzieję
miesza przebiegle, wiatr jak wstążką
zielono-złotą wkoło wieje — — —

7. Morze czerwieni sztandarowej, —
przyływ, — nadpływa mocną falą.
Archeologu przyszłych wieków, —
urnom, żalnicom, czyli żalom,

8. tęsknym przybytkom zieloności,
popielcom! myśląc o popiele, —
za dużo serca aby tylko
nie poświęć! lepiej : mało-wiele!

9. lepiej się owiń w sztandarowej
togę czerwieni : w tym kolorze,
jeżeli serca nie zagłuszysz,
znaczy, że nic ci nie pomoże, —

10. powrócą wszystkie niebezpieczne
kopalne smutki, i tęsknoty,
nadzieje, wątle jak w bursztynie
zastygły zabłąkany motyl.

11. dziedzictwo bardzo skromne, ale
nie lekkie! przeto ta przestroga
niechże ci służy, jeśli może,
zmarłego paleontologa.

JERZY GAJEWSKI.

WIGILIA

*Tej wigilii mi nie wyśpiewać — nie!
Dlaczego? — ty wiesz tak samo — cóż gadać...
Cóż z tego, że dawną kołędą śnieg
Na drzewka zielone zaczyna padać.*

*Bo cóż dziś sobie powiemy — cóż? —
Jak ci mam życzyć, żeby nie skłamać — —
Wiem przecież jak z ciężkich tych burz
Nam ciężko ten opłatek łamać.*

*I ty zapomnieć nie możesz, bo jak?
Chyba byś serca nie miał, ani Boga — —
Życzysz mi? lecz powiedz z tylu lat
Jaka do Betleem prowadzi droga...*

*Spójrz tylko w oczy — o, tak — o, tak...
I daj mi serca twego połowę — —
Bracie i tyś posiwiat — czego to znak —? —
Ty wiesz tak samo — cóż ja ci powiem? —*

WŁADYSŁAW ŁUCZAK.

ROZMOWA Z PRZYJACIELEM

Autorowi « Czerwonego wspomnienia »

Otwórz okno (świec nie gaś) i usiądź tuż przy mnie.
I nie mów nic. Nie trzeba. Wokoło jest cisza...
Pozwól gwiazdom mrugać, zalotnie, niewinnie
I do snu chmur gromadkę, jak dzieci kotysać.

Romantycznie jest — prawda? Drżysz cały w zachwycie
I oczy Ci się « pocą » jak u małej Nelly,
Bo za chwilę tędy przejdzie inne życie
Wolno, jakby na spacer szło w naszą niedzielę...

« Ktoś krzyknął ... »

Siedź spokojnie. To tylko ptak nocny
Obudzony szelestem cichym łzawej olchy.
To nie był krzyk rozpacz — męki bezowocnej —
Tam nigdy nikt nie wracał z « pochoronu Polszczy ».

Więc pocóż te myśli, czyż niedzielny spacer
Życia Cię nie wabi — ten krok poloneza —

« Gwiazdy ! » ...

To figłów anielskich pogubione race
Zawsze świecą na niebie — nie na żadnych wieżach...

Przecież bzy za oknem — a tam gdzieś w oplotkach
Psy się nawołują przeciągle — a w domu
Ruch, bo gdzieś kocięta porodziła kotka,
Więc szukają i spać się nie chce dziś nikomu...

« Zamknij okno! Wstał wiatr... zamknij niech nie skacze
płomień świec, a z nim cienie — Boże, jak pajace ».

JANUSZ KUCHARSKI.

IZOLACJA JAKO MOTYW KONSTRUKCYJNY

(Parę uwag o budowie teoryj naukowych i dzieł sztuki)

Wszelka teoria, chcąc dać pogląd na jakąś dziedzinę życia, musi abstrahować od całego szeregu zjawisk, zadowalając się tylko tymi, które są z jej punktu widzenia ważne i typowe. Wszystkich zjawisk w dziedzinie, do której dana teoria się odnosi nie obejmie ona nigdy, bo najpierw całkowita znajomość jakiegokolwiek odcinka życia nie jest człowiekowi dana, a ponadto współzależność zjawisk między sobą czyni sztucznymi i prowizorycznymi granice każdego odcinka badanego i sprawę coraz bardziej komplikuje. Nie ma badania, które się samo kończy, zamyka, — jeśli my go nie zamknijemy, to musi ono iść w nieskończoność (« *ins Uferlose* », Schopenhauer). To zamknięcie dzieje się między innymi przez ograniczenie treści badanej do tego, co z punktu widzenia autora teorii jest ważne czy « typowe ». W ten sposób zjawisko konkretne, zawsze powiązane tysiącem węzłów współzależności z resztą życia, zostaje dla celów poznawczych sztucznie wyodrębnione, oderwane od tej części węzłów, którą właśnie dla naszych celów tymczasowo traktujemy jako mniej ważną, a więc izolowane od swego tła. Konstrukcja, uzyskana tą drogą jest sztuczna, — chociaż świadomość tej sztuczności nie zawsze istnieje w umysłach ludzi z takiej konstrukcji korzystających, — prowizoryczna, stanowi « pomocnicze rusztowanie » (Sombart), które ma nam umożliwić zrozumienie i przewidzenie dalszego biegu zjawisk jakiegoś odcinka. Jest, używając terminologii Vaihinger'a, fikcją abstrakcyjną, neglektowną, która, zależnie od swojej treści, tj. od charakteru i napięcia fikcyjnego elementu w nią wchodzącego może wzgl. musi być po zrobionym użytku odrzucona. Izolacja takiej konstrukcji od tła zaznacza się w jej treści w dwojakim kierunku : w tym, że ona pewnych elementów nie posiada, oraz w tym, że inne elementy posiada w ilości nie odpowiadającej ich proporcjom w zwykłym konkretnym zjawisku. Zatem treść jej jest zarazem za rzadka i za gęsta ; nie ma ona tych elementów, od których abstrahowaliśmy, uznając je za mniej ważne lub choćby tylko dla naszego celu nieprzydatne lub niewygodne, posiada zaś w nadmiarze wszystkie te elementy, które uważamy za potrzebne dla zastosowalności teorii, a więc z punktu widzenia tej dziedziny życia, której zrozumienie teoria ta ma nam ułatwić. Fakty, którymi posługujemy się w teoriach, są zatem odbiciem rzeczywistości w zwierciadle zawsze nieco krzywym, są tworamiz sztucznymi, są wynikiem procederu oczyszczającego wzgl. także i uzupełniającego zja-

wiska konkretne, są rezultatem pewnej metody, pewnej sztuki, która ma nam ułatwić zrozumienie nieskończenie od każdej teorii bardziej skomplikowanej rzeczywistości, a która to metoda czy sztuka dlatego właśnie jest dla osiągnięcia tego zrozumienia, tak czy owak, niezbędna.

Bez tej fikcji abstrakcyjno-neglektywnej, która wyraża się między innymi izolacją zjawisk, niemożliwa jest żadna teoria, żadne poznanie, żadna nauka. Charakter tej izolacji zależeć będzie od charakteru fikcji, tj. od jej intensywności, stopnia oddalenia od rzeczywistości, techniki jej budowy itd. Ważną jest rzeczą, żeby po użyciu fikcji rozwiązać abstrakcje, w jej skład wchodzące, a więc wykazać oddalenie teorii od życia konkretnego, jej odległość kwalitatywną ew. także kwantytatywną. Takie rozwiązanie jest wskazane dla uniknięcia nieporozumień, które pochodzą z niedoceniań rozpięcia, dzielącego ludzkie poznanie od nigdy ostatecznie nie zbadanej i niepojętej rzeczywistości. Stąd potoczny, banalny zarzut, że dana teoria « nie zgadza się z rzeczywistością », chociaż najczęściej laicki, przecież mieści w sobie to ziarno prawdy, że miarą wartości teorii jest jej stopień zbliżenia do rzeczywistości. Z chwilą gdy większe oddalenie możemy zastąpić mniejszym — przez stworzenie nowej teorii — starą możemy odrzucić. Ale nie musimy tego uczynić, bo stara teoria może nam oddać jeszcze wielkie usługi. Gdyż rzeczywistość, która dziś jest zbyt oddalona od założeń starej teorii, by ta teoria mogła nas zadowalać, może jutro do tych założeń się znowu przybliżyć. I tak np. możemy przyznawać rację słynnemu dziś ekonomście angielskiemu J. M. Keynesowi, gdy krytykując założenie klasycznej teorii doskonałej wolnej konkurencji, prowadzące do poglądu jakoby każda podaż znajdowała gładko swój popyt, buduje nową teorię, w której odrzuca tę podstawę, zastępując zasadę reakcji automatycznej gospodarstw indywidualnych zasadą działalności państwa opartej o prawa psychologiczne rządzące rozporządzaniem dochodami przez jednostki. Przy tym jednak tak dziś liczni wielbicieli Keynesa zazwyczaj przeocząją, że stosowanie zasad i wskazań swej nowej teorii ogranicza ten autor tylko do czasu osiągnięcia przez gospodarstwo narodowe pełnego zatrudnienia, po czym wrócić musi polityka, oparta o zasady teorii klasycznej. Czyli że warunki konkretne zmieniają się wówczas w sensie zmniejszenia odległości założeń klasycznej teorii od życia.

Przykładem fikcji naukowej, w której moment izolacji występuje bardzo jaskrawo, jest fikcja « *homo oeconomicus* ». Polega ona na tym, że bada się zjawiska ekonomiczne zakładając, iż jedynym motywem działania ludzkiego w tej dziedzinie jest chęć osiągnięcia największego rezultatu gospodarczego najmniejszym kosztem. Jest to oczywista fikcja, bo człowiek kieruje się najrozmaitszymi pobudkami, a nie tylko chęcią zysku i trudno jest znaleźć taki czyn ludzki w dziedzinie gospodarczej, któryby był motywowany wyłącznie chęcią zysku. Abstrahowanie od innych motywów, a więc izolowanie elementu ekonomicznego, jest tym usprawiedliwione, że ma on

jednak tutaj wielką przewagę nad innymi, zaczem pomijając na razie te inne nie popełnimy dużego błędu, owszem zostajemy blisko rzeczywistości. Tak samo postępuje np. mechanika racjonalna, która dla ułatwienia sobie pracy pomija istnienie przeszkód, na jakie ruch ciał w rzeczywistości napotyka, lub chemia, która eksperymentuje ciałami idealnie czystymi, chociaż w naturze przychodzą one tylko w stanie nieczystym. Zarzucanie ekonomii politycznej, że nie liczy się z moralnością, powiada Pareto, równa się podnoszeniu pretensji, że teoria gry w szachy nie liczy się ze sztuką kulinarną.

Jednakowoż koncepcja *homo oeconomicus*, jakkolwiek pożyteczna i niewinna jeżeli jest należycie rozumiana, czysto stosowana i we właściwym czasie odrzucona, kryje w sobie niebezpieczeństwo. Jednym z najpospolitszych zarzutów przeciw klasycznej teorii ekonomii jest ten, że posługując się ową koncepcją oddala się ona od życia, bo « przecież na fikcji żadna nauka opierać się nie może » (St. Grabski). Owszem, bez fikcji, w szczególności bez izolacji, której charakter fikcji wyjaśniliśmy powyżej, żadna nauka, także nauka ekonomii, istnieć nie może, ani nawet pomyśleć się nie da. Istnieje jednak niebezpieczeństwo skutkiem tego, że skłaniamy się do materializowania abstrakcyj, do dopatrywania się w nich czegoś samoistnie egzystującego. Ponieważ fikcje naukowe są tylko chwytem metodologicznym, zawierającym sprzeczności z życiem konkretnym (taka np. fikcja liczby nieskończenie małej, na której opiera się rachunek różniczkowy, nie da się wogóle pomyśleć), to nadawanie im bytu samoistnego prowadzi do antynomii bez wyjścia. Przypomnijmy sobie, że już Spinoza przestrzegał przed przekształcaniem *Non Entia imaginaria* w *Entia*, zaś Kant przed dopatrywaniem się form istnienia w formach myślenia. Niemniej skłonność do materializowania abstrakcyj, osiągająca — zdaniem moim — swój nieprzekraczalny szczyt w spekulacjach gnostycyzmu, należy do najbardziej zakorzenionych nałogów myśli ludzkiej. Zdając więc sobie z tego sprawę, a zarazem rozumiejąc zdatność i pożyteczność takich konstrukcyj myślowych jak *homo oeconomicus*, możemy ze spokojem wzruszyć ramionami na moralnie, społecznie, historycznie czy inaczej uzasadniane krytyki, i określić tę koncepcję jako fikcję izolacyjną i neglektywną, prowizoryczną i pomocniczą. Rzecz śmieszna : ci sami, którzy podnoszą moralny czy społeczny protest przeciw ekonomii, korzystającej z instrumentu *homo oeconomicus*, z całym spokojem ułatwiają sobie badanie funkcji producenta, stosując koncepcję « przedsiębiorstwa », która jest absolutnie taką samą fikcją abstrakcyjną, jak *homo oeconomicus*.

Co jest celem izolacji, dokonanej przez abstrakcję od tła i kondensację treści ? Jest nim uwypuklenie pewnych zjawisk, które określiliśmy wyżej, jako « fakty teoretyczne », a przez to ułatwienie poznania zjawiska konkretnego. To uwypuklenie występuje mniej lub więcej wyraźnie, zależnie od stopnia oddalenia fikcji od tła, tj. od rzeczywistości, a więc od perspektywy, jako elementu składowego obrazu. Tło ma zawsze sens nieskończoności,

perspektywa zaś daje nam pewną koncepcję stosunków wielkości, dwojaką : stosunków bezwzględnych, porównywalnych z sobą (jakby w drugim wymiarze) faktów teoretycznych (np. dni pracy w teorii wartości Ricarda), oraz porównywalnych możnaby powiedzieć w trzecim wymiarze, tj. w stosunku do tła. Im gwałtowniejszy skrót, im większa odległość od tła, tym jaśniejsza, łatwiej zrozumiała może być teoria sama w sobie, ale też tym większe ryzyko jej niesprawdzenia się, przy rozwiązywaniu abstrakcyj, a więc przy weryfikacji praktycznej. Stąd odczuwane przez każdego naukowca niebezpieczeństwo popularnego przedstawiania teorii. Takie przedstawianie wymaga uproszczeń dalej idących niż założenia teorii, gdyż przystosowanych do niższego stopnia umiejętności myślenia abstrakcyjnego, niż posiadają naukowcy, oraz do z reguły mniejszego zasobu systematycznych wiadomości. Nie ma większego niebezpieczeństwa skompromitowania się teorii naukowej, jak ujęcie jej w slogan.

Literatura, której jednym z celów jest stworzenie pewnych typów osobników, a przez to środowisk, musi również posługiwać się izolacją. Nawet przedstawienie bardzo szczegółowe jakiegoś wycinka z życia (jak to czyni np. Sinclair Lewis, poświęcając pierwszych 100 stron swej znanej powieści opisowi niecałego jednego dnia życia jej bohatera, Babbita), będzie ułamkowe, niekompletne, bo musi abstrahować od wielu elementów psychologicznych, czy socjologicznych, składających się właśnie na owe « tło ». Tworzenie typów przez literaturę polega na koncentrowaniu w jakichś osobach pewnych właściwości z wykluczeniem pewnych innych. Podobnie jak w nauce może i tutaj rezultat być bardzo rozmaity zależnie od punktów wyjścia. Można w nauce skonstruować sobie, w razie potrzeby, takie twory, jak *homo oeconomicus*, *homo religiosus* itp., tak samo jednego i tego samego człowieka można raz w literaturze przedstawić jako działającego wyłącznie pod wpływem miłości i przyjaźni, a drugi raz pod wpływem wścieklej pasji i chęci zemsty (np. w znakomitej powieści Alarcona « *El Escandalo* », Don Diego, najlepszy przyjaciel i powiernik, pod wpływem babskich intryg staje się zajadłym, nieprzejednanym wrogiem). Tutaj mamy te same problemy odległości od tła, perspektywy itd. Podobnie jak w nauce teorie skonstruowane przy pomocy szeregu założeń, odrywających się od życia, mogą dać obraz bardziej harmonijny, logicznie lepiej związany a przez to bardziej sugestywny i przekonujący, niż takie teorie, które, krępując się w użyciu abstrakcyj i uproszczeń, doprowadzają do mniej jasnych, mniej estetycznie zadowolających i trudniej zrozumiałych wniosków, — podobnie w literaturze typ będzie, można powiedzieć, o tyle czystszy i piękniejszy w znaczeniu przejrzystości i prostoty budowy im bardziej jest wyodrębnionym od reszty życia.

W tym punkcie napotykaemy jednak na rozbieżność między celami nauki a celami sztuki, w tym wypadku literatury. Celem nauki jest przede wszystkim poznanie, jest stwierdzenie rzeczywistości w jej aktualnym prze-

biegu, a stąd ocena prawdopodobieństwa jej przyszłego rozwoju. Celem literatury może być to samo, ale nie musi być tylko to. Nie wdając się w dyskusję powiedzmy sobie, że może nim być także stworzenie pewnych typów idealnych, w ogóle persekwowanie ideałów, także zapomocą stronniczego a więc fałszywego traktowania i przedstawiania rzeczywistości, przez — świadome lub nieświadome — podporządkowywanie jej jakimś celom etycznym. Zgadza się więc, bez dyskusji, że literatura ma szerszy zakres działania niż nauka, bo przekraczając granice poznania wchodzi w dziedzinę działania. Zgodnie z tym możemy odróżnić w literaturze dwie kategorie typów : ludzi, zbliżonych do rzeczywistości i takich, którzy są wzorowani według jakiegoś ideału, dodatniego czy ujemnego, pisarzy zaś podzielić możemy według tego, czy tworzą głównie postacie pierwszej, czy drugiej kategorii. Oczywiście podział taki jest bardzo sumaryczny, bo ten sam autor daje nieraz postaci jednego i drugiego typu, ponadto zaś oba typy są czasem w jednej postaci zmieszane. Wydaje mi się jednak, że ten podział ma sens, tym bardziej, że wykazuje pewne analogie w twórczości naukowej¹. Zresztą te różnice typów, niezmiernie ważne dla charakteru dzieła sztuki i dla jego roli społecznej, nie mają żadnego znaczenia o ile chodzi o technikę posługiwania się izolacją. Weźmy parę przykładów :

Myszkini w « *Idiocie* » Dostojewskiego, najpiękniejszy typ (kat. I) dobroci nieziemskiej, nierealnej. Człowiek o anielskiej czystości serca, altruista bez skazy (Brueckner), żyjący na marginesie życia, potrącany, wyzyskiwany, lekceważony przez tych, którzy go naciągają. Taki typ idealny mógł powstać tylko przez silną izolację od tła, pełnego pospolitości, namiętności, intryg i walk, co autor uwydatnia także nazywając bohatera idiotą.

Jako przykład izolowania szeregu typów (kateg. I-ej), składających się na małe środowisko, żyjące własnym życiem, w odosobnieniu od reszty świata, może nam służyć powieść Blasco Ibaneza « *La Catedral* ». Autor przedstawia tu światek sług zatrudnionych od pokoleń około katedry w Toledo, żyjących z niej, dla niej i w jej cieniu, zubożałych, odkąd nowe rządy odebrały katedrze dochody, nie widzących poza tą pracą i skostniałą tradycją religijną, niczego na świecie. Symbolem tego wyodrębnienia od świata jest, że domy kapitulne, w których ci ludzie mieszkają, mają dostęp do miasta tylko przez wieżę kościelną, zamykaną co wieczór o 9-tej godzinie na klucz przez księdza ekonomę. Gabriel Luna, potomek rodu od setek lat służącego katedrze, niezwykle zdolny, zapalczywy idealista, porzuca seminarium duchowne dla

¹ Do pisarzy, dających przeważnie typy I-ej kategorii zaliczyłbym np. : Balzaca, Flauberta, Dostojewskiego, Gogola (*Martwe Dusze*, ale nie *Taras Bulba!*), Manzonię, Sinclaira Lewisa, Bromfielda, Cronina, Cervantesa, Pereza Galdosa ; do grupy, tworzącej głównie typy II-ej kategorii, zaliczyłbym np. : Unamuna, An. France, G. B. Shawa, T. T. Jeża, Orzeszkową, Żeromskiego (ale o ile np. w « *Urodzie Życia* » Piotr Rozhucki odpowiada kat. II-ej, to Tatjana jest doskonałym typem kategorii I-ej).

obrony religii i monarchii pod sztandarami Don Carlosa, przeciw liberalistom. Na wygnaniu styka się ze świeckimi intelektualistami i przekształca się w anarchystę. Po latach ideowej propagandy, włączył po mitingach, redakcjach i więzieniach całej Europy, wraca złamany i zrujnowany fizycznie do katedry, gdzie ma brata, zakrystjanina, żeby tam życia dokonać. Tutaj, widząc tę nędzę ludzką, żyjącą w cieniu katedry, łaknącą biernie poprawy losu i odrobiny światła, zaczyna udzielać tym ludziom tego światła, pouczając ich, że cała historia ludzkości, a Hiszpanii w szczególności, jest pasmem wyzyskiwania biednych, że wszelka praca jest tylko koniecznością, narzuconą przez próżniaków-wyzyskiwaczy, i rozchwiewa ich wiarę w Boga, dowodząc nonsensu tej wiary argumentami zaczerpniętymi z astronomii i z dosłownej interpretacji St. Testamentu. Jak na to społeczne zło zaradzić? Podnosić się na duchu i czekać cierpliwie ewolucji, która przecież kiedyś przyjdzie napewno, bo zaufanie Luny w dobroć ludzką jest przecie niezachwiane. W rezultacie pokorni i ubodzy duchem jego uczniowie, dzwonnik, stróż katedralny i nędzny szewc-łatacz, po długotrwałych deliberacjach, podpisawszy sobie dla nabrania odwagi, przychodzą obrabować skarbiec katedry, a czując wdzięczność wobec swego mistrza za otworzenie im nowych horyzontów i nadziei, proponują mu współnictwo. On, przerażony, widzi się w sytuacji ucznia czarnoksiężnika. Nic nie miałby przeciw oddaniu klejnotów katedralnych dla poprawy losu nędzy proletariackiej, ale wzdraga się na myśl że miałby tu znowu zatryumfować egoizm jednostek, że znowu zwyciężyłby rabunek i wyzysk, przynosząc korzyść kilku bandytom. Staje w obronie skarbcza i pada, raniony śmiertelnie.

Izolacja jest tu dwojaka : najpierw to zupełne wyodrębnienie środowiska katedralnego, żyjącego jakby pod kloszem, prawie bez żadnej komunikacji fizycznej i duchowej ze światem zewnętrznym ; powtóre : ideom anarchistycznym, głoszonym przez Gabriela Lunę nie są przeciwstawione żadne argumenty. Opinie, które wysuwają jego rozmówcy, są ubożuchne, tradycyjne, niezróżniczkowane, naiwne, oparte wyłącznie na wierze, — zupełnie nie są na poziomie wyrobienia umysłowego i dialektyki propagandzisty partyjnego. Dlatego mogą się jego argumenty przeszczepiać w dusze tych naiwnych ludzi jak kultury tyfusu, w czystym klinicznym stanie. Idealne elementy tej propagandy działają ku pociesze i podtrzymaniu ducha siostrzenicy bohatera, zmaltretowanej przez życie i zbolącej, albo kapelmistrza katedry, żyjącego tylko muzyką i dla muzyki, uwielbiającego Beethowena ponad wszystko co boskie i ludzkie. Ale elementy nie-idealne, kontrasty, z których ci biedni ludzie dopiero teraz zaczynają sobie zdawać sprawę, apetyty przez to rozbudzone, popychają ich nie do rozmyślenia nad udoskonalaniem ludzkości, ale do czynu energicznego, bezpośredniego, — takiego, na jaki ich stać. Kiedyś wynikiem takich nauczania były zamachy bombowe, za które Luna, przecie idealista, najostrej się im przeciwstawiający, musiał pokutować ciężko po więzieniach, — teraz ten zamach na skarbiec ! Efekt, zamierzony

przez autora, zostaje w mistrzowski sposób osiągnięty przez zastosowanie metody izolacji. Widzimy jasno jak na dłoni, że zburzenie czyichś wierzeń i ideałów, w miejsce których nie daje się właściwie nic, prócz negacji, ma za rezultat zachwianie podstaw moralnych, podniecie do czynu, obudzenie prymitywnych tendencji, hamowanych dotychczas regułą moralności, której zabrakło.

Przypatrzmy się teraz z kolei powieści Rodziewiczówny, « *Na Wyżynach* ». Tu nie chodzi nam tyle o typy, chociaż cała powieść napisana jest celem uwydatnienia wartości etycznej bohatera, Dyzmy Krysypina, przedstawiającego typ apostoła (więc kat. II). Dla nas powieść ta jest bardzo charakterystyczna ze względu na izolację środowiska, w którym akcja się odbywa, od reszty świata. Celem tego « zawieszenia w powietrzu » bezpośredniego środowiska jest oczywiście stworzenie wydajniejszego tła najbliższego, w oderwaniu od tła dalszego. Że przez to zadanie autorki się ułatwia, to inna kwestia. W tej powieści spotykamy typy 3 gatunków etycznych : zupełnie białe, idealne (Dyzma, jego babka-wychowawczyni, przeważnie także jego rodzeństwo), czarne (rodzina Fustów, z wyj. ojca, Olekszyc), i mieszane. Teren akcji : fabryczna osada Holendry, potem także sąsiednia osada, Lipowiec. Z reszty świata Warszawa jest wspomniana parokrotnie, Berlin, Królewiec, Ryga po jednym razie, — dla akcji nie mają one żadnego znaczenia. Zagadnienia ekonomiczne tego ośrodka przemysłowego właściwie nie istnieją. Kupuje się i sprzedaje po stałych cenach, zresztą niewiadomo od kogo i niewiadomo komu. Trudności konkurencji, losy koniunktur, — to wszystko nie istnieje. Jeżeli są komplikacje gospodarcze (opał — woda) to rozgrywają się tylko między wspomnianymi dwiema osadami. To samo komplikacje uczuciowe, — nie sięgają one poza kilka osób, żyjących na miejscu. Zatem środowisko bezpośrednie jest nakreślone tak, jakby znajdowało się na wyspie pośród oceanu, lub jakby było zawieszzone w powietrzu. Rezultat : łatwiejsza koncentracja typu głównego, w kierunku wyidealizowania go, a przez to propagandy celów etycznych autorki (prawość, miłość bliźniego, surowość obyczajów, bezwzględne uznawanie władzy). Czytelnikowi, znającemu życie, może postać bohatera, właśnie z powodu sztuczności tła, wydać się nieprzekonywującą, papierową, ale jako powieść dla młodzieży może ta książka spełniać doskonale swój cel etyczny.

Szczególony rodzaj izolacji da się zaobserwować w sztukach teatralnych i w kinie. Polega on na abstrahowaniu od czasu, co się wyraża skrótem, sprowadzaniem czasu danej akcji do minimum. W życiu konkretnym wszelka akcja fizyczna czy psychiczna wymaga, do swego dopełnienia się, pewnego czasu, stojącego w prostym stosunku do oporu danej materii wobec zmian, przychodzących z zewnątrz. Oczywiście bywają sytuacje konkretne, w których ten opór jest zredukowany prawie do zera, gdzie reakcja fizyczna czy duchowa na podniecie zewnętrzną jest natychmiastowa. Pomijamy odruchy i reakcje

instynktowne, jako niekontrolowane przez wolę. Ale weźmy reakcje wynikające z rutyny ruchów, albo np. bezpośredni poryw do obrony osób bliskich czy ojczyzny itp. Ograniczmy się jednak tutaj tylko do przykładu miłości, tj. nawiązywania jej i doprowadzania do małżeństwa. Na scenie czy ekranie musi być przebieg tego uczucia, od chwili wyklucia się go do chwili realizacji, przedstawionej, ze względów konwencjonalnych w formie zawarcia małżeństwa, być ujęty w skrócie. To co w rzeczywistości wymaga miesięcy lub przynajmniej tygodni czasu, zajętych dojrzewaniem tej zmiany psychicznej, a więc pokonywaniem bezwładności elementów, stawiających opór tej zmianie, odbywa się na scenie czy na ekranie w ciągu jednego lub paru dni, a więc w skrócie gwałtownym (np. sztuka Pirandella « *Świt, dzień i noc* »). Im bliższa jest konstrukcja danej sztuki regułom klasycyzmu greckiego jedności osób, miejsca i czasu, — regułom dyktowanym naturą i techniką sztuki dramatycznej — tym bardziej skrót ten wydaje się nam ostry, a rozwój uczuć, jak widzimy, osobliwy i niezwykły. Nie odbywa się ten proces bez pozostawienia pewnych żużli, pewnego niepożądanego produktu ubocznego. Upodobnia on bowiem miłość do gwałtownego pociągu pociowego, którego przyspieszona realizacja przybiera np. w kinie z reguły formę małżeństwa tylko ze względu na idącą z Ameryki moralność purytańską, mocno podszytą hipokryzją. Dalsze wrażenie : że *happy end* kinowy jest tylko jakimś prowizorycznym załatwieniem sprawy, że właściwy dramat zacznie się nazajutrz. Statystyki rozwodów w U. S. A. zdają się wzbudzać przypuszczenie, że ten telegraficzno-ekspresowy styl rozwoju uczuć, jaki nam przedstawia kino hollywoodzkie, nie jest jednak tak odległy od prawdziwego życia, jakby się to nam w zacofanej Europie wydawało. A więc i ostrość tego skrótu musi inaczej być odczuwana przez widzów czy słuchaczy w starym a inaczej w nowym świecie.

Izolacja w muzyce ma do czynienia z innym materiałem, o tyle, że tutaj następstwo w czasie wzgl. współczesność działania elementów ma pierwszorzędne znaczenie. Odróżnić tu można :

a) Odosobnienie zupełne motywu od tła bezpośredniego np. ekspozycja duxa w fudze, początek pierwszego motywu w Allegro *V-tej Symfonii* Beethowena, trąbka w 3-ciej odsłonie opery « *Fidelio* » Beethowena, zwiastująca przyjazd ministra (moment najbardziej dramatyczny i wstrząsający, jaki scena dać może, — tutaj działanie izolacji uzasadnione jest nie tylko muzycznie, ale i dzięki świadomości słuchacza, że ów przyjazd ministra położy kres okrucieństwu gubernatora więzienia don Pizarra wobec bohatera opery, Florestana) ;

b) Odosobnienie częściowe, na tle bezpośrednim. A więc temat w fudze na tle kontrasubjektu, albo wogóle linia melodyczna jakiegokolwiek motywu w przeciwieństwie do tła harmonicznego. Tutaj już sposób techniczny izolacji musi być nieco odmienny i wyrażać się z reguły zapomocą konstrukcji, dynamiki lub szczególnej instrumentacji.

Cel izolacji w muzyce jest oczywiście inny jak w nauce lub w literaturze. Nie ma tu ani dociekania prawdy obiektywnej, ani persekwowania ideałów etyczno-społecznych. Celem jest wywołanie pewnego efektu estetycznego przez skupienie uwagi słuchacza właśnie na motywie, mającym pewne dane charakterystyczne, pewną odrębną rolę w porównaniu z innymi, odmienne zadanie architektoniczne. Ale i dalszych, pośrednich, « wyższych » celów muzyki nie można pomijać. Działanie jej jest tak wszechstronne i tak potężne, że i z tego punktu widzenia można rozpatrywać rolę izolacji.

Na osobne studium zasługiwałoby zagadnienie izolacji w malarstwie. Tutaj — na pierwszy rzut oka — nasuwają się problemy kompozycji, perspektywy i karykatury, obok tego zaś występuje duże znaczenie skrótu, jako elementu przestrzennego, podczas gdy na scenie i na ekranie jego polem działania jest czas. Kompozycja malarska, posługując się rysunkiem i kolorystyką, dąży do skupienia uwagi widza na najważniejszej postaci czy przedmiocie, a to przez pominięcie, czy odsunięcie ubocznych postaci czy przedmiotów jak np. postać Witołda w *Bitwie Grunwaldzkiej* Matejki (owa « symbolika linii » z której tak pokpiwał sobie niesłusznie St. Witkiewicz) albo postać św. Marka w « *Cudzie św. Marka* » Tintoretta, którą przede wszystkim każdy widzi, choć żadna z osób na obrazie przedstawionych jej nie dostrzega. Stosowanie perspektywy dla celów izolacji wymagałoby specjalnego studium. Zaznaczmy tu tylko w jaki prosty i dostępny zmysłem sposób rozwiązuje się problem izolacji kwantytatywnej w malarstwie bizantyńskim, u prymitywów włoskich itp. Figury, mające znaczenie pierwszorzędne są po prostu większe od swego otoczenia, — podobnie w ołtarzu mariackim. Przez to zatarcie proporcji, odsunięcie się od rzeczywistości, izoluje się główne postacie w stosunku do otoczenia, ściągając na nie uwagę widza. Karykatura, w odniesieniu do szczegółów, uwydatniających jakiś rys charakterystyczny, ma podobne zadanie jak kompozycja czy perspektywa w odniesieniu do postaci czy przedmiotów. Uwzględnić wreszcie trzeba, że sztuki plastyczne, a w pierwszym rzędzie malarstwo, mają cele podobne do literatury : obok przedstawienia prawdy (ileż to przesady było jednak w ultra-realistycznym stanowisku Witkiewicza w « *Sztuce i krytyce u nas* »!), są także cele etyczne, które w pewnych okresach bodajże większą miały rolę w rozwoju sztuk plastycznych, niż cokolwiek innego. Zatem izolacja ma tu rolę służyć dopięciu tych celów etycznych. Szczególnie skutecznym środkiem do tego celu jest np. koloryt.

Wniosek z tego prosty : nauka czy sztuka, chcąc spełnić swój cel poznawczy, etyczny, czy estetyczny, musi najpierw sama zdawać sobie sprawę z ograniczonej możliwości człowieka operowania materiałem pojęć i wrażeń, a powtórnie umieć zastosować takie metody trafienia do psychiki odbiorcy, które w możliwie największym stopniu zapewniają osiągnięcie celu. O ile chodzi o obraz rzeczywistości w nauce czy w sztuce, to jest on i musi być zawsze niedokładny, bo całość rzeczywistości nie da się ująć ludzkim zmysłem

ani ludzkiemu rozumowi, a więc nie da się z całą dokładnością poznać i przedstawić. Takie zarzuty jak : « teoria nie zgadza się z rzeczywistością », « teoria nie pokrywa się z praktyką », « teoria dba o swą własną logikę, odmienną od logiki faktów » itp. mogą być bardzo poważne, jeżeli są stawiane przez ludzi, znających « fizjologię » teorii, są jednak z reguły banalne i puste. Logika teorii, jak widzieliśmy, jest zupełnie innym problemem niż logika faktów i mimo odmienności jej od rzeczywistości, mogą wnioski teorii być bliższe prawdy niż wnioski praktyki, wyciągane z nienależycie oczyszczonych przez izolację szeregów faktów. Żadna teoria nie może zupełnie zgadzać się z rzeczywistością, bo nie zdoła objąć wszystkich elementów pozalogenicznych i irracjonalnych, które w każdej praktyce odgrywają ogromną, często decydującą rolę. Metoda izolacji, umożliwiająca uzyskanie pojęciowo czystych elementów rozumowania, a więc budowę teorii, przez to zaś spełnienie celu poznawczego nauki, wobec posiadania przez umysł ludzki ograniczonych tylko możliwości pojmowania i operowania abstrakcjami (które to ostatnie możliwości mogą być jednak wzmożone przez zastosowania matematyki), jest koniecznością *sine qua non* wszelkiej teorii naukowej. Znajduje ona swój odpowiednik w sztuce, która, mając do czynienia z tym samym materiałem psychicznym odbiorcy, musi stosować podobne chwytły, by dojść do swoich celów.

ZYGMUNT RAWITA GAWROŃSKI.

WIĘZIENNY EROTYK

E. J.

Wpatruję się długo w trzy słowa
nabazgrane ołówkiem na ścianie : —
W tę najdłuższą miłosną rozmowę...
W powitanie i pożegnanie —

W nadzieję, która właśnie kona
paragrafem odcięta od świata —
W rozstrzelone tęsknotą ramiona —
W dnie, jak noc — które noc przeplata...

I w radosne, wieczorne godziny —
I w uśpionych traw kołys dokoła —
I w omdlałe zapachem jaśminy —
W dreszcz zaklęć — miłosnych zawołań...

Wpatruję się długo w trzy słowa
nabazgrane ołówkiem na ścianie,
pisząc plagiat — najdłuższą rozmowę
tak jak on : — « ty moje kochanie » —

JANUSZ KUCHARSKI.

JESLI WLAZŁEŚ MIĘDZY WRONY...
ALBO
NIE MA WYJĄTKÓW BEZ REGUŁY
CZYLI
WSTĘP DO NAUKI JĘZYKA ANGIELSKIEGO

Artykuł niniejszy jest wstępem do gramatyki angielskiej, która z powodów niezależnych od Autora nie ukazała się drukiem. *Przyp. Red.*

Psiakrew! Piekielnie trudny język! Można sobie na nim zęby połamać! A jednak nawet małe dziecko w Anglii ledwie to-to od ziemi odrośnie, już mówi po angielsku całkiem niezłe. Co więcej, również i polskie dzieci przebywające tu od lat kilku, więc byle importowany przez wojnę Staszek czy Józek, byle Terenia lub Krysia, mówią tak, że w kozi róg zapędziłyby nas, dorosłych pielgrzymów. Czyli my także powinniśmy zabrać się do nauki, i to, choć stare już konie, zaczynając od elementarza, więc od litery « a ».

Tak, lecz właśnie litery « a » nie ma w alfabecie angielskim. Tzn. jest, jednakże nazywa się zupełnie inaczej, mianowicie « ej ». Słowo honoru! « A », pierwsza litera alfabetu, nazywa się po tutejszemu « ej ». Gdy cię bracie spytają o imię i nazwisko, i gdy odpowiesz, że nazywasz się dajmy na to, ADAM KOWALSKI, zdziwią się bardzo, wytrzeszczą oczy i powiedzą: « *How do you spell it?* » Wtedy musisz wyrecytować, że na chrzcie świętym dostałeś imię « *Ej, di, ej, em* », nazywasz się zaś po ojcu « *Kej, ou, double* (czytaj dabl) *ju, ej, el, es, kej, aj* ». Wszystko to razem brzmi ADAM KOWALSKI. No i nie dziwny język? A jesteśmy dopiero przy samym początku, przy literze « a ».

Choć to rzecz irytująca, trzeba sobie najpierw dobrze wbić w łeb, jak się nazywają wszystkie litery po angielsku, bo co krok wypadnie ci « *spellować* », czyli sylabizować, nie tylko nazwisko lub adres ale także poszczególne wyrazy. Anglicy, jeśli idzie o pisanie lubują się w skrótach i zamiast powiedzieć « *member of Parliament* » (członek parlamentu), poprzestają na skrótce « *Empi* », który zresztą może oznaczać także... policję wojskową (*Military Police*). Działa tu pośpiech albo coś w rodzaju lenistwa, czasem jednak w grę wchodzi dobre wychowanie, dyskrecja, takt. W dwadzieścia cztery godziny po pojawieniu się nad Londynem latających bomb, pisano o nich w gazetach, jako o « *P-planes* », czyli « *Pilotless planes* ». Co za tempo! Gdy tylko przy jakimś nazwisku przeczytasz dodatek « *V. C.* »,

oznacza to, że posiadacz owego nazwiska został odznaczony krzyżem Wiktorii. Istnieje całe mnóstwo najrozmaitszych skrótów, drukowanych możliwie a raczej niemożliwie drobnym maczkiem, — skrótów, które musisz poznać i nauczyć się zgadywać je bez wypytywania przechodniów, a to czasem dla uniknięcia sytuacji wielce kłopotliwej. Ot np. jesteś w tłumie oczekującym nadejścia pociągu kolejki podziemnej, i nagle oczy twoje padają na plakat z napisem « *V. D. are dangerous* »¹. Wiesz, że po polsku « *dangerous* » to « *niebezpieczny* », głowisz się zatem co ci grozi, ale będzie lepiej znacznie, jeśli sam zgadniesz nie przeprowadzając ankiety pośród najbliższej stojących. Dużo, wściekle dużo tych skrótów czyha na każdym kroku, w każdej gazecie, na rogu każdej ulicy, wszędzie. Choroba ciężka!

Musisz przede wszystkim wykuć nazwy wszystkich znaków alfabetu, ponieważ bez tego przepadniesz. Anglicy mówią tak, jakby poprostu zależało im na tym, aby ich nikt nie zrozumiał. Ot, przez dwa lata byłem święcie przekonany, że każdy koń rozwózający mleko nazywa się « *Bubek* ». Mleka nie lubię, ale bardzo lubię konie, zwłaszcza, że w Krakowie byłem wieloletnim prezesem « Towarzystwa opieki nad zwierzętami », która to godność, choć tak dawno temu piastowana, bardzo ułatwia mi życie w Anglii. Skoro tylko w rozmowie wspomnę o tej prezesurze, zaraz ludzie patrzą na mnie inaczej, mianowicie z szacunkiem. Na mnie, a może i na nasz kraj... Lecz wracam do « *Bubka* ». Otóż lubię konie, interesuję się ich życiem, dlatego zastanowił mnie ten dźwięk « *Bubek* », powtarzający się w ustach każdego mleczarza. *Bubek i Bubek! Cóż do diabła! Czy nie mogą znaleźć nic innego? Jakiż to brak fantazji!*

Mniej więcej po upływie półtora roku zacząłem słyszeć ten dźwięk jako « *Gubek* », a dopiero po dwóch latach spadło na mnie jakieś natchnienie i wykombinowałem nagle, że jest to rozkaz « *Go back* »! czyli nasze « *Następ!* » albo « *Cofnij się!* » A przyjaciele, znajomi i pochlebcy utrzymują, że jestem człowiekiem inteligentnym.

Mleczarz, nawet angielski nie musi być człowiekiem inteligentnym. To pewna, że im z tzw. « wyższej » sfery pochodzi dany Anglik, tym wyraźniejszą ma dykcję, choć zdarza się, że nawet sam CHURCHILL powie coś tak, jakby pragnął ze wszystkich sił by go nie zrozumiano. W każdym razie, najczęściej w Anglii spotykany zwrot brzmi : « *I beg your pardon* », czyli dosłownie : « Proszę o pańskie przebaczenie », w rzeczywistości jednak zdanie to prawie zawsze znaczy : « Nie rozumiem » albo « Nie dosłyszałem, proszę powtórzyć ! » Nie należy jednak wyobrażać sobie, by Anglik fatygował się i mówił naprawdę całe zdanie « *I beg your pardon* ». Ani mu to w głowie! Jeśli jest w szczególności dobrym humorze i ma czas, zadowoli się skrótem « *Beg pardon* », zazwyczaj jednak słyszymy tylko « *pardon* », wypowiedziane jako « *pa-dn* ».

¹ Venereal Diseases albo Victory Day.

Wogóle, panie Adamie, — przepraszam, że tak poufale mówię — ucząc się gramatyki angielskiej, trzeba się uczyć... Anglików. Razem z formami suchej, przenudnej gramatyki należy na boczku studiować formy życia tego cudacznego narodu, jego zwyczaje i obyczaje, zalety, wady, a nawet, nawet nie wahać się powiedzieć, jego duszę. Stąd zarówno w tej zwięzłej przedmowie jak i w dalszym ciągu książki, natrafi pan na rozmaite wycieczki, czasem osobistej natury, na przeróżne uwagi czy wkładki, pozornie z gramatyką nic wspólnego nie mające, a przecież, zdaniem autora, potrzebne. Zresztą, w czymże bardziej wyraźnie i jasno odzwierciedla się dusza człowieka i dusza narodu, niż w mowie ?

Otóż mowa czy wymowa angielska jest, jak wspomniałem, przede wszystkim niewyraźna. Wiele wody upłynie w Tamizie, zanim zdołasz ocenić tej mowy piękno i bogactwo. Na razie uznasz język tubylców za niechlujny bełkot i rozgrzeszysz mnie który przedmowę zacząłem od przekleństwa, od polskiego « psiakrew ». Nie brak nauczycieli, którzy swym początkującym uczniom każą trzymać fajkę w ustach podczas nauki. Że niby właśnie w ten sposób nabiorą dobrej, prawidłowej i pięknej wymowy. Trafi się i belfer, który doradza żucie gumy, ale to pańska prywatna sprawa, panie Kowalski, czy wybierzesz fajkę czy gumę. Idzie głównie o to, byś spotkawszy Anglika, robił właściwy użytek z uszu i oczu. Słuchać, słuchać i słuchać ! Oraz patrzeć ! Nawet nie patrzeć ale podpatrywać, a potem naśladować, nie wstydząc się bynajmniej.

Naśladować ? Mało ! Trzeba wręcz małpować, obserwując bacznie każdego tubylca. Dostrzeżesz rychło, drogi panie Kowalski, że wargi autochtona są prawie nieruchome podczas mówienia, że, szczególnie górna warga nie drgnie nawet, oraz że podbródek a raczej dolna, przeważnie sztuczna szczeka jest dyskretnie cofnięta. Ponadto język Anglika — mam na myśli dosłownie język, inaczej ozór — nie odznacza się wielką obrotnością oraz tenże ozór woli nie dotykać zębów i trzyma się od nich zdala. Nie umiem powiedzieć, czy język ten zachowuje się tak z wrodzonego lenistwa czy też ma inne powody, więc choćby to, że jak wspomniałem, w Anglii przeważają zęby sztuczne, wyrabiane sposobem seryjnym, fabrycznie. Nb. ciekawa i znamienna rzecz, że w tak bogatym kraju było przed tą wojną procentowo mniej dentystów niż w zachodniej i środkowej Polsce.

Czy to ma związek z niewyraźną dykcją i czy Anglicy zjedli zęby na angielskim języku, nie wiem, dlatego też wracam do alfabetu, którego wszystkich liter musimy się nauczyć : *A-ej, b-bi, c-si, d-di, e-i* (Adasiu, nie rób niemądrej miny ! Gdy mówię, że « e » wabi się po angielsku « i », możesz mi wierzyć na słowo !), *f-ef, g-dzi, h-ejcz, i-aj, j-dzej, k-kej, l-el, m-em, n-en, o-ou, p-pi, q-kju, r-ar, s-es, t-ti, u-ju, v-wi, w-double ju, x-eks, y-uaj, z-zed.*

Dwadzieścia sześć liter. Znakomity pisarz angielski G. B. SHAW, który ma obecnie lat dziewięćdziesiąt, postanowił zapisać całą swą okazałą fortunę

narodowi angielskiemu pod warunkiem, że zostanie ona użyta na reformę alfabetu angielskiego. « Moją szczególną troską — mówi G. B. SHAW — jest to, by doprowadzić do oszczędności pracy przez ustalenie odpowiedniego brytyjskiego alfabetu, któryby zawierał conajmniej czterdzieści dwie litery, skutkiem czego byłby on zdolny wyrazić tak dokładnie, iżby mogły być łatwo poznawane wszystkie głoski mówionego języka angielskiego, przyczym jednak na wyrażenie każdej głoski musiałby wystarczyć jeden znak pisarski »... G. B. SHAW twierdzi, że gdyby SZEKSPIR używał alfabetu o czterdziestu dwóch literach, mógłby napisać conajmniej o dwie albo trzy sztuki więcej. Właściwie SZEKSPIR zmarnował się, nie wyzyskał swego talentu, równie jak np. DICKENS czy inni autorzy. Co za szkoda! W każdym razie oryginalna teza G. B. SHAW'a dowodzi, że Anglikom niesłusznie zarzucamy konserwatyzm: literatura angielska liczy sobie tysiąc kilkaset lat rozwoju, genialny zaś komediopisarz i satyryk dopiero w 1944 roku spostrzegł, że alfabet brytyjski trzeba rozszerzyć zaledwie o szesnaście liter. Dowodziłoby to, że istotnie coś w tym alfabecie szwankuje, albo że stary cynik postanowił zrobić złośliwy kawał zostawiając testament, z którego rząd i urząd podatkowy będą miały figę. Oczywiście nie wszystkie tak obficie cytowane w gazetach i tak hojne zapisy na cele dobroczynne albo naukowe mają podobnie szatańską intencję, jak testament autora « *Przemysłu pani Warren* ».

Dajmy jednak spokój Matuzalemowi literatury angielskiej i wróćmy do obowiązującego dziś alfabetu. Powtórz cudaczne nazwy liter i postaraj się « *wyspellować* » nazwę miasta, z którego pochodzisz, i do którego obyś jaknajprędzej wrócił, więc dajmy na to nazwę Warszawy. Jakże to będzie? « *Double ju, ej, ar, es, zed, ej, double ju, ej* ». Zupełnie proste i łatwe. W każdym razie umiemy już nazwy wszystkich liter.

Wszystkich z wyjątkiem jednej ale najtrudniejszej pod każdym względem i najczęściej spotykanej, a takiej, którą Anglicy chytrze zataili w swym alfabecie, pewnie dlatego, by ludzi nie odstręczać od nauki. Mam na myśli « *th* ». Jest to niby spółgłoska a raczej jakgdyby dwuspolgloska, która nie ma nic wspólnego ani z « *t* » ani z « *h* », zwie się zaś niewinnie « *ti-ejcz* » i w ogóle przez pierwszych dwadzieścia pięć lat nauki nie da się wymówić poprawnie. Cholera nie litera! Dla uszu początkującego cudzoziemca stanowi ona dźwięk nader brzydki, syczący, szepleniący, który zresztą istnieje w bardzo podobnym brzmieniu także w innych językach, więc w mowie greckiej i hiszpańskiej.

Będąc człowiekiem uczciwym, nie żadnym naciągaczem, zgóry oświadczam, że trudności połączone z jakim-takim wymawianiem tej litery czy też tych dwóch liter połączonych w jedną niby-spolgloskę, przerastają cierpliwość normalnego Polaka. To nie na nasze nerwy! Jednak Adasiu, — wybac, że nieznacznie przeszedłem na « *ty* » — jeśli wlałeś między wrony, musisz krakać jak i ony, dlatego dam ci radę: wsadź język między zęby (spróbować nie zaszkodzi!) i staraj się wymówić « *f* », a wydasz jakiś syk węża, kobry o sztucznym

mostku, syk podobny do « z » lub » s « i « t » czy « d » razem wziętych, co w sumie będzie nieudolnym, spartaczonym « th ». Sumiennie ci mówię, że « th » powtarza się na jednej kartce każdej książki angielskiej z pięćdziesiąt jeśli nie sto razy, występując przede wszystkim w rodzajniku oznaczonym zatem « the », o czym będzie mowa później. « Th » jest najważniejsze ! Bez tego « th » nie ruszysz z miejsca. Weź sobie to za pierwszą i żelazną regułę od której absolutnie wyjątków nie ma w żadnym, ale to bezwarunkowo żadnym wypadku, chyba przy nazwie takiej sobie, małej, nic nie znaczącej rzeki, która choć pisze się « Thames » (Tamiza), przecież jest wymawiana jako « Tems ». To wszystko. Aha, byłbym zapomniał : także imię « Thomas », wymawia się « Tomas ».

O tym żeby ktoś z książki nauczył się wymowy angielskiej marzyć nawet nie można, lecz są rozmaite podręczniki wymowy, których autorzy bujają czytelnika, m.in. polskiego, utrzymując jakoby sprawa przedstawiała się zupełnie łatwo. Bajki, przeświety sędzi! Amerykanie, których tyłu przebywa od lat w Londynie, w żaden sposób nie mogą nauczyć się poprawnej wymowy np. nazwy « Shaftesbury Avenue » choć ich tłumy spotkać można zawsze na tej właśnie ulicy. Ambasador Stanów Zjednoczonych, JOHN WINANT mówiąc o różnicach dzielących Brytyjczyków od kuzynów amerykańskich napisał w lecie 1944 r., że, « trzeba uczyć się pokonywać tak głupie (*silly*) trudności, jak np. w której ręce trzymać widelec albo jak wymawiać *Shaftesbury Avenue* ». I czy można mieć zbyt wygórowane pretensje pod twoim adresem, Adasiu ?

Książeczka niniejsza jest próbą bez wartości zmierzającą do zorientowania czytelnika w samym zagadnieniu i to wyłącznie zgrubsza, w sensie jaknajbardziej ogólnym. Uwagi moje zasługują na nazwę « utility », są bowiem sporządzone na czas wojny i sposobem najtańszym dla doraźnego użytku.

Zasadniczo trzeba sobie powiedzieć, że niemal każdy dźwięk w języku angielskim różni się od tak samo wyrażonego zapomocą pisma dźwięku w języku polskim, czy do pewnego stopnia w każdym innym języku. Weźmy dla przykładu byle głupstwo, więc choćby tak idiotycznie łatwą spółgłoskę jak « r ». Chcąc uzyskać nie tylko poprawny ale wręcz idealny sposób wymówienia tego « ar », przyłóż drogi Adasiu koniec języka do środka policzka (oczywiście od wewnątrz ! Na miłość boską od wewnątrz !) i wymów « r », a wypadnie to tak dobrze, jakbyś się urodził Anglikiem i w ogóle nigdy po ludzku nie mówił. (Naturalnie jest to wskazówka ściśle teoretyczna, ponieważ w praktyce nie da się tak mówić).

Hm, po ludzku... Muszę zrobić drobną uwagę, która naprawdę nie ma nic wspólnego z gramatyką. Otóż pewnien Holender nazwiskiem RÉNIER napisał książkę p. t. « *Czy Anglicy są ludźmi* », i doszedł do wniosku, że ziemia jest zamieszkała przez ludzi i przez Anglików. Dziwny naród i równie dziwny

język ! Napozór cudaczność tego języka wyraża się w różnicy między pisownią a wymową, lecz mój Adasiu, nie wyobrażaj sobie, że nasz język jest łatwy dla cudzoziemca, albo dla Polaka czytającego na pielgrzymstwie polską prasę urzędową. Nie wyobrażaj sobie nadto, że my Polacy wymawiamy zupełnie tak samo jak piszemy. Nic podobnego ! Piszesz « ogród » a wymawiasz « ogrut », albo piszesz « lawka » a wymawiasz « lafka ». Piszesz inaczej « szew » i « szef », wymawiając te dwa wyrazy absolutnie jednakowo. A np. « fhut », albo « wontrupka », a « przegrutka », nie mówiąc już o takich słowach jak « Bóg », « buk » i « Bug ». I tu przy tej nieszczęsnej rzece LORDA CURZONA, przy Bugu, dochodzimy do jednej z niewielu reguł : Anglicy w wymowie rozróżniają bardzo konsekwentnie spółgłoski dźwięczne od bezdźwięcznych, podczas gdy dla nas czasem jest to wszystko jedno. *B i p, d i t, f i w, g i k, z i s, ż i sz* w języku polskim są wymawiane jednakowo, zwłaszcza na końcu wyrazu. Czy w wymowie czujesz jakąkolwiek różnicę między « z » a « s » w słowach « bez » i « pies »? Żadnej, bezwarunkowo żadnej różnicy nie ma.

Dużo, dużo dałoby się jeszcze powiedzieć na ten temat, ale dajmy pokój, ponieważ mówimy o języku angielskim, nie o polskim. Jednakże jeszcze jedna uwaga. Jeżeli określiłem kombinację « th » jako cholerycznie trudną, wcale nie wynika stąd, abyśmy w języku polskim nie posiadali także spółgłoski, której mniej więcej 75 % Polaków nie potrafi w żaden sposób wymówić poprawnie. A jakże mają sobie poradzić z nią cudzoziemcy, więc np. twoja, Adasiu przyjaciółka Mary, Kate czy Joan ? Mam na myśli spółgłoskę « ł », zamiast której używamy w mowie jakiejś krótkiej, niezgłoskotwórczej samogłoski « u ». Tak więc wspomniana już dzisiaj « lawka » brzmi w twych, o Adasiu ustach jako « uafka ». Proponujesz swojej Wafce : « *choć, Mery usioncmy na uafce!* » Mój Boże, był i to nawet niedawno, bo przed tą wojną, projekt skasowania spółgłoski « ł », jako zbyt trudnej i już zapomnianej, już właściwie nie będącej w użyciu. Pewien uczony językoznawca polski, TYTUS BENNI (nb. autor podręcznika wzorowej wymowy... angielskiej, czyli t. zw. « ortofonii ») wystąpił publicznie i jawnie z wnioskiem, aby nie zawracać sobie głowy tym « ł », skoro niemal wszyscy Polacy mówią np. « *uadny uan w koupaku* », zamiast « *ładny ulan w kołpaku* ». Na całe szczęście nikt nie wziął tego szaleństwa pod rozwagę i « ł » ocalało, przynajmniej na papierze.

Rzecz prosta różnica między pisownią a wymową w języku polskim jest minimalna w porównaniu z przepaścią jaka dzieli wymowę angielską od angielskiej pisowni. Co więcej, niezależnie od różnic regionalnych czy dialektycznych, ten sam wyraz może być czytany rozmaicie przez Anglików np. w samym Londynie. Nawet tak popularna « *witamina* » czyli « *vitamine* » brzmi zarówno w aptece jak u człowieka cierpiącego na awitaminozę (puszki i puszki, konserwy i konserwy, Adasiu !), jako « *wajtamin* » albo « *wajtamajn* », wreszcie « *witamajn* ». Dowolnością wymowy odznaczają się nawet speakerzy radiowi, dlatego też przed wybuchem wojny dzisiejszej powołano specjalną

komisję, która miała uzgodnić dykcję czy, jeśli użyjemy górnego stylu, « ortofonię », w radio brytyjskim, ale przyszła wojna i speakerzy angielscy w dalszym ciągu posługują się wymową dość dowolną i zróżniczkowaną.

Członkiem wspomnianej komisji miał być także cytowany już G. B. SHAW (wystarczy skrót « *Dżibies* »), którego słynna komedia « *Pigmalion* » dowodzi, jak dalece rozwinięte są różnice wymowy nawet na gruncie jednego miasta, więc w tym wypadku Londynu. Ot, spora i znana ulica przy której znajduje się wielka stacja kolei podziemnej zwie się « *Baker street* », słyszałeś zaś często o tej ulicy, jeszcze w Polsce będąc, bo i gdzież mieszkał SHERLOCK HOLMES jeśli nie przy *Baker street*? Nazwa jej wymówiona poprawnie brzmi « *Bejker* » ale konduktor w autobusie czyli w « *basie* » najczęściej powie « *Bajker* », gdy zaś wsłuchasz się uważnie, dostrzeżesz nawet, że niektórzy mieszkańcy Londynu mówią « *Pajker* ». W « *basie* »... Mówiliśmy już zgrubsza o skłonności tubylców do skrótów. « *Bus* » (czytaj « *bas* ») to tylko drugi człon słowa « *omnibus* » albo « *autobus* », gdyż Anglik zazwyczaj powolny i mający wiele czasu zadawała się drugą połową wyrazu. Niekiedy jak Chińczykowi wystarczy mu jakiś znaczek, który globalnie zastępuje kilka liter. Nie chce mu się, za Boga, napisać słowa « *cross* » i dlatego gdy jedziesz koleją podziemną np. do « *King's Cross* » albo do « *Charing Cross* », musisz bardzo uważać, bo w napisie nie ma wcale słowa « *cross* », zamiast którego widzisz po prostu... krzyżyk, wymalowany czasem dość krzywo. Tacy to leniwi są ci Anglicy! Leniwi a może... praktyczni? Nb. kolej podziemna w Londynie stanowi niezły, bo tani i szybki środek komunikacji. Jeśli idzie o skróty musisz uwzględnić słowa « *in* » i « *out* » wymalowane na bramach wspaniałych parków londyńskich. Czy mógłbyś po polsku napisać coś tak krótkiego jak « *w* » i « *z* »? A jednak ruch pojazdów i ruch pieszy jest w Londynie doskonale uregulowany i znam tylko jeden wypadek przejechania Polaka przez auto. Ale to było dawno, w lecie 1940 r... Poza tym ofiarą był członek Rady Narodowej, co sprawę wyjaśnia bez reszty.

Adasiu, w dalszej części mej książki już przy samej nauce będę bardziej zwięzły i wstrzemięźliwy, na razie jednak ciągle korzystam z prawa do gadulstwa, bo też przedmowa powinna stanowić jakby gadu-gadu autora z czytelnikiem. Obaj muszą porozumieć się zgrubsza, w danym zaś wypadku rzecz polega na tym, by ucząc się wspólnie gramatyki angielskiej, czyli wyjątków, byli sobie bliscy jak ludzie, którzy zjedli razem nie jedną beczkę soli. A my będziemy jedli sól angielską. Jak wiadomo, tzw. sole angielskie dawniej były u nas w częstym użyciu ze względu na ich właściwości trzeźwiące. Gdy jakaś dama zemdlą, wystarczyło jej podstawić pod nos fłaszeczkę z solami angielskimi. Niestety my ciągle znajdujemy się w stanie upojenia czy nawet upicia się zaletami tej kępy i jakoś powoli, bardzo powoli przychodzimy do trzeźwości, do obiektywnego spojrzenia na to, co nas otacza.

Wspomniałem o komedii G. B. SHAW'A może podświadomie, może dlatego,

że ciągle pokutuje we mnie człowiek teatru, byłem bowiem aktorem, reżyserem, dyrektorem teatru i wykładowcą w szkole dramatycznej. Z tego też powodu interesuje mnie zawsze dykcja czyli wymowa, siedząc zaś w Anglii, zdążyłem zaobserwować tylko pewne szczegóły wymowy angielskiej. Więc przede wszystkim idzie o wspomniane już przestrzeganie dźwięczności spółgłosek. Niech cię Bóg broni, abyś spójnik « *and* » czyli nasze « *i* » wymówił jako « *ent* », do czego wszyscy Polacy mają skłonność wrodzoną. To « *d* » musi brzmieć, musi dźwięczeć tak wyraźnie i mocno jak na początku jakiegoś słowa polskiego zaczynającego się od spółgłoski « *d* ». Anglik wymawia « *and* » jako « *end-y* » i to samo dotyczy wszystkich spółgłosek dźwięcznych, które już wymieniłem poprzednio. « Proszę » czyli « *I beg* » musi mieć mocno wybite to « *g* », znowu jak w jakimś słowie polskim zaczynającym się na « *g* », inaczej bowiem ktoś usłyszy je jako « *beck* », co znaczy « potok » albo « skinienie », « kiwnięcie ». « *Had* » (miał) wymówione jako « *het* », oznacza « kapelusze » (« *hat* ») itd. itd.

To jedno. Druga uwaga dotyczy samogłoski « *i* » czyli po angielsku « *aj* ». Anglicy wymawiają tę spółgłoskę jako « *y* ». Słowo « *ministry* » z reguły i zawsze brzmi jako « *mynystry* », « *intelligence* » jako « *yntelydżens* », co będąc człowiekiem inteligentnym powinien mieć w pamięci. Poza tym muszę ci zalecić jak najdalej idącą nieufność wobec alfabetu angielskiego. Nie wierz, na Boga, żadnej literze! Chyba literze prawa, może dlatego, że tu nie ma prawa pisanego, jest zaś tylko prawo zwyczajowe. Np. spółgłoska « *t* » ma nałogową skłonność do przechodzenia w nasze « *cz* ». Pisze się « *to* » a wymawia się raczej nie « *tu* » ale jakby « *czu* ». Spółgłoska « *l* » w słowie « *already* » (już) wymawia np. minister EDEN zupełnie tak samo jakby to było nasze rodzone « *l* », podczas gdy w słowie « *all* » (wszystek, cały, wszyscy) słyszymy wspomniane już a trudne dla Polaka, polskie « *ł* ». Jedno jest pewne : « *v* » czytasz zawsze jak nasze « *w* », podczas gdy « *w* » czytasz jak nasze wymówione błędnie « *ł* ». Lecz to wszystko są tylko przykłady, uwagi rzucane przezemnie jakby mimochodem.

Jesteś niejako w grubej, nieprzeniknionej mgłę londyńskiej, skutkiem czego idziesz po omacku. Ale wiedz o tym, że na każdym rogu spotkasz tu ludzi uprzejmych i niesłychanie cierpliwych w stosunku do cudzoziemca. Ich grzeczność, ich dobra wola, ich poświęcenie nie ma wręcz granic jeśli idzie o wskazanie ulicy lub autobusu, który jedzie na jakiś dworzec kolejowy. Gdy Paryżanina spytasz o drogę, odpowie : « Niech pan łaskawie zechce skierować się na prawo, a tam przy zbiegu ulic znajdzie pan innego Francuza, który będzie miał przyjemność i zaszczyt wskazać panu dalszą drogę. » Tracisz w ten sposób masę czasu. Niemiec postępuje (a może postępował?) inaczej : mówił, że masz iść prosto, potem na prawo, znowu prosto, następnie skierować się w lewo, stamtąd skrócić w trzecią ulicę na prawo wskos, zrobić jakichś sto metrów i jeszcze raz wykręcić na prawo... Mówiłeś mu « *Danke* »,

on zaś spoglądał na ciebie groźnym wzrokiem i krzyczał rozkazująco :
« *Danken? Nein! Wiederholen!* »

Anglik... Anglik w odpowiedzi wyda najpierw dźwięk « eee »..., ponieważ Anglik zaczyna z reguły każdą odpowiedź od lekkiego zająknięcia się. Prawdopodobnie on namyśla się, dzięki czemu nigdy nie da (w sprawie ulicy) jakiejś mylnej odpowiedzi. Przeciwnie, pokaże drogę bardzo dokładnie, albo nawet zaprowadzi cię aż na samo miejsce i jeszcze powie « *Thank you* ». Zwłaszcza gdy jesteś z psem. Adasiu kup sobie psa ! Anglik nie da ci zbłądzić albo zginać ze względu na psa.

Ich dziwny język jest mieszaniną, stopem wielu języków. Pracowały na to stulecia i pracowały najazdy, podboje, inwazje, rzymskie najpierw, później normańskie, duńskie, może aż do naszej, polskiej włącznie. Któż wie, jakie ślady zostawi w mowie tubylców nasz przeciągający się pobyt ? Słyszałem, że jakimś Szkotom tak przypadł do ucha i do serca wyraz (nb. nie rdzennie polski) « filizanka », że dziecko swe, dziewczynkę ochrzcił na chrzcie świętym imieniem « *Filizanka* ». Podobno rzecz autentyczna, zwłaszcza że tu przy chrzcie nie obowiązują imiona świętych pańskich. Kto wie nadto, jaki wpływ na język angielski wywrze inwazja amerykańska ? Np. opowiadano mi, że jakiś lotnik, « *American citizen of Polish extraction* » spotkał żołnierza-Polaka i spytał go o ulicę « *Bikemp* », miał zaś na myśli ulicę, której nazwa pisze się « *Beauchamps* ». Stali obaj o dwa kroki od tej ulicy, jednakże rezultat ich długiego dialogu był raczej negatywny, ponieważ ów lotnik, Polak amerykański nie umiał ani słowa po polsku, jak naodwrot, ów Polak ze « starego kraju » umiał po angielsku biegle tylko na migi, gdyż siedział w Anglii zaledwie od czterech lat.

To pewna, że język jakim dzisiaj mówi wykształcona warstwa angielska powstał znacznie później niż język analogicznej warstwy polskiej, słusznie więc pisze znakomity uczony BRUECKNER, że « Polak, tak jak Włoch czyta dziś swoich pisarzy XVI wieku bez najmniejszej trudności (lekka przesada, przyp. Z. N.), inaczej niż Niemiec, Francuz, Anglik ».

W ostatnich czasach wielką popularnością cieszyła się tu śmiertelnie nudna, jak większość angielskich powieści, powieść « *How green was my valley* », której autor RICHARD LEWELLYN uznał za wskazane dodać na końcu książki wyjaśnienia, jak czytać należy imiona i nazwiska występujących w tej powieści górników walijskich. Nb. Anglicy nie lubią Walijszyków. Spotkałem się tu z wyznaniem następującym : « *I do not dislike Scotch but I hate Irish and I contempt Welsh* ». Ale to tylko dygresja, rzecz ważniejsza ten komentarz dotyczący sposobu czytania nazwisk walijskich. Ach, jakiż to dziwny język ! A jednak przy wszystkich trudnościach, przy całej przepaści jaka dzieli wymowę od pisowni, język angielski jest językiem wyjątkowo praktycznym : można pisać po angielsku na każdej maszynie i drukować książki angielskie w każdej drukarni, używającej alfabetu łacińskiego. Ileż

kłopotów ma Polak, gdy siądzie do maszyny, pozbawionej naszych kropek, kresek, ogonków i innych znaków « diakrytycznych » ! Conajmniej dwa funty trzeba zapłacić za przeróbkę byle grata-Underwooda !

Ten dziwny język ma jedną ogromną zaletę : mówi nim a właściwie musi mówić, czy bodaj rozumieć go, niemal cały świat, biali i czarni, czerwoni i żółci, pięćset milionów mieszkańców imperium brytyjskiego, kilkaset milionów mieszkańców Ameryki, nie licząc tych krajów, które utrzymują stosunki z Wielką Brytanią lub ze Stanami Zjednoczonymi. A cóż dopiero będzie po tej wojnie, skoro dzisiaj, w każdym klimacie, pod każdą szerokością geograficzną, na każdym morzu, nad całą niemal ziemią, bo w powietrzu, rozbrzmiewa ten trudny, cudaczny i pokraczny język, odznaczający się tak zawrotnym bogactwem, że np. największy poeta angielski SZEKSPIR używał około szesnastu tysięcy słów, podczas gdy nasi Mickiewicz i Słowacy poprzestawali na niespełna połowie tej liczby.

Szesnaście tysięcy słów ! No, nie każdy jest SZEKSPIREM i nie każdy Anglik zna SZEKSPIRA, którego sztuki były częściej grywane w Polsce niż na tej wyspie. W repertuarze np. « *Teatru Polskiego* » w Warszawie SZEKSPIR zajmował, jeśli się nie mylę 6 %, w Londynie zaś widziałem na własne a zdumione oczy wielki plakat z napisem : « Czy wiesz, że SZEKSPIR jest największym poetą angielskim ? Czy byłeś choćby na jednej jego sztuce ? » Język SZEKSPIRA jest niełatwy dla Anglika, jego zaś zapas słów przytłacza swym ogromem. Zresztą w ostatnich czasach tubylcy sami wreszcie zrozumieli, że trzeba język angielski uprościć, uczynić go dostępnym dla innych narodów i tak powstał projekt tzw. « *Basic English* », czyli języka podstawowego, który ma operować zaledwie osmiuset pięćdziesięciu słowami. I cóż pozostało z SZEKSPIRA ? Ach, jaki dziwny ten naród ! I jak praktyczny ! Jednakże my zdystansowaliśmy go, jeśli idzie o « *Basic Polish* », które mianowicie w wojsku operuje wszystkiego jednym słowem, więc czasownikiem zaczynającym się na « *p* » a zakończonym w bezokoliczniku sufiksem « *ić* ».

Ktoś złośliwy, zatem nie ja, mógłby powiedzieć, że o ile w normalnym języku nie ma reguły bez wyjątków, o tyle w języku angielskim nie ma wyjątków bez reguły. « Reguła » znaczy « *rule* », a wymawia się to słowo jako « *rul* ». Czyli angielskiemu « *u* » odpowiada w polskim także « *u* ». Lecz w słowie « *but* » (ale) « *u* » wymawia się jako « *a* », w « *busy* » (zatrudniony) jako « *i* », trochę zbliżone do « *y* », w słowie « *bury* » (grzebać) jako « *e* », w słowie « *unity* » (jedność) jako « *ju* », itd. itd. Natomiast « *u* » podobne całkiem do naszego nadwiślańskiego « *u* » znajdziesz jako « *oo* » w słowie « *book* » (książka), jako « *o* » w słowie « *wolf* » (wilk), jako « *ou* » w słowie « *wound* » (rana), jako « *oe* » w słowie « *shoe* » (but), jako « *ew* » w słowie « *drew* » (ciągnął). I szukaj tu « reguły » ! Głowa mogłaby spuchnąć od nauki czytania, raczej więc wypada mieć głowę na karku, uczyć się z gazet, z szyldów, z powietrza, czytanie zaś i wymowa przyjdzie sama. Pewnego dnia spostrzeżesz, że dajesz

sobie rady bez niczyjej pomocy, że intuicja każe ci przeczytać poprawnie napis « *Fully licensed* » jako « *fully lajsenzd* ». Wejdiesz tedy do wnętrza baru i dostaniesz czego dusza zapagnie. Ta sama intuicja pozwoli ci odróżnić, drogi Adasiu np. znaczenie i wymowę słowa « *the row* ». Gdy je dostrzeżesz w teatrze albo na wielkich zawodach piłki nożnej (której tutaj nikt nie nazywa po polsku « *football* » tylko « *soccer* »), wtedy będziesz od razu wiedział, że trzeba to słowo czytać jako « *rou* » i że oznacza ono szereg lub rząd (krzesel). Gdy zaś spotkasz się z tym samym « *the row* » w sprawozdaniu z procesu sądowego (najlepsza lektura w Anglii!), przeczytasz je wiedziony natchnieniem i doświadczeniem jako « *rau* », i będziesz wiedział, że szło w tym wypadku nie o szereg krzesel, stojących spokojnie, ale o krzesła połamane w bitce, w burdzie, w awanturze.

I na tym apelu do intuicji wypadnie mi skończyć uwagi wstępne. Lecz jeszcze słów kilka zanim rozpocznie się prawdziwa nauka. Na widok bogactwa języka angielskiego łatwo może ogarnąć cię kompleks niższości i gotów jesteś pomyśleć sobie Adasiu, że nasz język jest ubogi, wręcz biedny. Szesnaście tysięcy słów Szekspira przywali cię swym ciężarem, a przecież mowa polska, właśnie w porównaniu z angielską ma pewne bogactwa szczególne, ma pewne formy, ma pewną jasność, której Anglik mógłby nam pozazdrościć. Np. tu, mówiąc przez telefon musisz na pytanie « *Who is speaking* » odpowiedzieć « *Mr. Kowalski* », twoja żona musi rzec « *Mrs. Kowalska* », twoja ew. córka zasię winna wyrecytować « *Miss Kowalska* », a to celem uniknięcia nieporozumień. Podobna reguła obowiązuje przy wypełnianiu wszelakich formularzy, kwestionariuszów, podań itp.

Powtóre — to znowu jeden ze szczegółów zaledwie — każdy rzeczownik polski, każde imię, przymiotnik, przysłówek, możesz dowolnie zdrobnić, wyrazić je w formie pieszczotliwej, albo naodwrot, dodać końcówkę tzw. pejoratywną czyli pogarszającą, pogrubiającą. Gdy w « *Krzyżakach* » SIENKIEWICZA Zygryd staje nad trumną Rotgiera, z ust jego pada słowo « *Synaczku!* » Piękne słowo i takie, które w czytelniku wywołuje dreszcz zgrozy. Tłumacz angielski musiał zastąpić tego « *synaczka* » zwrotem « *Son! Dear son!* ». Nie to samo. Zupełnie coś innego, coś wręcz... uboższego w porównaniu do « *synaczka* », obok którego mamy jeszcze « *synka* », « *syneczka* », « *synusia* », równie dobrze jak « *synalka* » lub « *synisko* ».

Pod tym względem język nasz odznacza się tą samą zawrotną zdolnością zdrabniania lub zgrubiania, jaką ma mowa włoska. « *Powoli* », « *powoluśku* », « *powolusienku...* » itd. A cóż potrafimy zrobić z rzeczownikiem « *baba* »! « *Babeczka* », « *babusia* », « *babuła* », « *babuleńka* », w chwili zaś gniewu robi się z tej « *babuli* » zwyczajne « *babsko* » czy zasię « *babsztyl!* »

Nadto musisz drogi Adasiu nauczyć się jak trzeba korzystać z książki najbardziej popularnej pośród Polaków w Anglii. Mam na myśli naszą biblię, więc słownik, który przyniesie ci wiele rozczarowania. Szukasz np. czasow-

nika « *napisac* » a słownik odsyła cię do « *pisac* ». Szukasz czasownika « *namowic* », słownik zaś jak Annasz odsyła cię do Kajfasza « *namawiac* ». « *Biegać* » jest po angielsku « *to run* », tak samo jak i « *biedz* » jest « *to run* ». « *Umrzeć* » « *to die* » i « *mrzeć* » także « *to die* ». W tym również przejawia się swoiste bogactwo języka polskiego, który jeśli idzie o czasowniki obfituje w wiele tzw. « postaci », wyrażających różnice np. częstotliwości (biegać), trwania (biedz) albo dokonania (wybiedz). Byłe prefiks przyklejony do czasownika tworzy jak z rękawa rozmaite formy dokonane, więc np. « *napiszę* » lub « *umrę* ».

Ale jeszcze nie umarliśmy. I jeszcze nie zaczęliśmy uczyć się tego cudaczego i nielogicznego języka, którym mówi, lub udaje że mówi, tyle milionów ludzi na całej kuli ziemskiej. Czy jest on aż tak absolutnie obcy i daleki dla nas, abyśmy się dostrzegali podobieństw? Czy nie używamy w Polsce od dawna słów angielskich? Wystarczy przypomnieć sobie jakikolwiek sport, wszystkie « *crawle* », krzyk « *foul* » który rozlega się podczas wielkich rozgrywek piłki nożnej. A słowo « *dreny* »? A słowo « *huligan* »? Przecież także i to słowo, jako określenie bandyty czy rabusia przyszło do nas prosto, prościusiętko z Anglii, choć jest rodem z Irlandii a pisze się « *hooligan* ».

Poza tym czy tak daleko padło angielskie « *apple* » od polskiej « *jabl-oni?* » Czy nie podobnie płynie angielski « *stream* » jak polski « *strum-ień* »? Polski kot lubi mleko i poluje na myszy, tak samo jak angielski « *cat* » nie stroni od « *milk* » a czatuje na « *mice* » (*majs*). A czy polski nos podobny do angielskiego « *nose* » jak pięść do nosa? Nie, bo gdy Polak czy Anglik dostaną w nos, obu im płynie z nosów krew podobna, którą nazwać można aryjską albo w gramatyce indoeuropejską.

Na tym już naprawdę kończę mą przedmowę, brak mi jednak jeszcze kropki nad « *i* ». Naukę w szkołach zaczyna się od modlitwy, w starych zaś tekstach polskich z XV wieku zachowała się pieśń religijna której pierwsze słowa brzmią: « *Sdrow bancz krolu angelsky* », czyli « *Bądź pozdrowiony, królu anielski* », co nie znaczy, by w Polsce za pierwszych Jagiellonów śpiewano hymn « *God save the King* ». Po prostu nikt wtedy nie odróżniał przymiotnika « *angielski* » od « *anielski* ».

My już odróżniamy... Powoli, ale odróżniamy.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

WCZORAJ I DZIŚ REFORMY ROLNEJ W POLSCE

I. Wstęp. II. Rys historyczny zagadnienia. III. Reforma rolna w latach 1919-1939.
IV. Współczesna reforma rolna. V. Uwagi końcowe i wnioski.

I. Wstęp

Reforma rolna należy niewątpliwie do rzędu najbardziej kapitalnych zagadnień życia zbiorowego, wiecznie żywych i burzliwych ze względu na liczne aspekty natury politycznej, socjalnej i gospodarczej, jakie wiążą się z tym zagadnieniem. Różne rozwiązania uwzględniają różne aspekty. Aspekt polityczny reformy rolnej przejawia się zazwyczaj w dwojaki sposób : w formie dążenia do unarodowienia własności ziemi oraz w formie zniszczenia politycznej przewagi wielkich właścicieli ziemskich ; żąda się więc albo odebrania ziemi osobom nie należącym do większości zorganizowanego państwowo narodu, albo przeniesienia własności ziemi, a przez to i politycznej władzy, na warstwę chłopską, bądź wreszcie jednego i drugiego. Aspekt społeczny znajduje swój wyraz w dążeniu do sprawiedliwego rozdziału istniejącego zapasu ziemi między tych, którzy tej ziemi łakną ; punktem centralnym jest tu sprawa własności ziemi jako takiej, przyczem instytucja własności prywatnej walczy tu z tendencjami kolektywnymi. Wreszcie aspekt gospodarczy wyraża się w postulacie obserwowania przy reformie rolnej wielkości gospodarstwa, niezbędnej dla prowadzenia pewnych kultur ; tutaj spór idzie głównie o wypośrodkowanie w danych warunkach społeczno-gospodarczych optymalnego typu gospodarstwa rolnego, bądź kilku typów, a to z punktu widzenia najcelowszej struktury rolnej, pozwalającej najlepiej rozwiązać potrzeby całego gospodarstwa narodowego.

Podobnie jak w innych krajach tzw. typu rolniczego, również w Polsce przedwojennej wszystkie te aspekty ścierały się niesłychanie ostro, tworząc w swym całokształcie problemat niezwykle trudny do rozwiązania. Do wczoraj tego problematu w Polsce Niepodległej lat 1919-1939 nawiązuje jego dzisiejsze rozwiązanie w Polsce powojennej, która — podobnie jak w wielu innych — również i w tym zagadnieniu uciekła się do nowych metod, nowych rostrzygnięć o charakterze radykalnym.

Jaka była historycznie ukształtowana struktura agrarna Państwa Polskiego ? Przy pomocy jakich metod i środków starano się zmienić tę strukturę przed wojną 1939 r. ? W oparciu o jakie zasady i metody przeprowadzono nową reformę ? Czy nowe rostrzygnięcia są istotnie skutecznym rozwiązaniem

problematu w interesie polskiego chłopca i polskiego Państwa? Jakic są i być mogą konsekwencje społeczne i gospodarcze nowej reformy?

Są to pytania na które chcemy odpowiedzieć w tej rozprawie w sposób możliwie rzeczowy i spokojny, sądząc, że w ten sposób przyczynimy się do naświetlenia jednego z najważniejszych problematów polskich, przedstawianych niestety nie zawsze bezstronnie.

II. Rys historyczny zagadnienia

Rozwój polskiej struktury agrarnej.

Rozwój struktury agrarnej, w szczególności zaś rozwój stosunków własnościowych, szedł na ziemiach polskich tą drogą co rozwój w pozostałych krajach Europy środkowo-wschodniej, a poniekąd i zachodniej. W końcu X wieku, bezpośrednio przed powstaniem Państwa Polskiego, decydujące znaczenie dla ustroju rolnego posiadała tzw. własność rodowa, która z biegiem czasu podlegała daleko idącej indywidualizacji. Przedmioty użytkowe jak ubiór, broń u mężczyzn, ozdoby u kobiet, były własnością indywidualną nawet w obrębie wspólnot rodowych. Po ich rozkładzie, na własność poszczególnych rodzin przeszły domostwa, narzędzia pracy i bydło; z biegiem czasu przyszła kolej na grunta orne i łąki; pastwiska, lasy i część łąk mogły stosunkowo najdłużej pozostać we wspólnocie rodowej¹.

Po utworzeniu się Państwa poczęła powstawać wielka własność ziemska przez nadania panującego na rzecz instytucji kościelnych, magnatów i rycerstwa. W ten sposób, podobnie jak na zachodzie Europy, również w Polsce wytworzyła się organizacja gospodarcza, polegająca na systemie związania chłopów wobec właścicieli ziemskich z jednej, oraz na związaniu właścicieli ziemskich wobec panującego — z drugiej strony, które to związanie poczęła osłabiać później kolonizacja na tzw. prawie niemieckim.

W ramach polskiej wsi królewskiej, magnackiej i rycerskiej, podobnie jak w ramach feodalnego systemu Zachodu, osobowość chłopca nie istniała. Chłop, nazywany « poddanym », mógł wprawdzie posiadać i nabywać ziemię i prawa rodzinne, podlegał jednak władzy pana i był zobowiązany na jego rzecz do różnych usług. Jak długo jednak cała organizacja społeczno-gospodarcza średniowiecza była formą życia i pracy gromady wiejskiej, tak długo ustrój ten nie oznaczał jeszcze wyzysku chłopca. W pojęciach moralnych okresu feodalnego pan musiał być « sprawiedliwym » wobec chłopca.

Położenie chłopca zmienia się poważnie na niekorzyść z momentem przeniknięcia do wsi gospodarki kapitalistycznej, tj. produkcji wielkich gospodarstw rolnych na rynek. Towarzyszący przejściu do tej nowej formy gospodarki moment zysku, powoduje nakładanie na chłopów coraz większych

¹ Prof. J. RUTKOWSKI, *Zarys gospodarczych dziejów polskich w czasach przedrozbiorowych*, Poznań 1923.

ciężarów. Z tym momentem wybuchu i ciągnie się następnie przez parę wieków walka chłopska o wyzwolenie, nazywana w Polsce walką o zniesienie poddaństwa lub o « uwłaszczenie ». Jak wiadomo, najwcześniej, gdyż już w XVI wieku, zniesione zostało poddaństwo w Anglii. W innych krajach przetrwało ono do XIX-go stulecia; we Francji zniesiono je w okresie Wielkiej Rewolucji 1789 roku, w Prusiech przez reformy 1807 i 1850, w Austrii w latach 1782 i 1858.

Pierwszy etap walki : wyzwolenie chłopów.

Myśl wyzwolenia chłopów powstaje w Polsce stosunkowo wcześniej w kołach reformatorskich i wiąże się z politycznymi trudnościami, w jakich Rzeczypospolita znalazła się pod koniec XVIII stulecia. Konstytucja 3 Maja, pierwsza w Europie pisana konstytucja wolnościowa, zrodzona pod wpływem haseł Rewolucji Francuskiej, rozluźnia już nieco więzy poddaństwa, oddając chłopów « pod opiekę rządu krajowego i prawa ». Dalszym krokiem jest Uniwersał Połaniecki Tadeusza Kościuszki z r. 1794, który radykalnie znosi poddaństwo chłopów i przynosi mu pełną wolność. Niestety jednak upadek Państwa, przypadający na te czasy (po załamaniu się powstania Kościuszki) nie pozwala na zrealizowanie zamierzeń Uniwersału Połanieckiego, a zniesienie poddaństwa nastąpi dopiero później de facto i de iure przez ustawy państw zaborczych, łącznie z reformami w Prusiech, Austrii i Rosji. Wśród polskich warstw włościańskich wykorzysta później ten fakt na swój sposób wroga propaganda zaborcza, strojąca się w szaty « dobrodziejów » polskiego chłopów, nastawiając więc jeszcze bardziej wrogo przeciwko warstwie szlacheckiej.

Tu trzeba jednak stwierdzić obiektywnie, że warstwa szlachecka sama ponosi dużą winę za taki obrót sprawy, tj. za ostrą walkę, jaka wywiązała się w połowie XIX wieku między chłopami i wielkimi właścicielami ziemskimi. Mimo przestróg Hugona Kołłątaja (jednego z głównych autorów Konstytucji 3 Maja), mimo późniejszych nauk Hieronima Stroynowskiego i Michała Choińskiego, mimo żarliwej akcji Maurycego Mochnackiego z okresu rewolucji 1831 r. — idea reformy nie znalazła niestety posłuchu wśród warstwy szlacheckiej, co zemści się później na niej samej. Pisał m. inn. Michał Choiński : « Póki ludowi polskiemu ręce nie będą rozwiązane, póki włościanin nie zostanie właścicielem owoców swej pracy, posiadania ziemi pod innymi, jak dziś, warunkami, napróżno jest myśleć o powiększeniu pomyślności krajowej i bogactwa narodowego ¹. »

Gdyby chcieć w jednym krótkim zdaniu ująć cel wiekowej walki chłopskiej o wyzwolenie, trzeba stwierdzić, że jest to walka o dwie rzeczy : o wolność osobistą i o własność ziemi. Dlatego też w Polsce nazywano

¹ Cyt. za St. A. KEMPNEREM, *Rozwój gospodarczy Polski od Rozbiorów do Niepodległości*, Warszawa 1924.

ją walką o uwłaszczenie. Stwierdzenie to jest bardzo ważne, jeśli ma się na oku dzisiejsze wschodnio-europejskie tendencje do kolektywizacji rolnictwa, które — w gruncie rzeczy — zmierzają do zawrócenia siłą biegu wielkich procesów dziejowych. Wolność osobista chłopca, jego niezależność od pana i organizacji feodalnej miała o tyle sens, i tylko wówczas mogła stać się faktem, jeśli jej uzyskaniu towarzyszyło posiadanie własnego gruntu. Dlatego też wszystkie dawniejsze ruchy demokratyczne i wolnościowe, nie tylko chłopskie, wysuwały zawsze postulat prywatnej własności. « Demokracja — jak mówi Stolper — wymaga jako warunku i podstawy swego istnienia własności prywatnej, bez której nie może istnieć żadna wolność jednostki ¹. » Jednostka potrzebuje prywatnej własności po prostu dlatego, aby móc być chronioną albo przed zależnością od innej jednostki, albo też przed całkowitą zależnością od państwa. W walce chłopskiej o wyzwolenie ten postulat zaznaczył się z całą jaskrawością.

**Drugi etap walki :
reforma rolna.**

Zniesienie poddaństwa uwolniło chłopów od obowiązku osobistych i rzeczownych posług na rzecz dworu i przyniosło im niezależność na posiadanym gruncie. Ale to nie rozwiązuje sprawy. Mała i średnia własność chłopska istnieje obok wielkiej własności ziemskiej. Rozpoczyna się drugi etap walki, dążenie do przebudowy ustroju rolnego. Ta walka jest nie mniej ciężka jak walka o zniesienie poddaństwa. Tak na Zachodzie jak i na Wschodzie odbywa się ona w dwóch nie zawsze jasno dających się oddzielić płaszczyznach : 1^o w płaszczyźnie społecznej, gdzie chodzi o zapewnienie własności ziemi możliwie największej liczbie rodzin chłopskich ; 2^o w płaszczyźnie ekonomicznej, gdzie chodzi o wyrównanie gospodarczej sytuacji małych i wielkich właścicieli ziemskich i gdzie szczytowym punktem sporu jest zagadnienie, jaki obszar gruntu odpowiada najlepiej celowi racjonalnego gospodarstwa indywidualnego, względnie potrzebom ogólnej polityki gospodarczej państwa.

W pierwszej płaszczyźnie walka odbywa się między 1^o małymi chłopami i 2^o blisko nich stojącymi chłopami bezrolnymi i służbą folwarczną z jednej oraz 3^o wielką własnością rolną z drugiej strony. Pośrodku stoją 4^o wielcy chłopcy, rozporządzający obszarem gruntu do 50 ha, względnie średnia własność rolna do 100 ha ². Jak powiedzieliśmy, chodzi tu przede wszystkim o prawo

¹ STOLPER, *Die wirtschaftlich-soziale Weltanschauung der Demokratie*, Berlin 1929, str. 38-39.

² Granice między małą, średnią i wielką własnością są zazwyczaj trudne do przeprowadzenia i zależą od jakości ziemi i typu gospodarki. W Polsce, przy gospodarce extensywnej, zwykło się zaliczać gospodarstwa do 5 ha (wyjąwszy ogrodnicze) do « karłowatych », od 5-10 ha do małych chłopskich, od 10-20 do średniochłopskich, od 20-50 ha do wielkochłopskich. Następnie można przyjąć za średnią własność ziemską gospodarstwa od 50-100 ha i za wielką ponad 100 ha.

własności. Im większe jest przeludnienie wsi, tym ostrzejsze formy przybiera walka z wielką własnością, przyczem za tą ostatnią uważa się dobra, których właściciele należą do wyższej klasy społecznej. Dlatego też walka w płaszczyźnie społecznej zazwyczaj blisko wiąże się z walką polityczną, której cele scharakteryzowaliśmy we wstępie. Przy szczególnie dużym głodzie ziemi przedmiotem ataku bezrolnych i małorolnych staje się również średnia własność ziemiska i wielka własność chłopska. Zasadniczo, w społeczno-politycznej płaszczyźnie walki nie istnieje żadna dolna granica wielkości gospodarstwa. Przez działy rodzinne i spadkobranie zagrody chłopskie rozpadają się na coraz mniejsze parcele. Ich właściciele atakują tym silniej wielką własność aby osiągnąć upelnorolnienie. Po zniknięciu wielkiej własności przychodzi kolej na własność średnią i na wielkich chłopów, którzy, jak rosyjscy « kułacy », bardzo łatwo okrzyknięci zostają za spadkobierców pokonanej już klasy¹.

W płaszczyźnie ekonomicznej, gdzie większy dostęp mają argumenty natury rzeczowej, walka przybiera łagodniejsze formy. Tutaj, gdy chodzi o wielkość gospodarstwa jako jednostki produkcyjnej bądź o kierunek produkcji rolnej, obok zainteresowanych grup interesów rolniczych występuje również silniej państwo. Ono też jest zazwyczaj do tego powołane aby regulować cały proces gospodarczej (wielkość gospodarstwa) i społecznej (własność ziemi) przebudowy ustroju rolnego. W Polsce, gdzie stosunki agrarne ukształtowały się niekorzystnie w następstwie długiego okresu niewoli politycznej i zahamowania rozwoju gospodarczego kraju, wystąpienie państwa jako czynnika regulującego starcie wsi w obu zaznaczonych płaszczyznach było nie tylko usprawiedliwione, ale przede wszystkim konieczne.

III. Reforma rolna w latach 1919-1939

Struktura agrarna na początku Niepodległości.

Państwo Polskie, rozpoczynając swój nowy niepodległy byt w listopadzie 1918 roku, znalazło się z punktu w obliczu ostrego głodu ziemi, jako następstwa zjawiska przeludnienia polskiej wsi.

Jest dużą przesadą pokutująca w kraju i za granicą legenda, że Polska przedwojenna była krajem « obszarniczym », tzn., że głód ziemi miał mieć jakoby za swą przyczynę skupienie własności ziemi w rękach nielicznych rodzin ziemiańskich. Właściwie mówiąc, już na wstępie Niepodległości Polska nie wykazuje dominującej struktury obszarniczej. Dane statystyczne, które służą za podstawę powyższej tezy, stwierdzają wprawdzie w r. 1921

¹ Tak więc w Rosji Sowieckiej ogłoszono wielkich chłopów za klasę « pasożytniczą », a jej zniszczenie za jeden z celów drugiego planu pięcioletniego. Patrz przedmowa W. J. MESZLAUKA do wydawnictwa oficjalnego *Der zweite FJP der Entwicklung der Volkswirtschaft der UdSSR — 1933-1937*, Moskwa 1936.

(pierwszy spis ludności) 43,0 % ziemi znajdującej się w rękach gospodarstw powyżej 100 ha (w porównaniu z 39,6 % w Niemczech i 37,9 % w Czechosłowacji), cyfra ta odnosi się jednak do całej powierzchni kraju, a ponadto obejmuje nie tylko majątki prywatne ale i państwowe oraz w ogóle wszelkie dobra publiczne. Ponieważ lasy nie mogą być parcelowane, z punktu widzenia reformy rolnej miarodajny jest stosunek własności nie do całej powierzchni, ale do ziemi użytkowanej rolniczo. W stosunku do tej powierzchni, obejmującej ziemię uprawną, łąki i pastwiska, gospodarstwa powyżej 100 ha dysponowały w roku 1921 tylko 26,7 %, przyczem i tu zaliczone są dobra publiczne i kościelne ¹.

Ta struktura własnościowa ulegać zaczęła w ramach Niepodległego Państwa dalszej ewolucji w kierunku likwidacji wielkich obszarów dworskich. Obszary te poczęły dość szybko rozpadać się na mniejsze jednostki pod wpływem trzech czynników : 1° działów rodzinnych i spadkowych ; 2° odsprzedaży mniejszych kompleksów majątkowych ; 3° parcelacji. W ten sposób wielka własność ziemską malała szybko na korzyść średniej własności oraz własności chłopskiej. Statystyka z r. 1931 (drugi spis ludności) wykazuje, że cała prywatna średnia i wielka własność ziemską, tzn. gospodarstwa powyżej 50 ha, obejmuje już tylko 25,8 % powierzchni kraju, wynoszącej 37,897.000 ha, a więc łącznie z lasami i z wodami. W odniesieniu do powierzchni użytkowanej rolniczo w ścisłym znaczeniu tego słowa, wynoszącej 25,589.000 ha, stosunek ten jest jeszcze mniejszy i wyraża się cyfrą 18 %, względnie około 4,6 milionów ha ². W ten sposób na ziemiach użytkowanych rolniczo mamy w r. 1931 następujący obraz stosunków własnościowych :

własność chłopska poniżej 50 ha	— 76,3 %
własność ziemską powyżej 50 ha	— 18,0 %
własność związków prawa publicznego	— 5,7 %

Relatywnej szczupłości ziemi zdolnej do podziału przeciwstawiają się dwa dalsze zjawiska, charakteryzujące łącznie z pierwszym całość polskich stosunków rolnych : przeludnienie wsi i ogromne rozdrobnienie własności chłopskiej.

Jeżeli gęstość zaludnienia wsi polskiej, mierzoną liczbą jednostek na 100 ha ziemi użytkowanej rolniczo, porównać z odpowiednimi cyframi dla krajów Europy środkowej i zachodniej, okaże się, że w Polsce przypadało 76,8 jednostek na 100 ha, w Czechosłowacji 60,7, w Niemczech 47,8, w Austrii 42,2, w Szwajcarii 41, w Danii 34,3, w Anglii 23,3 ³. Z doświadczeń

¹ *Petit annuaire statistique de la Pologne*, 1938, str. 64.

² *Ibidem*, str. 68.

³ Porównaj Dr STEFAN MANDECKI, artykuł *Les principaux aspects de la politique agraire* w *Encyklopedii Pologne 1919-1939*, tom II, Szwajcaria 1945, str. 131.

krajów Europy środkowo-wschodniej wynika, że liczka 45 do 50 osób na 100 ha ziemi całkowicie wystarcza aby tę ziemię — przy poziomie techniki właściwym dla tej części Europy — móc całkowicie uprawić i zagospodarować. Nadwyżka ponad te 45-50 osób stanowi ludność zbędną w rolnictwie, tzn. ilość osób niezatrudnionych lub niedostatecznie zatrudnionych w tej gałęzi produkcji narodowej. Jak wynika z podanych cyfr, takich « zbędnych » ludzi w rolnictwie polskim było przeciętnie około 25 na km. kw. czyli ponad 6 milionów. W zależności od różnych metod szacunku różni autorzy obliczali « bezrobocie wiejskie » w Polsce na 5 do 8 milionów.

Rozdrobnienie własności jest zawsze korelatem zjawiska przeludnienia. W Polsce, na około 3,200.000 gospodarstw rolnych, 745,1 tysięcy dysponowało obszarem do 2 ha na gospodarstwo i 1.136,2 tys. obszarem od 2 do 5 ha. Tego rodzaju małe gospodarstwa do 5 ha gruntu, z wyjątkiem gospodarstw ogrodniczych, uchodziły w polskich warunkach gospodarczych (tzn. przy ekstensywnej a nie intensywnej gospodarce) za gospodarstwa niesamodzielne i dlatego nazywano je « karłowatymi ». Takich karłowatych gospodarstw było ponad 50 % ogólnej liczby warsztatów rolnych na powierzchni około 25 % użytków rolnych. Dalej szły małe gospodarstwa chłopskie (5-10 ha) na powierzchni około 26 % użytków, średnie gospodarstwa chłopskie (10-20 ha) na powierzchni około 13 % i gospodarstwa wielkochłopskie na powierzchni około 12 % użytków rolnych. Jest rzeczą jasną, że położenie społeczne i ekonomiczne chłopów karłowatych było najcięższe. Tu, w tych drobnych gospodarstwach, tkwił przede wszystkim wielki rezerwoar niezatrudnionych i łaknących ziemi rąk, decydujący o tym, że wielka, 19 milionowa masa chłopska, mimo, że dysponowała 76 % użytków rolnych, nie mogła się dostatecznie na tej ziemi wyżywić.

Jeżeli weźmie się pod uwagę te trzy czynniki, tj. relatywnie szczupły zapas ziemi do podziału, ogólne przeludnienie wsi i rozdrobnienie własności chłopskiej, wyrażające się w wielkiej liczbie niezdolnych do wyżywienia dużych na ogół rodzin gospodarstw karłowatych, staje się rzeczą jasną dlaczego istniał w Polsce głód ziemi i dlaczego w szybkiej i radykalnej reformie rolnej upatrywano drogę uzdrowienia chorej struktury agrarnej, aczkolwiek — jak to później zobaczymy — wyłącznie na tej drodze całe to zagadnienie nie mogło być rozwiązane.

Linie wytyczne reformy.

W języku naszych kół urzędowych reformę rolną nazywano często przebudową ustroju rolnego. Wyrażenie to symbolizowało dość trafnie istotny cel wchodzących tu w grę zabiegów. Reformy rolnej nie należy bowiem zwięzać do akcji nadzielenia chłopów ziemią, tzn. do tzw. parcelacji. Obok 1^o parcelacji, poważnie pomyślana reforma rolna musi obejmować również 2^o komasację, a więc scalanie rozrzuconych części gospodarstwa (likwidacja tzw. szachownicy

rozproszonych i wydłużonej), co najłatwiej jest dokonać w łączności z akcją parcelacyjną; dalej do reformy rolnej wchodzi 3^o znoszenie serwitutów i własności gromadzkiej i wreszcie 4^o cały szereg prac dodatkowych, ściśle związanych z powyższymi zabiegami, jak melioracje podstawowe i szczegółowe, zakładanie ksiąg gruntowych, uregulowanie spadkobrania powstałych z parcelacji lub komasacji gospodarstw dla uniknięcia ich ponownego rozczłonkowania itp.¹

Jedynie łączne rozwiązywanie wszystkich tych spraw dać może pożądaný efekt gospodarczy i socjalny, tzn. stworzyć zdrowe, zdolne do samodzielnego życia, prywatne gospodarstwa chłopskie. Parcelacja większych majątków pociąga za sobą osadzanie na roli bezrolnych i małorolnych, melioracje podstawowe (regulacja rzek, odwadnianie i nawadnianie) zwiększa kontyngent parcelacyjny, melioracje szczegółowe powiększają wydajność nowych parcel, podobnie jak akcja scalenkowa, wreszcie prace o charakterze prawnym utrwalają władanie nowoutworzonych lub uzdrowionych gospodarstw.

Planowość, znajdującą swój wyraz w łącznym rozwiązywaniu wszystkich tych skomplikowanych zagadnień, była pierwszym rysem zasadniczym, charakteryzującym reformę rolną Niepodległej Polski. W oparciu o tę zasadę planowości stworzone zostało na ogół dobrze przemyślane i zsynchronizowane z sobą ustawodawstwo reformy rolnej. Na czele tego ustawodawstwa stała ustawa parcelacyjna, uchwalona w r. 1920 i zamieniona później przez nową, bardziej rozbudowaną i precyzyjną ustawę z dn. 28.XII.1925 r. o wykonaniu reformy rolnej. W ścisłej łączności z tą ustawą pozostawała ustawa scalenkowa, uchwalona w r. 1923 i opublikowana r. w 1926, po wejściu w życie tej pierwszej. Dalsze człony tego ustawodawstwa stanowiły ustawy o znoszeniu służebności i wspólnot, o melioracjach rolniczych, o regulowaniu hipotek, o niepodzielności gospodarstw powstałych z akcji reformy rolnej itp.

Drugą linię przewodnią polskiej reformy rolnej lat 1919-1939 określić można jako równoległe uwzględnienie towarzyszących tej reformie aspektów, o których mówiliśmy powyżej, a więc jako paralelizm celów społecznych i gospodarczych. W Polsce rozumiano dobrze, że wielka własność musi ulec likwidacji, nie chciano jednak dopuścić do tego, aby społecznemu procesowi likwidacji tej wielkiej własności towarzyszyło zubożenie gospodarcze kraju; aby nowoutworzone gospodarstwa z punktu znalazły się w biedzie; aby służba folwarczna pozostała bez pracy nie mogąc w całości uzyskać ziemi na własność; aby niepełnorolna ludność wiejska, często czerpiąca dodatkowe środki utrzymania z pracy u właściciela wielkiego majątku, została tych środków pozbawiona bez zapewnienia jej innych źródeł dochodu; aby wreszcie produkcja rolnicza jako taka, niezbędna dla wyżywienia kraju i dla wymiany

¹ Porównaj artykuł: Dr Inż. K. CZERNIEWSKI, *La réforme agraire en Pologne 1919-1939*, tom II, str. 197.

handlowej z zagranicą, uległa zmniejszeniu przez nazbyt pośpiesznie przeprowadzoną parcelację, nie zapewniającą właścicielowi nowego gospodarstwa możliwości pobudowania się i zdobycia żywego i martwego inwentarza.

Te postulaty natury gospodarczej znalazły swój wyraz w ewolucyjnej metodzie rozwiązania całego zagadnienia z jednej, oraz w tzw. wyłączeniach od parcelacji z drugiej strony. Ewolucyjność polskiej reformy rolnej, w odróżnieniu od metody rewolucyjnej zastosowanej przez Rosję Sowiecką, wyrażała się w rozłożeniu akcji parcelacyjnej na dłuższy okres czasu. Jedynie dla pewnego rodzaju zdopingowania akcji w jej początkach, ustawa przewidywała, że kontyngent roczny ziem parcelowanych wynosić miał w ciągu pierwszych dziesięciu lat 200.000 ha. Ustawa polska wyłączała z obowiązkowej parcelacji majątki poniżej 180 ha ziemi ornej; dla niektórych okręgów (przemysłowych) granica ta obniżona była do 60 ha, natomiast na wschodzie Polski, gdzie głód ziemi nie był tak dotkliwy, podwyższona do 300 ha. Ustawa przewidywała również większe wyłączenia od parcelacji dla gospodarstw wzorowych, wywierających korzystny wpływ na uprawę rolniczą. Wreszcie również lasów prywatnych nie poddano parcelacji, wychodząc z założenia, że ich podział między chłopów jest niemożliwy i praktycznie mówić można jedynie o ich przejściu przez państwo, co jest zagadnieniem innej natury.

Dalszą zasadą było uszanowanie zasady prywatnej własności, jako podstawy przyjętego ustroju społeczno-gospodarczego. Nowego gospodarstwa miały być prywatną własnością chłopów. Jeśli słowo « własność » nie miało być pustym dźwiękiem, trzeba było przy rozwiązywaniu problemu reformy rolnej chronić o ile możliwości instytucję własności jako taką, tzn. unikać jej naruszenia przez interwencję państwową wówczas, gdy cel zamierzony mógł być osiągnięty bez tej interwencji. Tym tłumaczy się, że ustawa popierała w pierwszym rzędzie parcelację z inicjatywy prywatnej, wykonywaną jednakże pod kontrolą urzędów rolnych. Interwencja państwowa, tzn. przymusowy wykup ziemi na cele parcelacyjne, miała miejsce na podstawie imiennej listy majątków, przygotowanej i ogłaszanej zgóry przez rząd w przewidywaniu, że kontyngent parcelacyjny nie będzie osiągnięty w drodze parcelacji prywatnej. Właściciel gruntu poddanego parcelacji przymusowej otrzymywał odszkodowanie, na który to cel państwo emitowało 4 %, a później 3 % rentę ziemską.

Rezultaty i ich ocena. Blizsze krytyczne omówienie przedstawionych powyżej zasad nie jest tu możliwe. Krytyka ta uwypukli się najlepiej przez podsumowanie rezultatów akcji, jak również przez zestawienie scharakteryzowanych zasad z wytycznymi i metodami rozwiązania problemu rolnego w czasach obecnych.

W okresie od 1919 do 1937 roku (dysponujemy ścisłymi cyframi tylko

za ten okres) rozparcelowano w Polsce 2,536.000 ha, w tym 67 % objęła parcelacja prywatna i 33 % parcelacja państwowa. Ponadto, przez likwidację serwitutów i własności gromadzkiej udostępniono gospodarstwom chłopskim 589.000 ha, a zatem łącznie z parcelacją prywatną i państwową stan posiadania własności chłopskiej zwiększył się w latach 1919-1937 o ponad 3,100.000 ha. Doliczając akcję reformy rolnej w latach 1938 i 1939 otrzymamy łączny obszar około 3,4 mil. ha o który zwiększyła się własność chłopska. Inaczej mówiąc, około 13 % użytków rolnych przeszło w okresie 1919-1939 do rąk chłopów. Stan posiadania wielkiej i średniej własności ziemskiej zmniejszył się wskutek tego o około 50 %, tak, że bezpośrednio przed wojną gospodarstwa folwarczne powyżej 50 ha dysponowały już tylko około 15 % ogólnego areалу użytków, czyli obszarem około 3,6 mil. ha, w tym wielka własność ziemska w ścisłym znaczeniu tego słowa przyjęta być może dla całej Polski przedwojennej na około 10 % areалу, czyli około 2,5 mil. ha.

Z 2,538.000 ha ziemi rozparcelowanej w drodze prywatnej i państwowej 54 % zużytkowano na utworzenie gospodarstw nowych i 38 % na upełnorolnienie gospodarstw karłowatych ; reszta, tj. 7 % przeznaczona została na ogródki i działki robotnicze, rzemieślnicze i urzędnicze. Ogółem utworzono w latach 1919-1937 146.000 nowych gospodarstw, przy czym średni obszar gospodarstwa wynosił 9 ha. Różnice w obszarze nowych gospodarstw były znaczne i wynosiły od 3 ha w województwie krakowskim, gdzie glód ziemi był najsilniejszy i ziemi mało do podziału, do 14 ha w wojew. pomorskim i 16 ha na Polesiu. Na akcję upełnorolnienia przeznaczono 959 tys. ha (wspomniane 38 %), tworząc 476 tys. parcel dodatkowych.

W zakresie akcji komasacyjnej scalono w latach 1919-1937 około 770.000 gospodarstw o obszarze około 5 milionów ha, czyli około $\frac{1}{4}$ własności chłopskiej została objęta tą akcją. Tempo prac komasacyjnych było w ostatnich latach szczególnie szybkie, a pełne wykonanie programu przewidywano w ciągu 10-15 lat.

Wspomnijmy jeszcze krótko, że związana z wyżej wymienionymi pracami państwowa akcja melioracyj podstawowych doprowadziła do uregulowania biegu rzek i potoków na długości około 2.500 kilometrów ; regulacja względnie budowa nowych kanałów i wielkich kolektorów odwadniających wykonana została na długości około 900 kilometrów, a prace niwelacyjne wyraziły się przetransportowaniem około 40 mil. m³ ziemi.

Dla uzyskania właściwego obrazu rezultatów akcji musimy uzupełnić jeszcze podane cyfry liczbą osób, którym reforma rolna dała stałe zatrudnienie. Licząc po 5 osób na gospodarstwo rolne uzyskamy liczbę 730.000 osób, które w latach 1919-1937 uzyskały pracę i utrzymanie w nowych gospodarstwach utworzonych z parcelacji. Doliczając lata 1938 i 1939 liczba ta zwiększyła się do około 880.000. Ponadto, jak wiemy, akcja upełnorolnienia i akcja likwidacji serwitutów i własności gromadzkiej objęła obszar około 1,600.000 ha

i zwiększyła możliwość i wydajność pracy dla conajmniej 500.000 gospodarstw. Licząc, że w każdym z tych gospodarstw uzyskało pracę i utrzymanie w tej drodze przeciętnie 2 osoby, otrzymamy liczbę dodatkowo zatrudnionych około 1,000.000 osób, czyli łącznie 1,880.000 z osadzonymi na nowych gospodarstwach.

Przyczyny zła. Czy w świetle wszystkich powyższych danych można uważać polską reformę rolną okresu Niepodległości 1919-1939 za wystarczające rozwiązanie problemu? Na to pytanie z całą obiektywnością i spokojem należy odpowiedzieć negatywnie. Reforma rolna nie spełniła pokładanych w niej nadziei ani w swym dynamizmie rozwojowym ani też w rezultacie ogólnym. Jak wyliczyliśmy, przyniosła ona zatrudnienie około 1,800.000 ludności przy « bezrobociu » rolniczym szacowanym na około 6 milionów osób. Przeciętnie 100.000 osób rocznie otrzymywało pracę i utrzymanie stałe w wyniku przebudowy ustroju rolnego, gdy sam przyrost naturalny polskiej wsi szacować można na około 250.000 rocznie. W tych warunkach, mimo olbrzymich wysiłków i znacznych kosztów akcja parcelacyjna ani nie zmniejszyła głodu ziemi, ani też nie poprawiła ogólnego położenia gospodarczego wsi. Po prostu dlatego, że rozwiązać tego problemu nie była w stanie. Przyczyny zła, wyrażające się w biedzie wsi polskiej, leżały w całkowicie innej płaszczyźnie i parcelacja większej własności, gdyby nawet była przeprowadzona bardziej intensywnie i wydatnie, traktowana jako lekarstwo na chorobę trapiącą ludność chłopską, nie mogła sama przez się tej choroby uleczyć.

Spróbujmy stwierdzić w grubych liniach gdzie leżały najistotniejsze strukturalne przyczyny choroby trapiącej polskie rolnictwo, a chłopów polskich w szczególności. Bez dokładnego zdania sobie sprawy z tych przyczyn nie można ocenić należycie ani w odniesieniu do przeszłości ani teraźniejszości wysiłków reformy rolnej żadnego z krajów Europy środkowo-wschodniej.

W odniesieniu do przeszłości, jak już wspomnieliśmy, podstawowa przyczyna strukturalnych trudności polskiego rolnictwa leżała w dysproporcji między głodem ziemi, jako następstwem przeludnienia wsi i rozdrobnienia własności chłopskiej z jednej, a relatywnie szczupłą rezerwą ziemi, która służyć mogła na zaspokojenie tego głodu. Obliczona stosownie do przepisów ustawy z dn. 28.XII.1925 r. rezerwa ziemi na cele parcelacyjne wynosiła bezpośrednio przed wojną około 1,500.000 ha, z czego natychmiast mogło być rozparcelowane tylko około 875.000 ha; reszta wymagała odwodnień i innych podstawowych melioracyj. Gdyby nawet obniżono przed wojną normę indywidualnego władania do maximum 50 ha, rozparcelowano bez reszty wszystkie majątki powyżej 50 ha, nie pozostawiając właścicielowi ani kawałka gruntu, znajdując pieniądze na konieczne melioracje i inne koszty związane z wykonaniem tego radykalnego programu, to i wówczas nie zdobyłoby na

cele parcelacyjne więcej jak 3,000.000 ha i nie stworzonoby więcej jak tylko około 300.000 nowych gospodarstw po 10 ha przeciętnie, a więc zatrudnionoby co najwyżej 1,500.000 osób na 6 milionów nadwyżkowej ludności rolniczej, nie biorąc pod uwagę przyrostu naturalnego.

Druga przyczyna strukturalnych trudności, która hamowała również wykonanie reformy rolnej, leżała w ogólnej słabości kapitałowej całego polskiego gospodarstwa. Chodzi tu nie tylko o kapitał, niezbędny na odszkodowanie właścicieli parcelowanych majątków. W ogólnych kosztach reformy pozycja ta nie odgrywa jeszcze stosunkowo wielkiej roli i zagadnienie odszkodowania może być rozmaicie rozwiązane, np. przez emisję renty ziemskiej. Znacznie większe sumy potrzebne są na urządzenie i zagospodarowanie nowych gospodarstw i parcel. Chodzi więc w pierwszym rzędzie o zorganizowanie długo- i krótkoterminowego kredytu rolniczego na postawienie budynków gospodarczych, na przeprowadzenie melioracji, zakup maszyn, narzędzi i inwentarza żywego itp. W Polsce, która stale cierpiała na brak kapitału inwestycyjnego i obrotowego, zagadnienia te tylko z trudem dawały się rozwiązywać i dlatego nie tylko reforma rolna ale i wszelkie inne zabiegi polityki agrarnej nie mogły doprowadzić szybko do natychmiast odczuwalnego rezultatu.

Już w tych stosunkowo wąskich granicach (stosunkowo do potrzeb) w jakich reforma rolna była wykonywana, finansowanie jej nastęrczało ogromne trudności. Mimo poważnych wysiłków ze strony państwa, Państwowego Banku Rolnego i innych instytucyj kredytu rolniczego, powołane do życia nowe warsztaty borykały się z olbrzymimi trudnościami. Aby mogła być przeprowadzona reforma bardziej radykalna i intensywna, a więc rozparcelowane wszystkie majątki powyżej 50 ha użytków rolnych, niezbędny był — przy racjonalnym rozwiązaniu zagadnienia — kapitał około 9 miliardów złotych przedwojennych, licząc średnio i skromnie po 3.000 zł. na parcelowany hektar. Jak wielką jest ta suma można pojąć, gdy uprzytomnimy sobie, że w ciągu 20 lat Niepodległości Państwo Polskie wydało na wszystkie inwestycje publiczne, tj. koleje, drogi, mosty, porty i żeglugę morską, regulację wód, pocztę, telegraf i telefon, gmachy administracyjne i finansowanie budownictwa mieszkaniowego 10 miliardów złotych.

Ekonomicznie myśląc, reforma rolna tylko wówczas poprawić może ogólne położenie ludności wiejskiej, gdy nowoutworzone gospodarstwa są zdolne do życia, tzn. — po prostu powiedziawszy — gdy ich produkcja jest rentowna. Dla osiągnięcia rentowności produkcji istotnymi są nie tylko zabiegi, które mają na celu możliwie niskie ukształtowanie kosztów produkcji, co zwykle wiąże się z potaniającymi te koszta inwestycjami, lecz również stosunki rynkowe, a więc ceny zbytu produktów rolnych. Nie powolny rozwój reformy rolnej, lecz właśnie ogólna nierentowność polskiego rolnictwa, wywołana wspomnianymi dwoma czynnikami, tj. brakiem kredytu inwestycyjnego i niskimi cenami płodów rolnych, była przed wojną dalszą i główną przyczyną

ciężkiego położenia polskiej wsi. Wskutek tej nierentowności cierpiał nie tylko mały chłop, ale i wielki właściciel ziemski. Jest ona do przypisania przede wszystkim ogólnym warunkom międzynarodowym przed wojną, które przemożnie wpłynęły na sytuację polskiego rolnictwa. Nierentowność ta wynikała również częściowo z wewnętrznych wad strukturalnych całego polskiego gospodarstwa narodowego. Jak wiadomo, międzynarodowy kryzys rolniczy, którego przezwyciężenie nie leżało w siłach samej Polski, doprowadził do tak głębokiego spadku cen zboża, że wskutek tego cały wewnętrzny system cen rolniczych uległ załamaniu. Z drugiej strony, niedostateczne uprzemysłowienie i urbanizacja kraju stały na przeszkodzie odpływowi ludności wiejskiej do miast, nie pozwalając również na otworzenie polskiemu rolnictwu szerszego wewnętrznego rynku zbytu i na osiągnięcie w tej drodze poprawy cen.

Dla każdego nieuprzedzonego obserwatora polskich stosunków gospodarczych jest rzeczą jasną, że przezwyciężenie społeczno-gospodarczych trudności polskiej wsi nie było możliwe wyłącznie w drodze reformy rolnej. Jeżeli na wsi polskiej mieszkało w ogóle za wiele ludzi, to podzielenie tych ludzi na mniejsze skrawki ziemi napewno nie mogło tej sytuacji poprawić. W tych warunkach jedynie rozwój przemysłu wewnętrznego mógł spowodować jakąś poprawę. Jeżeli produkcja rolnicza w warunkach przedwojennych była nieopłacalna, to stworzenie wielkiej ilości nowych, niewyposażonych kapitałowo gospodarstw rolnych, stanu tego nie mogło poprawić, przeciwnie, mogło zaostrzyć jeszcze biedę wsi. Tej prawdzie trzeba otwarcie spojrzeć w oczy, bez zaprzeczania oczywiście celowości i potrzeby ewolucyjnej parcelacji wielkiej własności między małych chłopów i bezrolnych. Podkreślamy jeszcze raz : reforma rolna była w Polsce konieczna, lecz sama w sobie nie mogła polepszyć społecznego i ekonomicznego położenia chłopów.

IV. Współczesna reforma rolna

Krytyka starej i cele nowej reformy.

Pozostawmy teraz na uboczu cały tragiczny okres wojny i przejdźmy do czasów obecnych. Koła polityczne, które zorganizowane były w « Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego » i w lipcu 1944 r. doszły w Polsce do władzy, między różnymi radykalnymi reformami społecznymi przygotowały również wytyczne nowej reformy rolnej. Dzieło tej nowej reformy, przeprowadzonej pośpiesznie, wyszło z krytyki reformy starej i z tą krytyką warto się przede wszystkim zapoznać.

Autorzy nowej reformy twierdzą, że « Rządy w Polsce przedwrześniowej nie chciały zrealizować reformy rolnej : nie chciano angażować się w demokratyczną politykę, która dałaby siłę masom chłopskim i osłabiła reakcyj-

ną grupę wielkich posiadaczy ziemskich¹». Zacofanie społeczne i ekonomiczne kraju miało być jakoby « nieodłącznym skutkiem » popierania interesów obszarnictwa. Ale nie tylko to. « Rządy przedwrześniowe dla zabezpieczenia tych interesów prowadziły katastrofalną w swych skutkach politykę zagraniczną. Z Niemcami zawierano tajne umowy, wykluczające stosowanie reformy rolnej na Górnym Śląsku, wyłączając ziemie junkrów pruskich od podziału między chłopów górnośląskich. Na wschodzie prowadzono awanturniczą politykę w celu nie tylko zachowania, ale i rozszerzenia sfery posiadania ziemiaństwa kresowego ».

Z obydwoma powyższymi zarzutami, które leżą w płaszczyźnie czysto politycznej, nie możemy, ani nie chcemy, polemizować. Są one jednak bardzo interesujące dla obiektywnego badacza zagadnień reformy rolnej, gdyż pozwalają mu zapoznać się z duchem nowej reformy. Przytoczone zdania pozwalają nam stwierdzić, że przy realizowaniu nowej reformy ogromną rolę odegrał aspekt polityczny; ten aspekt wydaje się nawet maszerować na czele kierunkowych ideałów reformy, przed aspektem społecznym i gospodarczym.

Trzeci zarzut wiąże się bardziej z interesującymi nas tu przede wszystkim społeczno-ekonomicznymi zagadnieniami reformy rolnej i dotyczy wspomnianych już uprzednio wyłączeń od parcelacji. « W pierwszym rzędzie — pisze Seweryn Szer — wyłączono lasy, wody, sady. Następnie pozostawiono osobie fizycznej lub prawnej w zależności od okręgu administracyjnego : 60, 180, 300 ha ; ponadto nie podlegały parcelacji gospodarstwa poświęcone wytwórczości nasiennej, hodowlanej oraz uprzemysłowione ». O tej sprawie była już mowa. Podkreślamy jeszcze raz nasze stanowisko w tym ważnym zagadnieniu aby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień : przyjęta w Polsce przed wojną granica ziemi wolnej od parcelacji przymusowej może istotnie wzbudzać dyskusję i obniżenie jej do maximum 50 ha użytków rolnych musiało znaleźć się wcześniej czy później na porządku dziennym w dalszym rozwoju reformy. Nie mniej jednak, wobec ogromnych trudności finansowych i z uwagi na ewolucyjny charakter reformy przedwojennej, zagadnienie to nie było tak ostre, jak to się dzisiaj przedstawia.

Z ekonomicznego punktu widzenia istniały też niewątpliwe i ważne racje dla ochrony tzw. majątków przemysłowych. Z rolnictwem polskim związanych było około 1.500 cukrowni, gorzeln, krochmalni, młynów przemysłowych i gospodarczych itp. zakładów przetwórczych. Jak długo większość

¹ Opieramy się tu głównie na artykule SEWERYNA SZERA, naczelnika wydziału prawa cywilnego w Ministerstwie Sprawiedliwości, pt. *Demokratyzacja życia gospodarczego w świetle ustawodawstwa*; ukazał się on pod koniec 1945 r. w oficjalnym wydawnictwie warszawskiego Ministerstwa Sprawiedliwości pt. *Wymiar sprawiedliwości w odrodzonej Polsce 22.VII.1944 — 22.VII.1945*. Również szereg innych artykułów i notatek współczesnej prasy polskiej służy nam za podstawę tego rozdziału.

tych zakładów organicznie związana była z majątkiem, tak długo majątek ten służył im za podstawę surowcową. Oderwanie zakładu od tej jego dotychczasowej naturalnej podstawy surowcowej musi pociągać za sobą daleko idące przekształcenia natury gospodarczej i organizacyjno-prawnej, co przedstawia ogromny problem, leżący nie tylko w zakresie interesów wielkiego właściciela ziemskiego, lecz również bardzo żywo zazębiający się o bezpośrednie interesy robotników wspomnianych jednostek przemysłowych i o interesy państwa jako takiego.

Ważniejszą rzeczą od krytyki przeszłości jest sformułowanie celów nowej reformy. Publikacja warszawskiego Ministerstwa Sprawiedliwości twierdzi, że dopiero Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego oparł reformę rolną na właściwym gruncie i wysunął ją jako naczelne swoje zadanie w manifestie z lipca 1944 r. W manifestie tym czytamy : « Aby przyspieszyć odbudowę kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystąpi natychmiast do urzeczywistnienia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej. » Jednocześnie manifest podaje zasady tej reformy.

« Celem reformy jest : uczynić z chłopów świadomych swych praw i obowiązków obywateli, miast podkopujących zwartość polityczną Państwa — malkontentów. Dochodzi do tego szczególnie moment narodowy : wprowadzenie polskiego chłopca w posiadanie ziemi na zachodnich terenach Rzeczypospolitej pozwala zlikwidować niemczyznę i tworzy potężny wał ochronny przed próbami ponownej agresji germańskiej... » W ten sposób reforma rolna ma stanowić fundament politycznej niezależności Państwa Polskiego, co podkreśla art. 1 dekretu PKWN z dn. 6.IX.1944 o wykonaniu reformy rolnej. Reforma ta ma być również koniecznością gospodarczą, co podkreśla też art. 1 dekretu, albowiem « ustrój rolny w Polsce, oparty na silnych, zdrowych i zdolnych do wydajnej produkcji gospodarstwach, stanowiących prywatną własność posiadaczy, tworzy fundament ekonomicznego rozwoju wsi polskiej, a co za tym idzie i Państwa Polskiego¹ ».

Sformułowania te potwierdzają dobitnie nasze uprzednie stwierdzenie, że nowa reforma rolna ma na widoku w pierwszej linii cele polityczne, a następnie dopiero gospodarcze. Jej autorzy nie mogli oczywiście pominąć aspektu socjalno-ekonomicznego, towarzyszącego wszelkim ruchom wyzwolenia chłopca, tj. stworzenia silnych i zdrowych gospodarstw, stanowiących prywatną własność posiadaczy. Zobaczymy jednak później, że tak sformułowany postulat społeczno-gospodarczy stanowi raczej motyw dekoracyjny aniżeli istotną treść nowej reformy.

¹ Publikacja Ministerstwa Sprawiedliwości, str. 37. Podkreślenia nasze.

Jak przeprowa-
dzono reformę?

Stosownie do art. 6 dekretu z dn. 6 września 1944 r., w brzmieniu nadanym obwieszczeniem Ministra Rolnictwa z dn. 13 stycznia 1945 r. (Dz. U. Nr. 3 poz. 13), Minister Rolnictwa i Reform Rolnych objął niezwłocznie *zarząd państwowy* nad nieruchomościami przeznaczonymi na cele reformy rolnej wraz z budynkami, inwentarzem i przedsiębiorstwami przemysłu rolnego. Na podstawie § 9 rozporządzenia Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dn. 1 marca 1945 (Dz. U. Nr. 10 poz. 51) delegowani przez ministra pełnomocnicy mogli «powierzyć tymczasowy zarząd fachowym siłom rolniczym, które przy pomocy komitetów folwarcznych obejmują i zabezpieczają całość przejętego mienia».

Następnym stadium było sporządzenie spisu uprawnionych do korzystania z reformy rolnej. Czynność tę zlecono Gminnej Komisji Reformy Rolnej, złożonej z uprawnionych w gminie (art. 9 dekretu), z drugiej zaś strony — pełnomocnikowi gminnemu w porozumieniu z Komisją Podziału Ziemi, przeznaczoną dla ściśle określonych nieruchomości i składającą się z przedstawicieli uprawnionych w danej gromadzie (§ 21 rozporządzenia).

Trzecie stadium — to projekt podziału ziemi i inwentarza, który miał miejsce na podstawie planu sporządzonego w stosunku do ziemi przez Komisję Podziału Ziemi, zaś w stosunku do inwentarza przez Gminną Komisję Reformy Rolnej, w obu przypadkach — jak głosiły przepisy — przy fachowym udziale instruktorów rolnictwa.

Po zatwierdzeniu projektu podziału przez pełnomocnika powiatowego, następowało ostatnie stadium, a więc faktyczny podział ziemi, który to podział — ciągle według tekstu przepisów — miał być dokonany przez mierniczego, ale w przypadku braku odpowiednich sił mierniczych dopuszczono prowizoryczny podział ziemi przez Komisję Podziału pod kontrolą mierniczego.

Na cele reformy (art. 2. ust. 1 dekretu) przeznaczono wszystkie nieruchomości ziemskie, jeżeli ich obszar łączny przekracza 100 ha powierzchni ogólnej, bądź 50 ha użytków rolnych, a na terenie wojew. poznańskiego, pomorskiego i śląskiego 100 ha powierzchni ogólnej, niezależnie od wielkości użytków rolnych. Nowy dekret obniżył więc wydatnie maximum posiadania ziemi w porównaniu z ustawą przedwojenną, a następnie, w przypadku gdy obszar nieruchomości przekraczał to maximum — wywłaszczeniu uległa cała nieruchomość, a nie tylko nadwyżka.

Wywłaszczenie jest zatem absolutne, nieodwołalne i bez odszkodowania. Wywłaszczeni właściciele i współwłaściciele nieruchomości parcelowanych, których grunty przekraczały 50 ha użytków względnie 100 ha powierzchni ogólnej i wobec tego w całości przeszły na cele reformy rolnej, zostali jedynie uprawnieni do otrzymania 5 ha ziemi poza obrębem powiatu w którym znajdował się ich majątek. Kto nie chciał z tego prawa skorzystać (a skorzystało bardzo niewiele), mógł otrzymać miesięczne zaopatrzenie w wysokości uposażenia urzędnika VI grupy.

Jest rzeczą jasną, że autorom nowej reformy rolnej chodziło przede wszystkim u uchwycenie na cele parcelacyjne możliwie największego obszaru ziemi. Zdawano sobie sprawę, że na ziemiach odbudowującego się Państwa Polskiego, uszczuplonych zwłaszcza przez rosyjską aneksję województw wschodnich, gruntów zdatnych do podziału jest stosunkowo niewiele. Ten moment szczupłości ziemi — obok zasadniczego negatywnego nastawienia do warstwy ziemiańskiej — zdecydował też o radykalnym wyrzuceniu z własności średnich i wielkich ziemian, pokrywając ten krok twierdzeniem — naszym zdaniem mało obiektywnym — że « ziemie obszarncze były źródłem ucisku i nędzy chłopów ». W gruncie rzeczy ten sam cel ma na widoku ostry atak na wyłączenia od parcelacji, przewidziane w ustawie przedwojennej. Wyłączenia te nazwano « ekonomicznie nieusprawiedliwionymi », aczkolwiek nie moment ekonomiczny, ale polityczny, tj. dążenie do pozyskania możliwie wielkiej przestrzeni dla zrealizowania politycznych celów parcelacji zdecydował o tym posunięciu. Należy obawiać się, że dokonana w ten sposób likwidacja majątków przemysłowych i upaństwowienie związanych z nimi przedsiębiorstw wywrze niekorzystny wpływ na położenie i rozwój polskiego przemysłu rolnego.

Pierwszeństwo celów socjalno-politycznych przed ekonomicznymi wymogami reformy rolnej widoczne jest również w normach parcelacyjnych. Dekret nie przewiduje sztywnej granicy nowych gospodarstw, postanawia jednak, że obszar nowoutworzonych parceli nie może wynosić więcej niż 5 ha ziemi ornej średniej jakości, podczas gdy ustawodawstwo przedwojenne przewidywało obszar 4,5 względnie 6 ha jako granicę dolną i 35 ha jako granicę górną; dla gospodarstw ogrodniczo-warzywniczych maksymalna norma ustalona została na 2 ha.

Wyniki nowej reformy.

Nową reformę rolną, opartą na wyżej scharakteryzowanych zasadach, można już dziś uważać za niemal całkowicie zakończoną, przynajmniej z formalnego punktu widzenia. Majątki zostały odebrane dotychczasowym posiadaczom i ziemia szybko podzielona przez komitety folwarczne, przy czym — co uznać należy za wielki błąd nowej reformy — akcja parcelacyjna w Polsce centralnej nie została powiązana z akcją osiedleńczą na zachodnich terenach odzyskanych. Nie odczekano również powrotu setek tysięcy chłopów deportowanych z Polski w czasie wojny do robót przymusowych, bądź znajdujących się w armiach polskich za granicą, wskutek czego pozbawiono praktycznie tych chłopów możliwości udziału w akcji parcelacyjnej na terenie ich zamieszkania.

Minister Rolnictwa Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (Berthold), który przeprowadzał tę akcję, mógł już w dniu 6 maja 1945, a więc w niespełna osiem miesięcy po wydaniu pierwszego dekretu, podać jej wyniki

Krajowej Radzie Narodowej. W sprawozdaniu Ministra czytamy : « Dekret z dn. 7.IX.1944 wraz ze zmianami z 12.I.1945 objął bez ziem postulowanych 8832 majątki o ogólnym obszarze 4, 242. 949 ha z 1050 obiektami przemysłu rolnego, będącymi własnością 6742 rodzin obszarniczych. Obszar ten stanowi 21,1 % całego obszaru ziemi... W cyfrze 4, 242. 949 ha podlegających dekretowi, mieści się 1, 844. 771 ha lasu, które już zostały przejęte przez państwo, powiększając w ten sposób majątek państwowy. Do podziału pozostało 2, 408. 178 ha obszarów dworskich, w tym 2, 143. 273 ha użytków rolnych i wód. »

Powyższe oficjalnie opublikowane cyfry potwierdzają nasze obliczenia dokonane w poprzednim rozdziale. Cyfry te, jeśli umie się je czytać, są wymownym rozwianiem bajki o « obszarniczej strukturze rolnej » Polski przedwojennej. Po wielkim ataku na ziemie obszarnicze, jako na « źródło ucisku i nędzy chłopca », sam Minister Rolnictwa stwierdza, że na ziemiach centralnej i zachodniej Polski (w jej granicach przedwojennych, bez części wschodniej, przyłączonej do Rosji) obszar średniej i wielkiej własności rolnej, tj. gospodarstwa powyżej 50 ha użytków rolnych, wynosił z lasami i wodami tylko 21,1 % ogólnej powierzchni. Odliczając lasy, które zostały upaństwowione, użytki rolne i wody, które uznano za możliwe do podziału, wyniosły 2, 143. 273 ha, czyli około 14 % ogólnej powierzchni w użytkowaniu rolniczym, przypadającej na ziemie centralnej i zachodniej Polski, i to nawet po obniżeniu granicy władania do 50 ha, zniesieniu wszelkich wyłączeń od parcelacji i nie pozostawieniu wywłaszczonemu właścicielowi żadnej « resztówki ». Ten ogólny procent ziemi stojącej do dyspozycji na cele parcelacyjne nie zmieniłby się, gdyby Komitet Wyzwolenia Narodowego mógł objąć akcją parcelacyjną również dawne polskie tereny wschodnie, przyłączone do Rosji, a to względu na fakt, że tereny o największym odsetku średniej i wielkiej własności ziemskiej w stosunku do powierzchni w użytkowaniu rolniczym leżały nie na wschodzie, ale na zachodzie Polski, w województwie poznańskim i pomorskim.

Z innych ustępów sprawozdania ministra wynika, że nie tylko terenów do podziału było stosunkowo mało, lecz również, nawet po obniżeniu normy nowego gospodarstwa do maximum 5 ha nie można było zaspokoić głodu ziemi. W sprawozdaniu czytamy : « Ziemią obdzieliliśmy dotychczas 302. 893 rodziny, tj. około 1, 500. 000 ludności, w tym 71. 965 rodzin służby folwarcznej, która otrzymała 38,3 % zapasu ziemi, 50. 794 bezrolnych (17,6 % zapasu ziemi), 30. 570 rodzin posiadających gospodarstwa karłowate (4,8 % ziemi), 20. 158 średniorolnych (4,1 % zapasu ziemi). Prócz tego obdzielono 2811 rodzin rzemieślników i zasłużonych partyzantów. W końcowym stadium parcelacji znajduje się 243. 725 ha, prócz tego 498. 075 ha wstrzymano od parcelacji ze względu na zaminowanie... »

Według późniejszych danych Ministerstwa Rolnictwa, przytoczonych

przez Seweryna Szera ¹, do dnia 1 czerwca 1945 r. otrzymało ziemię 364.516 rodzin o powierzchni nadzielonej ziemi 1,091.430 ha, co stanowi 83,9 % ogólnej powierzchni rozparcelowanej. « Wynika stąd — pisze Szer — że w ciągu 9 miesięcy rozparcelowano 1,399.226 ha, gdy, jak wiemy, roczna parcelacja przed wrześniem 1939 r. wynosiła przeciętnie 132.740 ha. Z danych Ministerstwa Rolnictwa wynika nadto, że akcja parcelacyjna dobiega końca również w nowych województwach zachodnich. Uzupełnienie jej stanowi akcja przesiedleńcza, która zakończy proces przebudowy i normalizacji ustroju rolnego w Polsce. »

Spoleczne i
gospodarcze
konsekwencje.

Przyjmujemy z dobrą wiarą, że Ministerstwo Rolnictwa uczyniło wszystko możliwe aby najlepiej wykonać przepisy nowej reformy, nie mniej jednak — zważywszy na założenia całej akcji i na tempo jej przeprowadzenia — nie było ono w możności ani zapobiec niesprawiedliwościom społecznym, które dotknęły zainteresowanych w reformie chłopów, nie mówiąc już o właścicielach parcelowanych majątków, ani też uniknąć jeszcze większych szkód gospodarczych, jakie tak wykonana reforma rolna musiała za sobą pociągnąć.

Jeśli, stosownie do oficjalnych danych Ministerstwa Rolnictwa, podzielimy rozparcelowaną powierzchnię przez liczbę rodzin, którym ziemia została przydzielona, okaże się, że przeciętna wielkość nowoutworzonych parcel wynosi niespełna 3 ha. Tutaj wydaje się leżeć przede wszystkim wielkie socjalne i gospodarcze niebezpieczeństwo nowej reformy rolnej.

Z socjalnego punktu widzenia należy stwierdzić, iż utworzono kilkaset tysięcy nowych gospodarstw karłowatych, których upośledzenie w stosunku do starych małych, średnich i wielkich gospodarstw chłopskich do 50 ha użytków względnie 100 ha ogólnego obszaru — rzuca się w oczy. Tego rodzaju małe gospodarstwa rolne od 2-5 ha ziemi są w polskich stosunkach gospodarczych jednostkami niezdołnymi do życia, tym bardziej, gdy brakuje im kapitału inwestycyjnego, melioracyjnego i obrotowego, w który nie można było wyposażyć obdarowanych ziemią. W tych warunkach socjalne przeciwności na wsi polskiej nie zostały usunięte przez nową reformę; przeciwnie, reforma ta łatwo prowadzić może do nowych napięć i starć. Niebezpieczeństwo to jest tym groźniejsze, jeśli weźmie się pod uwagę, że na akcję upelnorolnienia starych gospodarstw karłowatych przeznaczono tylko około 5 % rozparcelowanej powierzchni, w porównaniu z 38 % przeznaczonymi na ten cel przed wojną. Z akcji upelnorolnienia skorzystało tylko 30.570 warsztatów rolnych (do 1.VI.1945), gdy liczba ich na terenach centralnej i zachodniej Polski wynosi około 1,000.000. W ostatecznym rezultacie stworzono więc ogromną liczbę nowych, gospodarczo niesamodzielnych, karłowatych warszta-

¹ Cyt. publikacja Min. Sprawiedliwości, str. 42.

tów, która dołączyła się do olbrzymiej ilości tych gospodarstw istniejących już przed wojną, przy czym, zakładając nawet straty poniesione w czasie wojny przez ludność chłopską, nie zdołano zaspokoić w tej drodze głodu ziemi i « rozładować » nawet w 50 % przeludnionych terenów.

Z możliwości powstania szkód gospodarczych w rezultacie nowej reformy zdawali sobie sprawę sami jej autorzy, skoro mówią : « Od należytego wykorzystania ziemi zależy pomyślność całego życia gospodarczego... Grunty już zdadne pod uprawę roli winny być w całej pełni wykorzystane... Jest to nasz obowiązek państwowy. Kto się od tego obowiązku uchyla jest przestępcą. »

Z powyższych założeń wychodzi dekret z dn. 30 marca 1945 r. o przymusowym zagospodarowaniu użytków rolnych (Dz. U. Nr. 11 poz. 59). Wprowadzając przymus zagospodarowania wszystkich gruntów, nadających się pod uprawę, dekret ten postanawia, że posiadacze, a więc właściciele, dzierżawcy a nawet zarządzający obowiązani są zagospodarowywać je należycie w całości, przy czym zagospodarowanie obejmuje uprawę, siew, pielęgnację i zbiory.

Jeżeli posiadacz gruntu nie zagospodarowuje go, odbiera mu się przede wszystkim użytkowanie, a ziemię przekazuje się tym, którzy będą ją uprawiać, dokonają zasiewu i zbiorów. Za najbardziej powołaną do wypełnienia tych zadań uznana została gromada. I dlatego dekret z dn. 30. XII. 1945 postanawia, że wszystkie użytki rolne, nie zagospodarowane we właściwym czasie przechodzą w użytkowanie gromady, która organizuje na tych gruntach gospodarkę wspólną w formie tzw. « samopomocy rolnej ». Za wykonanie tego obowiązku odpowiedzialny jest sołtys. Sołtysi, wójtowie i starostowie mają prawo wydawania nakazów w przedmiocie celowego i terminowego zagospodarowania, które polega na świadczeniach w formie robocizny oraz użyczenia sprzężaju, środków transportu, uprzęży i narzędzi rolniczych oraz pożyczki materiałów siewnych.

Obok « samopomocy » dekret przewiduje inne jeszcze skuteczne środki. Tak więc posiadacz niezagospodarowanych gruntów obciążony jest podatkiem gruntowym w podwójnej wysokości. Następnie, za uchylenie się od obowiązku pracy na roli podlega karze więzienia do lat 3 lub aresztu do lat 3 ; obok kary pozbawienia wolności sąd może orzec jeszcze grzywnę do 300.000 złotych. Wreszcie, aby zapobiec brakowi materiałów siewnych, dekret wprowadza zakaz rozporządzania tymi materiałami niezgodnie z ich przeznaczeniem, pod skutkiem wyżej wymienionej kary.

Nie trudno spostrzec, że między dekretem o przymusowym zagospodarowaniu użytków rolnych i dekretem o wykonaniu reformy rolnej istnieje ścisły związek. Od początku wprowadzenia w życie nowej reformy rolnej autorzy jej zdawali sobie sprawę, że chłop, nie rozporządzając w większości wypadków inwentarzem żywym i martwym, nie posiadając budynków gos-

podarskich, ziarna na siew itd. — nie jest w stanie uprawiać należycie ziemi, przydzielonej mu w drodze parcelacji. Gdy ziemia ta nie jest należycie zagospodarowana, nieunikniony jest spadek produkcji, z czego powstają wielkie szkody gospodarcze dla całego państwa. I dlatego na stare gospodarstwa chłopskie, które z parcelacji nie odnoszą żadnej indywidualnej korzyści, nałożono obowiązek urządzenia i zagospodarowania nowoutworzonych parcel. W konsekwencji, biorąc rzecz ekonomicznie, obok wywłaszczonych posiadaczy średnich i wielkich majątków stare gospodarstwa chłopskie muszą zapłacić kosztą nowej reformy rolnej. Znajduje to właśnie swój wyraz w formie « samopomocy chłopskiej », a więc w pewnego rodzaju nowej « pańszczyźnie » nałożonej na warsztaty zagospodarowane na rzecz warsztatów niezagospodarowanych powstałych z reformy rolnej, bądź na rzecz gospodarki kolektywnej.

V. Uwagi końcowe i wnioski

Oto całokształt problemu « Wczoraj i Dziś » polskiej reformy rolnej, który staraliśmy się przedstawić w sposób możliwie obiektywny, oparty na rozporządzalnych danych statystycznych i przesłankach rozumowych, aczkolwiek zdajemy sobie sprawę, że w niektórych naszych stwierdzeniach płyniemy « pod prąd » dość powszechnych dziś mniemań i tendencji. Punkt widzenia, z którego spojrzeliśmy na zagadnienie, jest punktem widzenia ekonomisty. Myślenie ekonomiczne tym różni się od nieekonomicznego, że ekonomista poszukuje zawsze związków między zagadnieniami w przestrzeni i w czasie, których nieekonomista nie widzi.

Uwagi nasze i wnioski możemy zreasumować w sposób następujący :

Polska reforma rolna okresu przedwojennego, oparta na ewolucyjnym i planowym rozwiązywaniu wszystkich objętych tym pojęciem i ściśle powiązanych z sobą zagadnień przebudowy ustroju rolnego, dążąca do synchronizacji celów społecznych i ekonomicznych i ujmowana jako jeden — pośród wielu — element poprawy położenia wsi, w zasadniczych tych swoich liniach wytycznych była na ogół dobrze skonstruowanym i celowym środkiem ogólnej polityki agrarnej. W wykonaniu swoim przynosiła ona chłopom niewątpliwe korzyści, przy jednoczesnym zabezpieczeniu nadrzędnych interesów gospodarczych państwa.

Nie mniej trzeba stwierdzić, że tempo wykonywania reformy rolnej w ostatnich dziesięciu latach przed wybuchem wojny było rzeczywiście słabe w porównaniu z naciskiem samego zagadnienia. Słabość tego tempa nie była jednak podyktowana jakąś polityczną tendencją ochrony interesów wielkich obszarników, lecz wynikała przede wszystkim z ogólnych przyczyn natury gospodarczej, a mianowicie : a) z ogólnej słabości kapitałowej całego polskiego gospodarstwa narodowego, niedozwalającej na doprowadzenie więk-

szych środków finansowych na cele reformy rolnej i na cele parcelacji w szczególności; b) z ogólnie niekorzystnych warunków gospodarstwa światowego w okresie międzywojennym, które niepozwalają na zorganizowanie międzynarodowego kredytu agrarnego i na przyspieszenie w tej drodze polskiej reformy rolnej; c) z ciężkiego kryzysu gospodarczego rolnictwa, który dotknął również dotkliwie rolnictwo polskie, unicestwiając rentowność gospodarki i osłabiając również przez to ekonomiczne podstawy reformy agrarnej.

Przy rozwiązywaniu współczesnej reformy rolnej motywy polityczno-społeczne wysunięte zostały na plan pierwszy przed rozważaniami natury gospodarczej. To niesie jednak z sobą liczne niebezpieczeństwa zarówno natury socjalnej jak i ekonomicznej.

Z socjalnego punktu widzenia, zbyt szybko przeprowadzona reforma rolna stała się źródłem szeregu niesprawiedliwości w nadziale ziemią. Główny błąd reformy wydaje się leżeć w tym, że parcelacja średniej i wielkiej własności w Polsce centralnej nie została związana z akcją osiedleńczą na zachodnich terenach odzyskanych. Wskutek tego utworzono w Polsce centralnej wielką ilość niesamodzielnych i niezdolnych do życia gospodarstw karłowatych od 2-5 ha., zaniedbując całkowicie upelnorolnienie uprzednio już istniejących w wielkiej masie gospodarstw karłowatych. W tych warunkach należy obawiać się, że społeczne przeciwieństwa interesów nie zostaną usunięte. Walka socjalna ogromnej liczby małych, niesamodzielnych warsztatów rolnych, może obecnie zwrócić się bardzo łatwo przeciwko średnim i wielkim chłopom, tak, że ci paść mogą skolei jej ofiarą. Rozwój ten w dalszej swej konsekwencji prowadzić może do niepożądanego ani społecznie ani gospodarczo rozdrobienia struktury rolnej, i następnie — pod naciskiem konieczności ekonomicznych — do kolektywizacji całego polskiego rolnictwa.

Z gospodarczego punktu widzenia, nowa reforma rolna ukrywa szereg niebezpieczeństw zarówno dla samych chłopów jak i dla całego gospodarstwa narodowego jako takiego. Nowoutworzone gospodarstwa, niezależnie od ich niedostatecznej wielkości w obszarze ziemi, nie są w stanie w braku kapitału inwestycyjnego i obrotowego ziemię tę należycie zagospodarować. Wskutek tego wiele z tych gospodarstw muszą przejść w zagospodarowanie dawniej już osiadli chłopi okoliczni w ramach t. zw. « samopomocy chłopskiej ». Oznacza to praktycznie nic innego, jak tylko przerzucenie kosztów reformy rolnej na tych chłopów, którzy nie są w tej reformie osobiście zainteresowani.

Z drugiej strony, szybka likwidacja wszystkich średnich i wielkich majątków ziemskich, które w większości nastawione były na gospodarkę zbożową i przemysł rolny, może spowodować w obydwu tych dziedzinach znaczny spadek produkcji. Wskutek tego powstaje niebezpieczeństwo, że państwo, aby zabezpieczyć wyżywienie ludności miejskiej i pokryć potrzeby

handlu zagranicznego, sięgać będzie do coraz większych kontyngentów chłopskich, wzmacniając jednocześnie interwencję w produkcję i zbyt artykułów rolniczych. Wskutek tego również w tej drodze pogorszyć się może gospodarcze położenie indywidualnych gospodarstw chłopskich oraz wzmocnić wspomniana powyżej tendencja do stworzenia wielkich kolektywnych gospodarstw rolnych.

Nawrót od przeprowadzonej reformy jest oczywiście niemożliwy. Jeśli chce się jednak uniknąć wspomnianych niekorzystnych następstw nowej reformy, i jeśli chce się utrzymać rzeczywiście prywatno-gospodarczą strukturę agrarną kraju, musi być przeprowadzone możliwie szybko upełnorolnienie niesamodzielnych gospodarstw, przy czym zabieg ten winien zastosowany być łącznie z racjonalną akcją osiedleńczą rolniczej ludności nadwyżkowej, jak również z planową akcją uprzemysłowienia kraju i rozbudowy miast. Następnie wydaje się być rzeczą niezbędną energiczne przeprowadzenie akcji komasacyjnej, również całkowicie zaniedbanej przy nowej reformie, jak też podjęcie najkonieczniejszych melioracyj, oraz ugruntowanie innych ekonomicznych i prawnych podstaw indywidualnego władania ziemią.

Trudności uregulowania wszystkich tych problemów mogą być tym większe, jeśli akcja osiedleńcza, która przeprowadzana jest obecnie na terenach zachodnich, nie pozostawi żadnego pola dla późniejszych korektur, jakie okażą się konieczne przy przeprowadzaniu komasacji i upełnorolnienia gospodarstw w Polsce centralnej.

DR JANUSZ RAKOWSKI.

GWIAZDY BETLEEMSKIE

*Noc — biały upiór —
Ciemne drzew kędziory
Potrząsa mi przed oknem
Liliowym wieczorem.*

*Lasem idą szmery,
Cienie drżą złotawo,
Księżyc — senną łodzią —
Przygląda się stawom.*

*Gwiazdy? — tak! — wysokie...
Nie ludzki to już problem... —*

— — — — —
*Kiedy myślę o gwiazdach
Śnię albo się modłę.*

WŁADYSŁAW ŁUCZAK.

OŚWIATA PUBLICZNA W Z. S. S. R.

Stan oświaty publicznej w Rosji Sowieckiej jest na ogół mało znany. Publikacje ukazujące się za granicą mówią o nim, w większości wypadków pośrednio, przeciwstawiając mu stan oświaty w Rosji przedrewolucyjnej, który również nie był dostatecznie znany Europie.

W istocie nie rzadko czytamy w najświeższych wydawnictwach szwajcarskich, iż Rosja liczyła przed rewolucją 90 % analfabetów i że szkoły ludowe nie istniały niemal w tym kraju.

By mówić o stanie obecnym szkolnictwa w Rosji Sowieckiej należy przede wszystkim przyrzeć się jego rozwojowi przed dojściem do władzy reżymu sowieckiego, oba systemy bowiem są ze sobą ściśle związane, a drugi z nich jest jedynie naturalną kontynuacją pierwszego, do którego zbliżał się on stale w ciągu ostatnich kilku lat.

Autorzy obliczający śmiało liczbę poddanych cara umiejących czytać i pisać na 10 %, popełniają podwójny błąd. Po pierwsze, poziom kulturalny dawnej Rosji był bardzo nierówny. Gdy w Rosji właściwej i wśród plemion Północy i Syberii analfabetyzm był naprawdę bardzo często spotykany; Polska, Ukraina, Finlandia, kraje bałtyckie i Gruzja liczyły już w XVIII-tym wieku olbrzymią większość ludności wykształconej. W XIX-tym wieku po zniesieniu szkół narodowych i po wprowadzeniu przymusowego nauczania w języku rosyjskim, poziom kultury poważnie obniżył się, nie dochodząc jednakże nawet w przybliżeniu do cyfry cytowanej powyżej.

Ten okres obniżania się poziomu skończył się po zniesieniu pańszczyzny (1861), gdy wielu inteligentów poświęciło się oświacie ludu, stając się nauczycielami w szkołach wiejskich. Od tej epoki aż do rewolucji (1917) rozwój szkolnictwa w Rosji szedł ciągle po linii wzrastającej.

By obraz tego był wierniejszy, dodać należy, że kraje muzułmańskie pod panowaniem rosyjskim znajdowały się w szczególnym położeniu. Przyłączone do Rosji wcześniej niż Polska czy Gruzja, ludy muzułmańskie i ludy Azji Środkowej nie znały zupełnie języka rosyjskiego i rząd, po kilku bezowocnych usiłowaniach, pozwolił im na kształcenie się według ich starego systemu, wskutek czego procent analfabetów był wśród nich znikomy.

* * *

Na początku obecnego wieku Rosja posiadała 4 typy szkół powszechnych, uzależnione od : Kościoła, Ministerstwa Oświaty Publicznej, « ziems-

stwa » (samorząd gminny) i miast. Te ostatnie szkoły liczyły cztery klasy podczas gdy szkoły « ziemstw » i Ministerstwa miały tylko dwie klasy. Szkoły należące do Kościoła miały na ogół tylko jedną klasę. Rozwój szkolnictwa wykazywał tendencję do zastąpienia tego ostatniego rodzaju szkół innymi, a przede wszystkim szkołami « ziemstwa ».

Nauczanie we wszystkich tych szkołach było bezpłatne i w przedzie dniu Wielkiej Wojny istniały w Rosji Europejskiej jedynie małe osady i sioła nie posiadające szkół. Szkoły powszechne były mieszane, za wyjątkiem miejskich.

Szkolnictwo średnie obejmowało gimnazja (licea) dwójakiego typu : klasyczne i matematyczne. Program ich, wzorowany na niemieckim odpowiadał mniej więcej programowi matury przyjętemu w Europie zachodniej, różnił się jedynie obszerniejszym studium historycznym i matematycznym, ze szkodą dla nauk przyrodniczych, literatury i kultury fizycznej. Szkoły średnie nie były mieszane i nauka w nich kosztowała 60 rubli rocznie. Liczba tych szkół była znaczna, np. w Kijowie, liczącym w owej epoce 500.000 mieszkańców, było w przedzie dniu wojny 30 gimnazjów (z czego 10 żeńskich), z których każde liczyło od 600 do 800 uczniów.

Szkolnictwo wyższe obejmowało uniwersytety, licea wyższe i szkoły politechniczne. Rosja carska posiadała ogółem 11 uniwersytetów męskich i 8 do 9 żeńskich. Zakłady te, zorganizowane na wzór niemiecki, liczyły o wiele więcej studentów niż uniwersytety w Europie zachodniej, mianowicie od 3 do 15 tysięcy. Uniwersytety żeńskie noszące skromną nazwę « wyższych kursów » liczyły o wiele mniej studentek. Te ostatnie zakłady zachowały się do rewolucji, mimo że od roku 1905 wprowadzono nauczanie wspólne w szkołach wyższych.

Rozmieszczenie uniwersytetów było bardzo nierówne. Np. Ukraina posiadała ich 3, podczas gdy Rosja właściwa tylko 2, a rozległa Syberia 1. Kaukaz nie posiadał żadnego, ponieważ rządowi zależało na tym, by młodzi mieszkańcy Kaukazu otrzymywali wykształcenie w miastach rosyjskich. Z tego powodu liczba studentów w wielkich miastach była znaczna (75.000 w Petersburgu) i odgrywali oni dużą rolę w życiu publicznym.

Opłaty szkolne w szkołach wyższych wynosiły od 80 do 120 rubli rocznie, w szkołach technicznych były one wyższe niż na uniwersytetach. Liczba szkół technicznych była niemal równa liczbie uniwersytetów.

Poza wymienionymi szkołami istniała jeszcze sieć szkół technicznych i rzemieślniczych (zawodowych), organizacja autonomiczna szkół kościelnych oraz szkół wojskowych, liczących trzy stopnie nauczania i podporządkowanych Świętemu Synodowi wzg. Ministerstwu Wojny.

Wbrew opinii szeroko rozpowszechnionej, ilość szkół uprzywilejowanych była bardzo ograniczona. Istniały tylko dwie takie w Petersburgu : wojskowa i prawnicza oraz 5 instytutów dla dziewcząt z arystokracji.

Do szkół średnich i wyższych uczęszczały przede wszystkim dzieci kupców, urzędników, kleru i chłopów, a proporcja dzieci z arystokracji i zamożnego mieszczaństwa nie była znaczna, bowiem klasy te nie były liczne. Tą okolicznością tłumaczyć należy fakt, że każda szkoła rosyjska posiadała w owym czasie poza oficjalnym « protektorem » także « koło przyjaciół », którzy starali się o opłacenie studiów dla dużej części niezamożnych studentów.

Oświata publiczna, bardzo zapuszczona w okresie panowania Mikołaja I-go, poczyniła wielkie postępy zwłaszcza w latach 1860-1880 i 1900-1917.

Na zakończenie zarysu oświaty publicznej przed rewolucją można dodać, że od 1905 roku szkoły wyższe korzystały z autonomii tzn. były uzależnione jedynie od Senatów akademickich, a Ministerstwo Oświaty Publicznej miało tylko prawo sprawdzania rachunków. Na skutek tej autonomii uniwersytety stały się ogniskami liberalizmu, a personel nauczający, w ścisłej współpracy ze studentami, odrzucał zdecydowanie wszelkie usiłowania władz mieszania się do ich spraw wewnętrznych.

* * *

Biorąc pod uwagę, że zgodnie z ustawą, profesorowie i studenci byli zwolnieni od służby wojskowej, szkolnictwo rosyjskie nie ucierpiało wiele w wojnie 1914-1918, a rewolucja demokratyczna w 1917 roku przejęła je w tym samym stanie. Pierwszy minister demokratyczny, Ignatiew wprowadził jedynie reformy drugorzędne. Zniósł on przymusowe nauczanie teologii w klasach wyższych, zezwolił na powstanie instytucji przedstawicieli uczniów przy dyrekcji i wprowadził nową ortografię, którą to reformę przypisuje się mylnie (choć omyłka ta jest bardzo rozpowszechniona) władzom sowieckim.

Ta ostatnia reforma nie była zresztą kompletna. Minister nie miał odwagi wprowadzić systemu fonetycznego, używanego we wszystkich językach słowiańskich, zniósł jedynie pewne reguły, co miało zgubny wpływ na rozwój języka rosyjskiego.

Teoretycznie, reżym sowiecki odziedziczył szkolnictwo w dobrym stanie, które winien był jedynie przystosować do swych wymagań, lecz w rzeczywistości stało się zupełnie inaczej.

Z chwilą dojścia do władzy reżymu komunistycznego personel nauczający opowiedział się prawie jednogłośnie za ustrojem demokratycznym i ogłosił strajk powszechny, który trwał wiele miesięcy. Wielu z jego członków padło ofiarą wojny domowej i pierwszego okresu rewolucji. Wielu profesorów i nauczycieli zostało usuniętych a inni wyjechali za granicę.

W ten sposób rząd sowiecki mógł zająć się organizacją szkolnictwa dopiero pod koniec wojny domowej, kiedy należało już wszystko odbudowywać.

Zasadnicze jego reformy były następujące : oświata stała się przymusową, wszystkie szkoły mieszane, ponadto wprowadzono nowy typ szkoły «diesiatiletka », dającej możliwość uzyskania kompletnego wykształcenia średniego. W tej

nowej szkole dwa pierwsze lata odpowiadały dawnej szkole powszechnej, pięć następnych (« siemiletka ») odpowiadały prawie pierwszej maturze francuskiej a trzy ostatnie kończyły się egzaminem maturalnym i dawały prawo wstępu do szkoły wyższej. Program tej jednolitej szkoły odpowiada w linii ogólnej programowi gimnazjum, z tą tylko różnicą, że studium teologii i języków starożytnych zostało zniesione i zastąpione nauczaniem teorii marksizmu i historią partii komunistycznej jako przedmiotów obowiązkowych we wszystkich klasach. Nauki przyrodnicze rozwinęły się ze szkodą dla matematyki i historii. Zresztą programy były zmieniane wielokrotnie i bardzo radykalnie, ponieważ zmiany polityczne wymagały często usuwania pewnych podręczników i publikowania nowych.

Zmiany te były notoryczne zwłaszcza w dziedzinie historii, gdzie tendencje ogólne ulegały kompletnej zmianie wiele razy. Fakt ten powodował pewien zamęt, gdyż wyższe klasy uważały pewne postacie historyczne za « tyranów i rozbójników », w klasach niższych zaś tej samej szkoły uczono już, że te same osobistości były właśnie bohaterami i zasłużyły się dobrze ludowi.

W dziedzinie historii wyróżniał się długi czas prof. Pokrowski, któremu udało się ułożyć podręcznik, gdzie nawet nazwiska osobistości historycznych nie były wymienione, a wypadki przedstawione były jako wynik warunków ekonomicznych i ruchów ludowych. Następnie zmienił on metodę i ułożył inny podręcznik, dopuszczający istnienie postaci historycznych, lecz traktujący je wyłącznie ze strony ujemnej. Podręczniki jego obowiązujące przez długi czas w szkołach Związku Sowieckiego, zostały wycofane i zniesione w roku 1936, a ich autor przepadł.

Te wahania, których końca nie widać jeszcze, uniemożliwiają wyrażenie opinii o rzeczywistej wartości szkolnictwa sowieckiego, lecz już teraz można stwierdzić, że pewne innowacje okazały się niewłaściwe i zostały później usunięte. Taki był np. los « rabfaków » (wydziałów robotniczych), których celem było udostępnienie robotnikom nie posiadającym dostatecznego wykształcenia uczęszczania na wykłady szkół wyższych. Mimo, że było oczywiste od początku, że tylko jednostki nadzwyczaj uzdolnione mogły dokonać takiego wyczynu, « rabfaki » istniały przez blisko dwadzieścia lat, a studiujący otrzymywali stypendia. Wydziały te zostały zniesione dopiero po śmierci Łunaczarskiego, przez długie lata komisarza dla Oświaty Publicznej.

Inną reformą która dała natomiast doskonałe wyniki było wprowadzenie nauczania w językach narodowych. Ustawa dopuszcza zakładanie szkół z jakimkolwiek językiem nauczania ; ale w zasadzie w każdej republice sowieckiej nauczanie musiało odbywać się w językach narodowych.

Lenin oświadczył w 1918 roku, że nauczanie musi być powszechne i że « każda kucharka musi nauczyć się rządzić państwem ». Tylko pierwsza część tej maksymy została wprowadzona w życie i nauczanie stało się przymusowe i bezpłatne. Ponadto na początku wszyscy, a później większość studentów

szkół wyższych otrzymywała stypendia. Prasa sowiecka kładła wówczas silny nacisk na niedogodności tego systemu, który dawał miejsce nadużyciom wszelkiego rodzaju, lecz sprawa ta ma obecnie tylko znaczenie historyczne, gdyż stypendia zostały zniesione w 1938 roku. Tenże sam dekret wprowadził opłaty szkolne w szkołach średnich i wyższych, których wysokość była następująca : szkoła średnia — 200 rb. rocznie (dawniej 60 rb.), uniwersytet — 600 rb. (80 rb.), szkoły politechniczne — 800 do 1000 rb. (100 do 120 rb.), konserwatoria — 1200 rb. (100 do 120 rb.). Pewna liczba uczniów była zwolniona od opłat na wniosek sowietów regionalnych lub komitetów partii komunistycznej. System ten gwarantuje pewną selekcję uczniów, bowiem wykształcenie średnie i wyższe dostępne jest obecnie jedynie dla dzieci wysokich urzędników, « stachanowców » (robotników wyborowych), oficerów i członków partii komunistycznej.

* * *

Ilość szkół powszechnych i średnich wzrosła silnie pod reżymem sowieckim, liczba natomiast uniwersytetów pozostała niemal niezmienną. Wzrosła także ilość wyższych szkół technicznych.

Nie mając danych dostatecznie bezstronnych do oceny ilości szkół w Rosji Sowieckiej, możnaby zorientować się pod tym względem biorąc pod uwagę liczbę studentów podaną przez sowiecki Rocznik Statystyczny pod rubryką : studenci i żołnierze za lata 1913 i 1937, a która wynosi 2,3 % i 4,2 % całej ludności. Biorąc pod uwagę, że ludność i efektywy armii są znane, otrzymamy przybliżoną cyfrę studentów : 2,400.000 w roku 1913 i 4,000.000 w roku 1937. Jeżeli się weźmie pod uwagę wzrost liczby ludności, krzywa wzrasta, lecz o wiele wolniej niż w okresie między 1900 a 1917 rokiem.

Te rezultaty, których nie można uważać za błyskotliwe, tłumaczą się przede wszystkim wstrząsem, jakiego dokonała rewolucja, następnie częstymi zmianami programu, o czym mówiliśmy wyżej i w końcu pracą dzieci.

Mimo, że oświata w Związku Sowieckim jest teoretycznie przymusowa a praca dzieci oficjalnie zabroniona, okoliczności są często silniejsze niż dekrety. W ten sposób poziom życia, stan komunikacji, brak mieszkań itd. uniemożliwiają często rodzicom wysyłanie dzieci do szkoły, podczas gdy wysokie koszty utrzymania zmuszają ich do posyłania dzieci do pracy. Prasa sowiecka notowała wielokrotnie takie fakty, nie mogła jednakże znaleźć sposobu zaradzenia im. Toteż wzrost liczby studentów wykazany przez statystykę sowiecką byłby z pewnością większy, gdyby ludność Związku Sowieckiego korzystała ze standardu życiowego, pozwalającego jej na oszczędzenie dzieciom w wieku szkolnym konieczności zarabiania na życie.

* * *

Jeśli chodzi o wartość rzeczywistą oświaty publicznej w Związku Sowieckim, to sąd jest bardzo trudny. W istocie brak stosunków kulturalnych ze Związkiem Sowieckim czyni porównanie niełatwym i opierać się można jedynie na wskazówkach pośrednich. Tak np. można stwierdzić, że nauka sowiecka w ciągu ostatniego ćwierćwiecza nie wydała żadnego nazwiska które mogłoby być umieszczone obok Mendelejewa, Miecznikowa, Pirogowa i Pawłowa, uczonych powszechnie znanych, którzy wyszli z dawnej szkoły rosyjskiej.

Fakt ten nie powinien dziwić, gdy weźmie się pod uwagę, że uczeni sowieccy są niemal całkowicie odcięci od zagranicy. Niewielu z nich może otrzymać zezwolenie na wyjazd za granicę i to na czas ograniczony. Dzięki temu prof. Kapica, jeden z niewielu uczonych sowieckich którego prace wzbudziły zainteresowanie uczonych zagranicznych, pracował pewien czas w Londynie, lecz musiał nagle przerwać swe doświadczenia, gdyż otrzymał nakaz natychmiastowego powrotu. W dość rzadkich wypadkach, kiedy uczeni sowieccy uzyskiwali zezwolenie udania się na międzynarodowe kongresy naukowe trzymali się na ogół razem i skoro tylko konferencje zostały zakończone, udawali się do swych mieszkań, nie starając się pogłębić znajomości z zagranicznymi kolegami. Fakt, że sowiecki personel nauczający był kilkakrotnie dotknięty czystką również nie przyczynił się do rozwoju szkolnictwa sowieckiego.

Niedawne przybycie do Europy zachodniej licznych jeńców i uciekinierów sowieckich dało okazję bezpośredniej oceny poziomu kulturalnego osób wykształconych całkowicie w Związku Sowieckim. Kontakty te pozwoliły ustalić w odniesieniu do szkolnictwa powszechnego, że szkoła ta jest o wiele wyższa niż przed rewolucją. Natomiast w odniesieniu do szkolnictwa średniego i wyższego wrażenie jest odmienne. Jedynie wiadomości techniczne pozostają, resztę zapomina się bardzo szybko, co powoduje, że poziom ogólny kultury jest z pewnością niższy niż u ich poprzedników sprzed rewolucji.

Takie wrażenie odnosi się z kontaktu bezpośredniego z obywatelami sowieckimi i potwierdza ono w pełni rozważania podane powyżej.

MICHAŁ TROSTIANSKY.

NASZA KOŁĘDA

Matce mojej

Wieczorem przyjdą pod dom kołędnicy —
Staną przy oknie i będą śpiewali.
Ty dasz złotówkę (nie można się liczyć),
Oni pozdrowią — no i pójdą dalej.

Ty do pokoju wrócisz ośnieżona,
Zatrzaśniesz drzwi i powiesz: « brr — zimno —
Więc kołędujemy » — uśmiechniesz się do nas...
I będzie jasno — świątecznie — i dziwno...

A potem wszyscy pójdą na Pasterkę —
My tylko dwoje zostaniemy w domu.
Zmęczony « Potop » weźmiesz z etażerki
i... zaczniesz czytać od trzeciego tomu.

I po raz setny drżeli o Kmicica
będziemy dwoje — aż ja się rozplaczę...
A choć się Tobie też zaszklili w źrenicach,
to prawie szorstko powiesz: « Co to znaczy? »

Nie — nie — ja wiem, Ty tego nie powiesz
ni w te — ni w inne odległe nam święta.
Mnie zostało ciche: « Ty jesteś jak zdrowie... »
A Tobie — Synu, synu czy pamiętasz? —

JANUSZ KUCHARSKI.

SNIEG

*Śnieg — biała piana —
Tylko go pić —
Melodyjnie siada na drzew fortepianach —
Tylko piosenki wić.*

*Śnieg — biały cukier —
Tylko go jeść —
Wiruje motylkami pod wysokich lamp łukiem —
Otula moją wieść.*

*Śnieg — biały taniec —
Pójdźmy w tan —
Gwiazdkami szepcze do ucha mojej damie
Wibrem białych gam.*

*Śnieg — biały motyl — —
Może ten śnieg
Przypomni mi chatę i mej tęsknoty
Będzie strzegł...*

WŁADYSŁAW ŁUCZAK.

WĘDRÓWKA

*Znam tylko noce, zmrokiem
rannym i wieczornym
zamknięte, jak część prostej
kreskami w odcinek.
Znam je, bo są ciemne —
Znam je, bo są chłodne —
Znam — bo dzieli je pustka
odległej przyczyny.*

*Dni nie ma — właśnie pustka —
Ale były dawniej...
Dnie — w twarz nocy rzucane —
jak bunt...
Skrzące żagwie! —
Dni trzymane dziś w skrytce
pomięte i w pyle,
owinięte wstążką
z dopiskiem « Przepadłe »...*

*Czasem ją rozwijam
i w pozółkle kartki
zapadam i ginę
niewidzącym wzrokiem,
lecz zaraz zawracam
i powolne kroki
kieruję w noc — odcinek —
zamknięty w dwa zmroki.*

JANUSZ KUCHARSKI.

NOWY ROK

Co było i co jest
To wiemy dzisiaj wszyscy —
Co z bólu, a co z łez
I co zostało z zgliszczy.

Odkładam te sprawy na bok,
Zważywszy je w pierw dokładnie —
Może na chwilę wzrok
Zobaczy treść ich na dnie.

Miłosne rzeczy niechaj lak
Mej krwi zaklei i rozmaże — —
Nie znajdę nigdzie takich wag,
Na których serce twoje zważę.

Może gdzieindziej krople krwi
Zważymy też dokładnie,
Gdy już zamkniemy życia drzwi
I puls w nas bić przestanie.

Lecz spójrzno wtedy w życia miąższ,
Zanim je młodym kwiatem prześnisz,
I stare lata z młodym wiąż
Mądrością spraw doczesnych.

WŁADYSŁAW ŁUCZAK.

KUSZENIE

Pij! — a i mnie nalej w szklanę samogonu,
a po tym mleczny bezwstyd podsuń tuż pod usta —
Spłodzim bożka — na imię damy mu — Rozpusta —
i postawimy w kącie koło gramofonu.

Pij, bo właśnie ranek o błękitnym ciełe
na piersi nam sływa — ma lilie we włosach...
Pij, niech się zczerwienią lilie za pół grosza
szepem nocy bezbożnym — Sprawiamy wesele...

Sen oczy pijane rozkoszą i wódką
przymknie i w omdleniu rozplynie się dwoje —
Dziś, wczoraj i jutro zarośnie powojem...
I noc będzie : — Czy słyszysz — Noc przez chwilę krótką!

JANUSZ KUCHARSKI.

WIĘZIENNE GODZINY

I

*W klozetowych przewodach
szumi woda.
Łańcuch jednostajnych drzeń —
coś niby cień
dźwięku, który dawno umarł.
Tak — to tylko cień...
Cień?
czy też zaduma!
A może myśl przekleństwem uwięziona w rurze...*

*— Godziny leniwie srują się po kurzem
płesni osypanych ścianach,
a myśl rozespana —
jednak ciągle żywa
przygrywa
im monotonną pieśnią klozetowych rur.*

II

*Korytarz.
Przez matowe szyby pada słońce.
Chwytasz
je i zachłannie kryjesz za bluzką...
— Ktoś nuci ruską
melodię...
A tobie się zdaje, że pachną magnolie...
Upijasz się ich zapachem
tęsknym a mdławym
i z szczęściem pod pachą
wleczesz się, jak dawniej, po łęgach i trawie...
krótkie « fini » przypomina
że minęła godzina.
Zapinasz bluzkę mocno pod szyję,
jak człowiek, który ukradł coś co jest niczyje
i idziesz do celi...*

JANUSZ KUCHARSKI.

ŚMIERĆ KARLIKA

Fragment sztuki scenicznej pt. « *Na dnie kopalni* », napisanej dla jeńców polskich w Niemczech, odznaczonej I. nagrodą na konkursie literackim Y. M. C. A. w kwietniu 1944 r. w Genewie.

- ZEFLIK — Jakże ci tam, Karliczku, bardzo cię boli ?
- KARLIK — (*Cicho, z wysiłkiem*) Nie, ino mi taki jakiś chłód od nóg idzie, jakbym w lodowatej wodzie stał...
- HANYS — (*Do siebie*) Chłód mu idzie — a jak mu do serca dojdzie, to i po nim...
- ZEFLIK — Karlik, Karliczek, Karolek, nie umieraj ino. Zatnij się i wytrzymaj jakoś to zimno. Przecież powiadasz, że cię nie boli...
- BERNAT — Widzisz go, jaki gizard głupi. Namawia go, żeby nie umarł. To jakby mnie namawiał, żeby po fajrancie nie pił.
- FLORIAN — Przestań, na Boga, człowieku, o tym picciu...
- BERNAT — A o czymże mam gadać ? Ty o babie z bachorami, Marcin o szychcie, żeby jak największa, gizardy o dziewczynach, Łukasz, co to niemową się chyba urodził nie gada, ale se pewnie zato myśli, czy też to kamień rośnie czy nie rośnie — no a ja se tam o butelce...
- MARCIN — O Bogu nam teraz trza pomyśleć, nie o głupstwach gadać.
- BERNAT — A Bóg to o nas pomyślał, gdy nam się tu wszystko na łeb waliło ?...
- MARCIN — A nie Boża to łaska, że żyjemy ?
- FLORIAN — (*Do Bernata*) O tobie to naprawdę nie pomyślał, bo by cię był śmiercią pokarał za to twoje picie i ciągle pyskowanie.
- KARLIK — Nie kłóćcie się tak ciągiem. Powiedzcie lepiej czy długo już tu jesteśmy — i czy naprawdę... trzeba będzie tu umrzeć...
- HANYS — (*Głucho*) Tu już ostatnia lampa się dopala. Będzie więc chyba ze dwie doby. I znikąd, znikąd ratunku.
- MARCIN — Nie kracz, nie kracz, nie strasz chłopca. I tak ledwo zipie...
- KARLIK — Ja, panie Marcinie, nie boję się umrzeć. Ja tylko chciałbym wiedzieć co tam będzie... Czy też tak ciemno jak w kopalni — i czy tam będę całkiem sam...
- ZEFLIK — (*Żywo*) O nie ! Tam się wszyscy spotkamy !
- BERNAT — Widzicie ślimoka ! On to wie najlepiej.
- ZEFLIK — A wiem, i to nie tylko od księdza i ze szkoły. Jeden inżynier mi opowiadał.

- FLORIAN — Ho ho, odkąd to ty się z jenzinierami zadajesz ?
- KARLIK — Powiedz Zeflik, powiedz, co ci opowiadał ? Ja tak chciałbym wiedzieć jak to tam będzie...
- ZEFLIK — To ci opowiem.
(*Usadawia się koło Karlika. Inni, z zaciekawieniem, milkną.*)
Widzisz, zeszłego roku, jakem był za falowacza na « Głębokiej », to tam też była raz katastrofa. Nie taka jak tutaj. Tam nas woda zalała i na pochylni czekaliśmy aż z drugiej sztreki do nas się przerąbali i dopierośmy wyszli. Trzydzieści siedem bergmannów ! Był tam z nami inżynier. Kmita się nazywał. Już go nie ma.
- FLORIAN — A był taki, był. Wyjechał stąd, bo mu tu żona ciężko chorowała.
- ZEFLIK — I z tym inżynierem to my razem we dwóch na filorze czekali. I wtedy też się bałem, że może trzeba będzie umrzeć — tak pod ziemią. A że mi — dwa roki będzie — siostra umarła, wiesz, Hedla, więcem ciekaw był, czy jak i ja umrę to ją tam znajde. Tom się go pytał.
- BERNAT — Ojciec święty tego nie wie, a jenzinier będzie wiedział...
- ZEFLIK — A wiedział !
- KARLIK — Mów, Zeflik, mów. Takim ciekaw...
- ZEFLIK — Widzisz — powiadał inżynier — ja nie ksiądz, więc nie tak, jak to w religii mówią, mogę ci to opowiedzieć.
Wiesz, świeci słońce — i bez słońca nic by nie żyło, ani trawa, ani drzewa, ani ludzie, ani zwierzęta. Nie byłoby życia bez słońca...
- BERNAT — Też ci nowinę powiedział !
- ZEFLIK — ... a słońca nie byłoby bez Boga. Od Boga wszystko się zaczęło.
- KARLIK — Tak, ale co ci o siostrze powiadał ? Czy ją zobaczysz ? Bo ja nigdy swoich rodziców nie widziałem. A tak bym chciał wiedzieć jacy byli.
- ZEFLIK — Zaraz będzie o siostrze...
Byłeś w kościele nieraz — powiadał — a widziałeś kiedy jak przez okno promień słońca padł na świecznik, taki ze szkiełek, co na środku nawy wisi ?
— A widziałem — mu rzekłem. Bo jak na sumę się idzie, a pogoda jest, to zawsze przez okno na świecznik świeci.
— A on na to : To widziałeś pewnie, że to światło słoneczne, że ten promień, jeśli taki jeden sobie wybierzesz, w takim szkiełku się łamie i na białą ścianę wiele barw, jakby tęczę rzuca.
- KARLIK — O, i ja też widziałem nieraz !...
- ZEFLIK — A widzisz, widziałeś.
Więc — powiadał mi pan inżynier — ten promień, to jakby

- ZEFLIK życie, które od słońca, które od Boga pochodzi. A ten kryształek, to jakby nasza ziemia, na której wszyscy żyjemy. I w tym kryształku ten promień życia rozdziela się na wiele poszczególnych żyć. I jak ta tęcza ma różne barwy — jasne i ciemniejsze — tak i ludzie na tej ziemi, choć wszyscy przez Boga stworzeni, od Boga wszyscy pochodzą, jedni są lepsi, drudzy gorsi, jedni jaśniejsze dusze mają, inni...
- BERNAT — Moja to tam pewnie całkiem czarna z tego kryształka wyjdzie. Bergmon jestem — od węgla czarny — a od grzychów tyż.
- KARLIK — W tęczy nie ma czarnej barwy — panie Bernat.
- BERNAT — Żeby chciała w kopalni świecić, to by się też osmolila.
- FLORIAN — Mów dalej, mów, chytre to twoje gadanie, chociaż nie całkiem katolickie.
- KARLIK — Ale czy siostrę zobaczysz — powiedział ?
- ZEFLIK — A powiedział. Bo widzisz, jak ten kryształek zabierzesz albo stłuczysz, jak to życie ziemskie się skończy, to te wszystkie tęczowe barwy są znowu jednym promieniem, z jednego źródła, z jednego słońca, od jednego Boga.
- FLORIAN — Herezyje opowiadasz, ślimoku. Znaczy się, że wszystkie życia, wszystkie ludzie do kupy, w jedno się zbierają — i z Panem Bogiem się złączą ? !
- ZEFLIK — A tak, w jedno wielkie, jasne życie, w jedno jasne słońce. I tam ja swoją siostrę spotkam i ty swoich ojców. Tam wszyscy się kiedyś spotkamy. Przecież ksiądz też mówi : Bracia w Chrystusie, albo — Zjednoczeni w Bogu. To jak te promienie w słońcu...
- FLORIAN — Ksiądz ! Ksiądz... Ksiądz by ci uszy oberwał za te herezyje...
- BERNAT — A o piekleś bracie zapomniał ? Gdzieś-ci ja się też podziac muszę, a chyba nie w niebie, bo tam gorzały nie sprzedają, a ja bracie bez tego ani rusz !...
- KARLIK — Mów jeszcze, mów jeszcze o słońcu. Tu tak ciemno i zimno...
- HANYS — *(Na uboczu, do siebie)* O słońcu mówią, o słońcu, o tęczy, a my tu dwieście metrów pod ziemią — i światło ostatnie gaśnie... Zasypani, zakopani żywcem ! Boże, Boże...
- ZEFLIK — Widzisz, mnie to też trudno było wszystko wyrozumieć. Więc on mi — ten inżynier — opowiadał jeszcze inaczej.
- KARLIK — Powiedz, powiedz... tak chcę wiedzieć jak to będzie jeśli umrę. A tak mi coraz zimniej...
- ZEFLIK — Wiesz dokąd rzeka płynie ? — pytał ci mnie on. Wiem — powiadam. Do morza.
— A skąd się rzeka bierze ?
A ze strumyków.

- ZEFLIK — A strumyki? — pytał dalej.
 A z deszczu.
 — A deszcz?
 Z chmur — mu powiadam.
 — No a chmury?
 Chmury biorą się z morza, co paruje.
 — Więc widzisz — powiedział mi pan inżynier Kmita — każda kropla z morza wyszła i do morza po długiej wędrówce wróci. Tak i ludzie. Od Boga wyszli i do Boga wrócą.
- FLORIAN — Filozof był z tego jenziniera czy jakiści sztundysta. A ty Zeflik, jak nas jakiś cud Boski nie wyratuje...
- BERNAT — A wielkiej nadziei nie ma...
- FLORIAN — ... to też jeszcze na jakiegoś kalwińskiego księdza wyjdiesz. Z tym morzem toś już lepiej gadał niż z tym kryształkiem.
- KARLIK — Morze, morze... Morze takie ogromne, tyle w nim kropel, jakże wiedzieć która ty, która ja, jak swoich poszukać!...
 Morze... Nie widziałem nigdy morza. To taka wielka, wielka woda — bez końca, bez brzegu. Chmury w nim się odbijają i słońce. I księżyc i wszystkie gwiazdy... A ja raz tylko jezioro widziałem. A może to staw był tylko. Byłem jeszcze taki mały... Raz zachorowałem i wtedy wysłali mnie do ciotki, co aż za Krakowem mieszkała. Była wiosna. A że już trochę wyzdrowiałem, więc mi ciotka pozwalała po wsi chodzić. Tylko raz byłem na wsi, na takiej prawdziwej wsi, bez kominów, bez fabryk, bez sadzy, gdzie wszystko było zielone i kwiaty kwitły — a w sadzie kwitły jabłonie — takie białe i różowe, jak u nas dziewczęta gdy do pierwszej komunii idą. I stały nad wodą — nad tym jeziorem — i odbijały się jak w zwierciadle. A gdy wiatr powiał, spadały białe płateczki na wodę i wiatr je — jak małe łódeczki — pędził na środek jeziora. A słońce grało w srebrzystej łusce drobniuteńkich fal — migotało i lśniło tak przepięknie — a wiatr sadem pachniał i świeżą ziemią — i w gałązkach śpiewał, w szuwarach nad jeziorem szeleścił, szklaną, migotliwą łuską jeziora jakby dzwonił...
 Raz tylko byłem na wsi... raz taką widziałem wiosnę...
- FLORIAN — Nie mów tyle Karliczku, nie mów, bo się zmęczysz...
- KARLIK — A środkiem jeziora płynęły łabędzie. Może to były tylko gęsi... Ale takie piękne, z długimi szyjami, białe... I nagle porwały się z wody i poleciały nad jeziorem — i odbicie ich w wodzie było widać...
 A powiedzcie — nad morzem są inne ptaki?... Mewy... i albatrosy. Nigdy nie widziałem albatrosa. To taki dziwny ptak...

KARLIK Raz czytałem, że w albatrosie dusza ludzka mieszka... Chciał-
bym być takim białym albatrosem — i lecieć... lecieć... nad
morzem... i patrzeć, jak się w nim nocą odbijają lśniące gwiazdy
i niebo granatowe — a dniem białe obłoki...
Gdy przymknę oczy — widzę morze — choć go nigdy naprawdę
nie widziałem.
O, teraz jest noc — i gwiazdy świecą... O, ale gasną, ach jak
szybko gasną... Jedna tylko jeszcze jasna świeci... I wicher
zimny wieje... Tak mi zimno... I ciemno... i szum taki...
Czy to burza nocą?... A ja — ptakiem dziwnym, białym
jestem — czy kroplą deszczu wśród burzy...
Lecę... lecę... Z mroków jasność się jakaś przebija... To
słońce — to słońce!... O, przez kryształki kościelne świeci...
Nie, to przez krople deszczu co z nieba lecą... i dzwonią jak
szklane dzwoneczki... I tęcza... Patrzajcie, jaka przepiękna,
wielobarwna tęcza!...

(Długa chwila ciszy)

ZEFLIK — Karlik, Karliczek, co ci to, Karliczek, odezwij się!...
(Ze szlochem) Karliczek, Boże, Karliczek... Nie umieraj!...
MARCIN — Nie wołaj go, nie wstrzymuj, niech idzie zapatrzony w tęczę,
w blask i w słońce — stąd, z mrocznej głębi ziemi...

BRONISŁAW MIAZGOWSKI.

PANNA ANTONINA

Na wzgórzu pod lasem stał dom. Był to właściwie skromny dworek. Taki, jakie widuje się na starych rycinach. Białe ściany, ganek na kolumnach, pachnące wino na ganku, małe okienka w dachu, zielone okiennice, fuksje i pelargonie przy wejściu. Kot wygrzewający się na oknie, wyżeł na słomiance wejściowej. Coś z Orzeszkowej czy Rodziewiczówny — z nad Niemna, czy z nad Narwi. A może nawet z Grottgera — bo i nad tym domkiem przeleciała kometa.

Szeroki piaszczysty trakt oddzielał dom od lasu. Ściana ordynackich, podobłocznych, rozłożystych dębów chroniła go od północy i wschodu. Tajemnica leśna zaczynała się od jego progu niemal. Granatowa, wnikliwa głębia, jasne strzały ścieżek, mchy puszyste, wilgotne, głuszące krok i wchłaniające ślad — to był odrębny, ukryty świat, który od domu tego jakby się poczynał, z nim bratał, nad nim czuwał i odeń nowinę wszelką czerpał.

Przed domem rozłożyła się szara, piaszczysta równina, upstrzona małymi ubogimi domkami, udającymi wille. Obsiadły one każdą większą grupkę karłowatych sosen i anemicznych brzoźek. Rozpełzły się między lasem a plantem kolejowym. Sterczały w krajobrazie swoją brzydotą « wille » pana kontrolera, czy zawiadowcy, czy emerytowanego bagażowego, czy samego kasjera z pogrzebowej kasy. Płątały się tam wśród sztachet suchotnicze bzy i jaśminy, nigdy nie kwitnące róże i mrące drzewka owocowe. Nad tym całym beznadziejnym krajobrazem, ożywionym tu i ówdzie domkiem-willą, królował ze swego pagórka dworek pod lasem.

Choć stał na górze, miał zielen i świeżość. Miał cień od lasu i miał własną artezyjską studnię. Lała się z niej woda w lipcowe upały na rabaty i warzywa panny Antoniny. Toteż pstrzyły się od kwiatów wyciągnięte jak pod sznur grządkki. Złociły się nogietki, serdecznie się chwiały bratki, nasturcje szalały płataniną barw i kolorów, upajały o zmroku lewkonie, a gdy pod jesień słońce poczynało zataczać coraz niższe kręgi, wystrzelały tam wiotkie malwy i panoszyły się dostojne dalie.

Chodziła po swych ścieżkach panna Antonina dumnie, chodziła i każdemu kwiatkowi, każdej krzewinie miała coś pochlebnego do powiedzenia.

A gdy się już nacieszyła, napięściła swym ogrodem, rozstawiała stołeczki i stalugi, wybierała co jej było najmiłsze, czy najładniejsze — a wtedy — biada temu, ktoby jej był przeszkodził!

Bo panna Antonina była słodka jak miód. Z tego jednak miodu potrafiło pokazać się najdoskonalsze żądło. Często lubiła udawać, jaka to ona jest twarda i szorstka.

Kto jej nie znał, taką ją widział. Krótko ostrzyżona głowa, papieros, głos rozkazujący, kostium z angielskiej wełny, ruchy zdecydowane, szybkie, pogarda dla kobiecych świecidełek i sentymentalnych głupstw, czyniły z niej jakby wycinankę z wojujących kiedyś na kartach powieści pani Orzeszkowej emancypantek. Była samodzielna, kierowała swym życiem, nie szukając podpory ni pomocy. Przejeżdżała po świecie kawał dawnego majątku, w muzeach Florencji, Rzymu i Paryża cieszyła swoje oczy, podpierając się nieodłączną paletą. Przywędrowała wreszcie na dobre wraz z rodziną sponad brzegów Niemna na te rozległe piaski mazowieckie, zapadła w pustce pod borem, na wzgórkach dworek swój sadowiąc.

To był jej świat.

Parę bliskich osób przygarnęły jej ściany. Stalugi, fortepian, radio — łączyły ją ze światem, lub wyodrębniały z codzienności.

Gospodarstwo, ogród, finanse — wszystko było na głowie panny Antoniny. Brat-pomocnik, siostrzeńcy, przyjeżdżający na niedziele, sąsiedzi i sąsiadki znoszący swe kłopoty — wszyscy oni byli klientami dobrej rady, a czasem opieki, których nie szczędziła panna Antonina.

* * *

Zajechałem do niej o zmierzchu. Śnieg był skrzypiący, mroźny, pierwsze gwiazdy mrugały z nieba. Panna Antonina stanęła w drzwiach. Zobaczywszy mnie, krzyknęła niby szorstko, gderliwie : « Cóż to za kulig po nocy ! Do mnie w konkury można w dzień przyjeżdżać. Romantyczne wycieczki, a tu patrol też potrafi zajrzeć ! No, prędeż, ładuj się, bo zimno ! »

Okryłem derką konia i wszedłem do wnętrza.

Po wymienieniu bieżących wiadomości, przystąpiłem szybko do rzeczy.

— Jak tam z brydżem — zapytałem — ciągle brak czwartego ?

— A brak.

— Mam na to radę.

— Ho, ho, co za troskliwość — panna Antonina nastroszyła się niby jeż.

— Mam czarującego kolegę, — ciągnąłem, udając że tego nie widzę — doskonale gra w brydża, a w dodatku potrzebuje zdrowego powietrza. Mógłby spać w tym pokoju po tamtej stronie werandy. Nie wychodziłby nigdzie, a wieczorem świetny partner.

— Cóż to, pensjonat u mnie zakładasz ? — burknęła.

— Nie, tylko dbam o pani wygodę, schlebiam namiętnościom.

— Nie schlebiaj.

— Taki miły człowiek.
— A teraz gdzie jest ?
— U nas.
— A choć — tu zmrużyła łobuzersko oko — kawaler ?
— Żonaty.
— No cóż mi po takim ?
— Właśnie taki — bez pozorów, a z intencjami.
— Długo był u was ?
— Dwa tygodnie.
— Czym się zajmuje ?
— Leczy ziołami — doktor.
— Teraz, po śniegu, zioła zbiera ? Wariata mi tu chcesz przywieźć ?
— Łagodny wariat — brydżysta.
— Kiedy ?
— Choćby jutro.
— Duży ogon łazików za nim tu się ściągnie ?
— Tylko my dwoje i jeden asystent na niedzielę.
— Przyjedźcie w południe, żeby wszyscy widzieli ; a teraz jedź już
— noc ciemna, zabłądzisz w lesie. Wilki cię nie zjedzą, ale czasem od plantu puszczają patrole.

Pocałowałem jej szorstką dłoń i po chwili sunąłem leśną ścieżyną. Jechałem wolno. Puściłem lejce. Kasztanka jak gończy, biegła sama po swym niedawnym tropie. Było cicho. Czasem z jakiegoś konaru zerwała się wystraszona wrona. Czasem pacnęła grudka śniegu z zaczepionej batem niższej gałęzi. Czasem parsknął koń. Las czuwał. Cisza nocy zimowej zamroziła wszystko, co się w pamięci kołatało zgrozą.

Przez chwilę wizje przeszłości otoczyły mnie melancholijnym kołem. Zdawało mi się, że opowiadania, obrazy, zdarzenia z roku 63-go spływają ku mnie z tych dębów, z tego olbrzymiego, tajemniczego lasu. Oto wszystko naokoło głęboko śpi. Wszyscy z nakazu siedzą w swych opłotkach, a ja jadę i za chwilę nagle wpadnę na grupę ludzi w misiurkach, z dubeltówkami, ciągnących drewnianą armatkę i po nocy przemykających się ku jakiemuś nowemu stanowisku, z którego, jak się ludzili wówczas przed laty, zwałą cara i wskrzeszą Niepodległą.

Tu... tam... na białym śniegu zdaje się przesuwać postać powstańca ; gdzieś kryje się stracona nadzieja ; gdzieś wystrzela niewygasłe ognisko niezwalczonej wiary — znicze walki, rozsiane po lesie, ukryte pod śniegiem, albo lśniące przezystym srebrem na gwiazdzistym zimowym niebie.

Spokojnie suną sanie, równo biegnie koń, łagodnie rozsuwa się i niesie puszysty śnieg. Cisza. Wizje przeszłości biegną za mną, koło mnie, przede mną — a tam, za lasem, w innym dworku — w futorze zakrytym czapą śniegu — czeka rzeczywistość.

Dzień dzisiejszy : człowiek w płaszczu z odprutym wężykiem, z guzikami bez orzełków ; człowiek, z którego ramion spadł jeden ze stu generalskich płaszczy, ale którego ramiona okryła zwykła bekiesza, taka sama niemal jak tamtych z roku 63-go. I oto ubył generał — a ostał się człowiek-wódz, którego w oddaniu najpełniejszym słucha może stu, może tysiąc, może sto tysięcy — bo słucha go legion bezimiennych, gotowych na śmierć i na zwycięstwo. Legion wiarusów i rekrutów, legion rycerzy i cywilów — legion, co na swe barki wziął walkę, trudy i resztki królewskiej purpury niepodległego bytu.

Jadę ku niemu. Jadę by go zabrać. Zabrać z twierdzy, jaką mu zbudowały serca, chroniące go i gotowe za puklerz mu starczyć. I stają w pamięci te twierdze dawnej mocy, co strażą i stanicami polskości były : Kudak, Kamieniec, Bar, Trembowla, Głogów, Zbaraż i tyle, tyle innych, co epopeją swoją wielkość mocy narodowej w nieszczęściach znaczyły.

A później... a teraz...

Czyż nie równe im w przeznaczeniu stają się te domki i te czworaki, i te dworki zapadłe ? Ów dworek na Smolnej, co krył niemal przez rok Traugutta, i ta izba, z której wybiegł Okrzeja, i ten pokój, gdzie lądował swe pociski Dzierzbicki, i tyle, tyle innych, co dawniej i dziś były przystanią i schronem...

I ten do którego jadę — i tamten, do którego go zawiozę.

Ten na Woli, i ten w Piasecznie, i ten najnowszy — dworek panny Antoniny.

Bo przecież od jutra, od jutra tam właśnie ostatnia władza i ostatni znak widomy Rzeczypospolitej pod dachem panny Antoniny swój schron i przytułek i sztab główny znajdzie.

* * *

Pobył « doktora » u panny Antoniny szybko się ułożył.

Nie mogli się nie zaprzyjaźnić.

Zaczął ją nawet leczyć — ale z tych porad kpiła ona w żywe oczy, gdyśmy przyjeżdżali co drugi dzień w odwiedziny do jej pensjonariusza.

« Konia by zabił tym sianem ze swoich ziół, którymi moje serce uwziął się wyleczyć » — burczała.

Pomimo to otaczała « doktora » wielką troskliwością.

Dużo mieliśmy z nim wówczas kłopotu, bo osadzony u panny Antoniny, jako w najbezpieczniejszym miejscu, nudził się na tym odludziu i wyrwał do Warszawy.

Aby temu zapobiec, zaczęliśmy mu ostrożnie zwozić na niezbędne konferencje najpotrzebniejszych współpracowników.

* * *

Była to pamiętna niedziela.

Narada. Niemal zjazd.

Mróz i śnieg wybieliły cały świat. Ludzie biegli raczej niż szli; zakrywali uszy i nosy, bili rękami po bokach, cudaczne czapy wciskali głęboko na twarz, tylko oczy ryzykowały, rzucając śmiałe i baczne spojrzenia. Nikt się nie dziwił, że wszyscy byli niemal nie do poznania, okryci i ukryci w kołnierzach i baszłykach. Przed mrozem każdy chował trzy czwarte twarzy. Krył ją przed mrozem i przed wywiadowczym spojrzeniem wroga.

Każdy przyjechał inaczej.

Po Macieja Halina pojechała sankami na kolejkę elektryczną. Mieczysława prowadziłem przez las i zasy py cztery kilometry od stacji kolei. Wszyscy spotykaliśmy się niespodziewanie, bez słowa, bez objaśnień i powitań. Zygmunt znał już drogę, więc sam przywędrował.

W przeciągu godziny ściągali niepostrzeżenie do dworka panny Antoniny — czujni jak żurawie, co zakładają czaty.

Przyszli. Skupili się w pokoju « doktora ». Radzili. Odważali starannie czyny, które miały się dokonać. Układali plany, które miały się z wolna realizować. Obliczali oddanych i przyjaciół, wahających się i rozbijaczy, sumowali każde źródło siły, każdą pochodnię odwagi, każdy młot woli.

Dzień płynął. Pokój napełniał się dymem. Słońce zimowe szybko obiegiło skrócone niebo i całą siłą swej ognistej tarczy uderzyło jeszcze raz w okna. W oddali na horyzont gramolił się jeszcze niedołącznie zmierzch, u którego nóg umieściły się już zmrok i noc. Panna Antonina nie wytrzymała. Zapukała do drzwi i stanęła na progu. Podnieśliśmy na nią spojrzenia.

— Piec stygnie, gardła chrypną, wędzarnia tu, nie pokój — mówiła burkliwie. Najtęższe głowy nic mądrego na czczo, czy na głodno nie wymyślą. Za chwilę czas się zbierać. Przed nocą musicie stąd zniknąć. Dziś księżyc. Jasno. Czas kończyć — zaraz przyniosę herbatę i coś na przegryzkę...

— Po co ten kłopot — ktoś zaoponował nieśmiało.

— Nie udawać — jesteście głodni. Po co? choćby dlatego, żeby nogi były sprawne! Zbierajcie papiery, już niosą talerze.

Za chwilę wniosły obie z Haliną półmisek bigosu i miskę kartofli.

Zniknęły mapy. Mądrość. Różnica zdań i temperamentów. Już nikt nie oponował. Panna Antonina panowała nad dyktatorami. Widmo zmierzchu nadało szczękom tempo. Znikał bigos, kartofle — łykano wrzącą herbatę. Mężowie stanu, jak sztubacy na wycieczce narciarskiej, wykradali sobie skwarki i wylawiali co lepsze kąski.

Panna Antonina burczała, dokładała, popędzała.

Żaden Lukullus nie miał lepszej uczyty.

Po pół godzinie rozpoczął się odwrót. W tym samym porządku, tylko inną drogą. Teraz Halina odwiozła Macieja na inną stację i na inną kolej.

Zygmunt poszedł ku szosie, gdzie czekał nań woź mleczarza. Mieczysława odstawiono sankami leśnika aż na przedmieście, do tramwaju.

Ja z « doktorem » wyruszyłem na końcu. Była już noc. Księżyc wspinał się jak balon ponad sosny i nagie dęby. Było jasno i srebrzyście. Żegnaliśmy się z panną Antoniną długo i serdecznie.

— Żal mi, że już jedziecie — mówiła — ale to i dobrze. Taki już twój los teraz « doktorze », że nigdzie długo miejsca nie będziesz mógł zagrzeć. Tułasz się po kanapach i łózkach przygodnych — obyż ci wszystkie były przyjazne i bezpieczne! Jak już dobrze pokluczysz, ślady pogubisz, gdy minie jedna taka pełnia jak dziś, druga, a może i trzecia — wróc tu do mnie, choćby na dwa tygodnie, na tydzień. Odżywię. Odeśpisz. Odpocznie. — Nie wyleczyłeś mego serca ziołami — aleś je chyba rozpalili i rozgorzało za mocno. Codzień będę myślała wieczorem — a gdzież ty dziś do snu swoją głowę składasz? Widzisz — stara ja, silna, twarda — a kliwie babsko ze mnie na rozstanie robisz! No, jedźcie już. Bywaj. Krzyżem ci drogę znaczę, oby ci się słońcem słała!

« Doktor » wychylił się z sanek, objął ją ramieniem i głowę do jej rąk wyciągniętych przycisnął. Serca nam biły głośno, a dokoła było tak cicho, jak tylko bywa w księżycową, bezwietrzną polską noc. Kasztanka parsknęła. Myśli wróciły z zaświatów. — « Jedźcie! » rzuciła głucho panna Antonina. — « Do widzenia. Dziękujemy » — odpowiedzieliśmy prawie razem. Po chwili byliśmy już w głębi lasu. Mknęliśmy jak widma, zamyśleni, bez słowa. Za nami w ciszy nocnej, w poświęcie miesięcznej zostawał dworek — przystań panny Antoniny.

* * *

Długo patrzyła w las, długo nasłuchiwała panna Antonina — a gdy już ogarnęła ją absolutna cisza, zesza wolno po stopniach ganku w śnieg i powoli poszła ścieżką w najdalszy kąt ogrodu, skąd w poświęcie miesięcznej wzrok mógł biec jeszcze poprzez porębę w kierunku oddalających się sanek.

Gdy w powrotnej drodze położyła dłoń na klamce drzwi wejściowych, ktoś ją gwałtownie szarpnął za ramię. Jak na sprężynie odwróciła się całym ciałem panna Antonina — i stanęła oko w oko z niemieckim patrolem, przy którym tkwił jakiś cywil.

— Skąd o tak późnej porze? rzucił groźnie cywil.

— Z ogrodu — patrzyłam czy kto drzewa nie kradnie.

— Nikt nie kradnie, bo my pilnujemy! A co tu tak skopane przed gankiem? Koń jakiś stał, ktoś przyjeżdżał? Ktoś był z wizytą?

— Droga publiczna, niedziela, dużo szło sanek do kościoła, mógł się ktoś zatrzymać.

— Polskie wykręty, na wszystko wykręty, — krzyczał cywil — prowadzić do środka, rewizja!

Panna Antonina otworzyła drzwi — przez głowę przebiegło jej pytanie : czy pomyśleli, czy zdążyli sprzątnąć ?...

Szybko przeszli przez sięć. W mieszkaniu było cicho. Służąca już spała i na widok żołnierzy z przerażeniem przecierała oczy. Brat Jan spokojnie kładł pasjansa w saloniku.

— Kto to ?

— Brat — stary niedołęga, jeszcze słabszy niż ja.

— Wy wszyscy słabi — pinił się cywil. Wyciągał szuflady, otwierał szafy. Wyrzucał stosy systematycznie ułożonej bielizny. Ciskał na podłogę tomy książek. Przewracał i tłukł kieliszki w kredensie. Niby rewidował, niby szukał — a niszczył co mógł — nic podejrzanego nie widząc.

— A tam co jest ? wskazał na drzwi prowadzące na drugą stronę dworku.

— Takie same dwa puste pokoje.

— Puste ? Dlaczego puste ?

— Żeby w zimie nie opalać.

— Puste ? prowadzić !

Weszli do pokoju, gdzie jeszcze godzinę temu odbywała się narada.

— Tu ciepło — krzyknął wywiadowca — tu jeszcze pachnie tytoń ! kto tu był ?

— Tu ja byłam i porządkowałam — chciałabym dla zarobku wynająć te pokoje — mówiła spokojnie panna Antonina — tytoń czuć, tak, czuć ; jak się zamyśle lub pracuje, dużo pałę.

— Nieprawda ! — wrzasnęła coraz bardziej się pieniąc — tu byli goście, mężczyźni, oficerowie ! Gonimy ich od rana, oni tu się skryli !

— Tu nikogo nie było.

— Kłamiesz ! — huknął i całą pięścią uderzył w głowę pannę Antoninę.

Zachwiała się od ciosu, ale nawet nie jęknęła ; otarła chustką krew z czoła i cofnęła się o krok.

— Szukać ! — krzyknął do żołnierzy. Podbiegli do tapczana, na którym sypiał doktor. Wywalili poduszki i pościel na środek pokoju, deptali po nich brudnymi butami. Cywil skoczył do serwantki, napełnionej cenną, starą porcelaną. Szarpnął nią, niby zaglądając czy się kto za nią nie kryje, i nagle wściekle pchnął z całej siły. Wątła szafka zakołysała się i runęła z całą zawartością na środek pokoju. Rozprysły się szyby, rozleciały w kawałki stare sewrskie i koreckie serwisy. Główki pasterek leżały w wieńcach drobnych kwiatków wyhodowanych w sewrskich cieplarniach, stare talerze z Korca tułały się jak proste skorupy pod meblami. Rewidujący patrol szalał w swej wściekłości i nienawiści. Zdzierali i darli makaty ze ścian, bagnetami przebijali obrazy, niby sprawdzając, co się za nimi kryje.

Zdawało się, że rywalizują między sobą w barbarzyństwie. Po chwili wciągnęli pobitego pana Jana i krzyczeli, waląc go po głowie : — Mów ! Kto tu był ! Mów, kto tu był, bo zastrzelimy cię jak psa !

W pierwszej chwili panna Antonina chciała skoczyć bratu na pomoc ; ale ją schwycił jeden z żołnierzy za rękę i wykręcił boleśnie, śmiejąc się z jej niemocy.

— Tu nikogo nie było — tu nikogo nie było — powtarzał pan Jan po każdym uderzeniu, a odpowiedzi te jeszcze podniecały oprawców.

Minął kwadrans, minęło pół godziny — już nic całego nie było w pokoju.

Nagle padł strzał — to cywil w tysiąc okruchów zamienił wielkie lustro. Ten strzał i dźwięk tłuczonej tafli szklanej stał się jakimś przesileniem.

Wściekłość oprawców jakby się wyładowała.

— No, na dziś macie dosyć, macie pierwszą nauczkę ! — szyderczo krzyczał cywil — i dla dowcipu znów strzelił ponad głowę panny Antoniny.

Po chwili oprawy opuścili dworek.

* * *

W cichej do niedawna przystani rozsiadły się w każdym kącie krzywda i pogrom. Stare makaty w strzępach walały się po podłodze wśród skorup wykwintnej porcelany. Podziurawione portrety patrzyły ze ścian swymi ranami. Wydarte stronicie cennych książek, poplamione brudnym śniegiem z pod obcasów, kryły po kątach swą nędzę ze wstydem.

Na kanapce siedział pan Jan, którego głowę otulała panna Antonina ciągle zmienianymi kompresami. — Nic to — szeptała mu czule — nic to, staruszkę — nie daliśmy się, nic nie wykryli, wszyscy nasi ocaleli. — Nic to — odpowiadał pan Jan — i obejmowali się oboje serdecznym braterskim objęciem.

LEON CHRZANOWSKI.

NOTATNIK BIBLIOGRAFICZNY

A travers les chansons de Pologne, Recueil de chansons populaires polonaises, Traduction française de HALINA BELMONT, Avec introduction et notices explicatives de ZYGMUNT ESTREICHER-ROZBIERSKI, Imprimerie St-Paul, Fribourg 1944, 30 kart nlb.

Im polnischen Liedergarten, Sammlung polnischer Volkslieder, Deutsche Übersetzung von HALINA BELMONT, Einleitung und Erklärungen von ZYGMUNT ESTREICHER-ROZBIERSKI, Imprimerie St-Paul, Fribourg 1945, 30 kart nlb.

Pod powyższymi tytułami ukazały się dwa zbiorki piosenek polskich, identyczne co do treści, a różniące się między sobą tym, że w jednym teksty podane są w języku francuskim, w drugim zaś w niemieckim. Zbiorek niemiecki, później wydany, przedstawia jeszcze tę różnicę w porównaniu ze swym poprzednikiem, że zawiera także teksty polskie do pieśni, co oczywiście jest korzystnym dodatkiem. Piosnek jest szesnaście; obok ściśle ludowych są i żołnierskie. Jak autor zbiorku p. Z. ESTREICHER-ROZBIERSKI w przedmowie zaznacza, w wyborze nie kierował się względami natury estetycznej i artystycznej. Zebrane tu zostały takie piosnki, które łączą się z najmiłszymi i najdroższymi wspomnieniami i które dlatego « najchętniej śpiewamy ». « My » — « to my ! », tzn. studenci uniwersyteckiego Obozu internowanych żołnierzy polskich we Fryburgu, za których inicjatywą — jak to głosi uwaga na wstępie zbiorku « niemieckiego » — wydawnictwo zostało podjęte. W tych warunkach jasną jest rzeczą, że rozpatrywanie, czy tej lub owej melodii nie było lepiej zastąpić inną, więcej wartościową lub bardziej charakterystyczną, nie byłoby uzasadnione. Mimo woli jednak narzuca się pytanie — ponieważ wydawnictwo jest przeznaczone głównie dla cudzoziemców — czy nie było raczej wskazane wybrać same tylko najpiękniejsze nasze pieśni. Taki jednak, jakim jest, zbiorek stanowi ciekawe świadectwo, jakie są (czy były) zapotrzebowania i zamiłowania danej grupy naszego społeczeństwa w danej sferze, w danej epoce i w danych warunkach. Z tego punktu widzenia zasługuje na specjalne podniesienie, jako pewnego rodzaju « dokument », ostatni numer zbiorku, dziarski marsz « *To my!* », kompozycji p. ESTREICHERA, który bardzo skromnie swego autorstwa w tekście nie zaznaczył. Utwór ten, często śpiewany na produkcjach Chóru Obozu fryburskiego, a zawsze z zasłużonym powodzeniem, zawiera interesującą nieregularność metryczną w taktach 15-17, gdzie zamiast trzech taktów dwucwiciowych występują dwa takty trzycwiciowe. P. ESTREICHER nie wyraził tego w notacji zapewne dla uniknięcia komplikacji. Tym mniej wydają się potrzebne zmiany taktu w n-rze 8 (*Koło mego ogródeczka*). W n-rze 13 (*Tam na błoniu błyszczą kwiecie*) zastanawia wybór wersji, która obejmuje tylko drugą połowę znanej melodii. Przy sposobności zaznaczymy, że droga ta sercom naszym melodia, jakkolwiek uzyskała pełne prawo obywatelstwa w polskim pieśniarstwie, nie jest polskiego pochodzenia (jest to kompozycja W. GALLENBERGA).

P. ESTREICHER we wstępie określił wymownie znaczenie, jakie pieśń ma w życiu ludu polskiego, a pieśń tego ludu dla życia narodu, jego muzyki w szczególności.

Tłumaczenie tekstów na język francuski i niemiecki nie należało do zadań łatwych. Pani HALINA BELMONT wyszła jednak z trudności obronną ręką, dając tłumaczenie zręczne, gładkie i wierne mimo wierszowanej formy.

Wydawnictwo, którego zewnętrzna szata jest bardzo staranna, doznało znacznego powodzenia, o czym świadczą zarówno sukces księgarski, jak i wyrazy uznania znawców takich, jak ks. kan. J. BOVET, kompozytor i folklorysta szwajcarski, który bardzo pochlebnie o zbiorku ogłosił opinię.

E. J.

ALFONS BRONARSKI : *L'Italie et la Pologne au cours des siècles*, Collection « Culture Européenne », Echanges Intraeuropéens, N° 2, Editions de la Concorde, Lausanne 1945, str. 204.

W dzisiejszych dniach, gdy kultura polska przeżywa jeden z najcięższych okresów jeśli chodzi o niebezpieczeństwo materialnej zagłady, gdy z drugiej strony Zachód odwraca się obojętnie niemal od swego odwiecznego na wschodzie Europy bastionu, jakież przejmującej wymowy nabiera wydawnictwo poświęcone historii stosunków polsko-włoskich. Prof. BRONARSKI zebrał w swej pracy materiały polsko-italskie na niespełna 200 stronach, oczywiście więc nie zamierzał wyczerpać tego tak bogatego tematu, pragnąc dać raczej szkic, niż pełne, wyczerpujące opracowanie. Stanowisko takie wydaje się słuszne, trzeba bowiem zdawać sobie sprawę z tego, że studium omawiane przeznaczone jest przede wszystkim dla cudzoziemców, których łatwo mogłoby znużyć przeładowanie szczegółami, nazwiskami mniej lub więcej drugoplanowymi lub datami. Niewątpliwie w tej też intencji autor postanowił ożywić swą pracę o charakterze poniekąd informacyjnym i historycznym i dał nam również przegląd wybitniejszych pisarzy i poetów polskich na tle ich związków z Italią, podając przekłady bardziej charakterystycznych urywków twórczości polskiej w tej dziedzinie. Myśl ta zasługuje na szczególne uznanie i pracy całej nadaje istotnie dużą wartość już nie tylko historyczną, ale i literacką.

Gdy mówiliśmy o przeznaczeniu tego tomu dla cudzoziemców, nie chcieliśmy bynajmniej zmniejszyć jego wartości dla Polaków, gdyż dla każdego z nas jakże cenna jest ta rekapitulacja związków Polski z odwiecznymi źródłami kultury europejskiej. Jakże cenne jest równocześnie stwierdzenie iż poza znanymi, ale oderwanymi w sobie faktami małżeństwa ZYGMUNTA STAREGO z BONĄ SFORZA, poza nazwiskami takich czy innych architektów i muzyków włoskich, przebywających w Polsce w XVI czy XVII, a malarzy w XVIII wieku, poza studiami humanistów polskich w Italii, rektorem ZAMOYSKIEGO w Padwie, uwieńczeniem SARBIEWSKIEGO wawrzynem poetyckim na Kapitolu i wjazdem OSSOLIŃSKIEGO do Rzymu, wreszcie poza nazwiskiem pułkownika FRANCESCO NULLO w powstaniu styczniowym, istnieje trwały, odwieczny związek kultury polskiej z kulturą śródziemnomorską i niczem związku tego nie da się zaprzeczyć.

A udowodnienie tego faktu cudzoziemcom jest więcej niż wskazane, gdy np. szwajcarski badacz twórczości Tessynu w dziedzinie sztuki potrafił w artykule, poświęconym działalności artystów z Tessynu za granicą (*Illustré*, 1945), dziwić się, że JAN CHRZCIEL DI QUADRO z Lugano zawędrował aż do Poznania (przedstawionego przy okazji jako miasto związane ze sztuką południowo-niemiecką!), by przerabiać tam ratusz, skoro architektów z Tessynu, pracujących w Polsce, możnaby wyliczyć długie szeregi.

Trudno w kilku zdaniach omówić najistotniejsze elementy pracy prof. BRONARSKIEGO, pragnęlibyśmy jednak podkreślić tu doskonale dobrane i przetłumaczone teksty z dziennika podróży ambasady weneckiej CONTARINIEGO z r. 1477, satyrę MARCINA BIELSKIEGO o italiinizmie w Polsce, elegię KLEMENSA JANICKIEGO i SARBIEWSKIEGO, utwory KOCHANOWSKIEGO, SĘPA SZARZYŃSKIEGO, GÓRNICKIEGO (ciekawy urywek rozmowy Polaka z Włochem na temat wolnej elekcji), WACŁAWA POTOCKIEGO (satyra o kuchni włoskiej), wreszcie ANDRZEJA MORSZTYNA, kończącego wyjątki z literatury przedrobiorowej. Literatura porobiorowa reprezentowana jest przez BRODZIŃSKIEGO, piękne mowy MICKIEWICZA we Florencji i Mediolanie, urywki ze SŁOWACKIEGO poematu Piasta Dantyszka o piekle, *Przedświtu* KRASINSKIEGO, utwory NORWIDA, LENARTOWICZA, KONOPNICKIEJ (nieco długa i artystycznie wątpliwa impresja na temat Kaplicy Sykstyńskiej — podobnie zresztą jak utwór LENARTOWICZA), TETMAJERA i KASPROWICZA. Autor daje również jedną scenę z *Legionu* WYSPIAŃSKIEGO, kończąc piękną odą do kultury łacińskiej LUDWIKA HIERONIMA MORSTINA.

Nie należy jednak przypuszczać, że prof. BRONARSKI przesunął punkt ciężkości swej pracy na dział literatury. Oczywiście omawia on również związki polityczne, kontakty w dziedzinie sztuki, muzyki i teatru. Nawet ekonomiści znajdują w niej interesujące przyczynki do historii stosunków gospodarczych polsko-włoskich.

Być może, że przy czytaniu tej pracy mogłyby się nasunąć niekiedy pewne drobne zresztą wątpliwości. Możnaaby więc podnieść zastrzeżenia odnośnie rzekomo włoskiego pochodzenia króla STANISŁAWA AUGUSTA PONIATOWSKIEGO, którego świeży rodowód mógł zachęcić usłużnych heraldyków do wprowadzenia w nim pewnych upiększeń, tak jak niejednokrotnie miało to miejsce na całym świecie. Podobnie w wydawnictwie tego typu nie wydaje się niezbędną polemiką ze STEFANEM KOMORNICKIM odnośnie wpływu BONY na rozwój sztuki w Polsce. Wreszcie wolelibyśmy przejść do porządku dziennego nad osobą gen. RAMORINO w powstaniu listopadowym, wobec raczej wątpliwej roli, jaką odegrał on w ostatniej fazie powstania, co do której pewni historycy polscy wypowiadają się dość kategorycznie. Zdaniem naszym gen. RAMORINO szukał prawdopodobnie sukcesów za granicą, podobnie jak ich szukał np. LUCCHESINI, dyplomata włoski w służbie pruskiej, jeden z twórców perfidnego przymierza polsko-pruskiego w epoce rozbiorów (zob. HENRYK DEMBIŃSKI : *Polska na przełomie*), czy np. gen. PAULUZZI, komendant m. Warszawy przed powstaniem styczniowym.

Natomiast ze swej strony pragnęlibyśmy podkreślić celowość nieco szerszego omówienia związków polsko-włoskich w dziedzinie sztuki w XIX wieku. W szczególności tak podkreślany przez cudzoziemców wygląd klasycystyczny architektury Warszawy zawdzięcza niezmiernie wiele działalności ANTONIEGO CORAZZI z Livorno, którego dziełem był Teatr Wielki, Ministerstwo Skarbu, Bank Polski, Pałac Staszica, że wyliczymy tu tylko najważniejsze pozycje. Podobnie schyłkową już postacią warszawskiej działalności architektonicznej w epoce porozbiorowej będzie HENRYK MARCONI z Rzymu, autor szeregu budowli, a w szczególności paru kościołów transponujących do Warszawy włoski neorenesans. Natomiast wśród malarzy XIX w. pragnęlibyśmy wymienić ostatnie już nazwiska włoskie PILLATI'EGO i ANDRIOLLI, cenionego jako ilustratora (np. ilustracje *Pana Tadeusza*, *Konrada Wallenroda* itp.).

Kończąc te kilka impresji o cennym studium prof. BRONARSKIEGO, trudno nam powstrzymać się od przytoczenia krańcowego napozór poglądu, którym autor rozpoczął swe rozważania o związkach polsko-italjskich. Jest nim pochodząca z r. 1575 opinia ambasadora Ferrary GUARINIEGO, który omawiając swe wrażenia z pobytu w Polsce, uderzony był podobieństwem psychiki polskiej i włoskiej mimo odległości dzielącej oba kraje.

Dziewięć przeszło wieków stosunków polsko-włoskich rozpoczyna się przybyciem benedyktyńców z *Monte Cassino* na dwór CHROBREGO — i oto dochodzi w chwili obecnej do wydarzenia o jakże różnej skali, jakim jest zdobycie przez wojska polskie wydartego z rąk niemieckich tegoż *Monte Cassino*.

Droga do dalszej kontynuacji związków Polski z Italią jest nadal — wierzymy w to — otwarta.

T. S.

LUDWIK BRONARSKI : *Etudes sur Chopin*, Collection « Culture Européenne », Cultures Nationales, Pologne N° 2, Editions de la Concorde, Lausanne 1944, str. 167.

Ten zbiór częściowo nowych, częściowo już przedtem drukowanych w prasie szwajcarskiej studiów LUDWIKA BRONARSKIEGO o CHOPINIE stanowi drugi tom cyklu wydawanego przez FRANCK-LOUIS SCHOELL'A i poświęconego kulturze polskiej. Był to niewątpliwie bardzo słuszny pomysł, aby na jednym z pierwszych miejsc cyklu, przed pracami poświęconymi mniej w Europie znanym stronom kultury polskiej, umieścić

omówienie jedyne go bodaj Polaka naprawdę znanego, rozumianego i należycie ocenianego na całym świecie. Tak bardzo znanego, iż można się nawet zapytać, czy jeszcze jedno nowe studium o CHOPINIE jest w ogóle potrzebne, zwłaszcza iż nie chodzi o pracę ściśle fachową poświęconą analizie pewnych jeszcze niedostatecznie zbadanych szczegółów, lecz o książkę przeznaczoną dla szerszej publiczności i dającą pogląd ogólny. W istocie nie da się zaprzeczyć, iż od czasu śmierci CHOPINA ukazało się bardzo dużo niepotrzebnych książek o nim; zarzut ten jednak nie może być skierowany przeciw żadnej z prac BRONARSKIEGO, będącego niewątpliwie jednym z największych znawców problemów chopinowskich, i to nie tylko wśród muzykologów polskich. Każda jego publikacja przynosi coś naprawdę nowego i godnego powiedzenia.

W zasadzie można stwierdzić, iż o CHOPINIE pisało się pod pewnymi względami za wiele, pod innymi za mało. Za dużo uwagi poświęcono anegdotycznym i romansowym elementom biografii oraz « okolicznościowej » i « programowo-literackiej » interpretacji twórczości CHOPINA, co doprowadziło w rezultacie do wytworzenia się całego szeregu zupełnie fałszywych legend i nieuzasadnionych a jednak uporczywie trwających tradycji. Z drugiej strony wciąż zbyt mało zajmowano się fachową analizą samej muzyki, która poza całą swą głębią, sugestywnością i emocjonalnością wykazuje niesłychane bogactwo nowych i rewolucyjnych zdobyczy formalnych, nie tylko zdumiewających na tle twórczości współczesnych CHOPINOWI kompozytorów, lecz również w decydujący sposób wpływających na dalszą ewolucję europejskiego języka muzycznego. W tej dziedzinie poza kilkoma pracami zagranicznymi jedynie polska muzykologia ostatnich 20 lat poczyniła istotne postępy a naczelne miejsce wśród tych prac należy się badaniom BRONARSKIEGO, zawartym przede wszystkim we wzorowej i fundamentalnej monografii « *Harmonika Chopina* » oraz w licznych drobniejszych lecz zawsze bardzo cennych przyczynkach muzykologicznych.

Obecnie omawiana książka jest przeznaczona dla szerszej publiczności, unika więc w miarę możliwości ściśle muzykologicznych rozważań, lub podaje je w formie możliwie przystępnej (np. w analizie formy mazurka w muzyce ludowej i u CHOPINA). Tym nie mniej autor daleki jest od tak częstego w pracach popularyzatorskich operowania patriotycznymi i sentymentalnymi komunałami na temat postaci CHOPINA i jego muzyki. Przeciwnie — podejmuje się w tych studiach niezmiernie pożytecznego zadania prostowania nieuzasadnionych twierdzeń i precyzowania zakorzenionych a błędnych ogólników.

Nie wiem, czy cel ten wyraźnie przyświecał autorowi. Tym nie mniej uderza to już w samych tytułach rozpraw zawartych w tomie. Niemal każde studium porusza bardzo znane problemy chopinowskie i każde daje naświetlenie nowe, odmienne od ogólnie przyjmowanego, z zawsze oparte na doskonałej znajomości przedmiotu i głębokim wyczuciu psychiki chopinowskiej. Toteż chociaż ta nowa książka nie ma na celu podawania rewelacyjnych odkryć i przeznaczona jest raczej dla popularyzacji zagadnienia za granicą, nie mniej waleń przyczynia się do skorygowania niejednego błędu dyletanckiej chopinologii i przyniesie duży pożytek również polskim czytelnikom.

Odrzuca pierwsze studium poświęcone jest problemowi, który dał powód do wytworzenia się niemal wszystkich fałszywych tradycji chopinowskich — a mianowicie zagadnieniu literackości muzyki chopinowskiej. Doszukiwanie się programu literackiego i konkretnego podkładu fabularnego czy autobiograficznego w każdym niemal utworze CHOPINA stało się plagą nie tylko szerszej publiczności, która w ten sposób nauczyła się niewłaściwego słuchania muzyki chopinowskiej, lecz również i niejednego wykonawcy, narzucając mu zmanierowaną i « programową » interpretację tej muzyki. Tymczasem właśnie ponadepokowość CHOPINA polega na tym, iż umiał on wznieść się ponad tak niewątpliwie rozpowszechnione w epoce romantycznej uzależnianie muzyki od literatury

i doskonale rozumiał odrębność i samowystarczalność muzyki w stosunku do innych sztuk. Chcąc raz rozwiązać ten problem definitywnie ujmuje go BRONARSKI niezmiernie szeroko rozpatrując zarówno literackie uzdolnienia CHOPINA jak i jego stosunek do literatury i do popularnych w jego epoce doktryn estetycznych. Stwierdzając wszechstronność uzdolnień artystycznych CHOPINA i podkreślając jego wybitny talent literacki, zaznacza jednak, iż chodzi tu o dwie wyraźnie rozgraniczone dziedziny, których CHOPIN nigdy nie mieszał i nie chciał łączyć, czego dowodzą chociażby jego listy, w których tak wyśmiewa się z Angielek usiłujących doszukać się w każdej muzyce ilustracji pewnych zewnętrznych zjawisk czy wydarzeń. W licznych przykładach rozproszonych po całej książce wykazuje autor bezpodstawność takich programowych interpretacji szeregu utworów chopinowskich. Jeśli więc istnieją związki między CHOPINEM a literaturą, to raczej w odwrotnym kierunku : nie literatura była źródłem natchnienia dla CHOPINA, lecz przeciwnie jego utwory muzyczne zapłodniły literaturę polską i światową. BRONARSKI nie przeprowadza badań w tym kierunku, lecz zachęca do ich podjęcia, i istotnie badanie takie przyczynić się może do ostatecznego wyjaśnienia zachwaszczonego problemu : CHOPIN a literatura.

Następne skolei studium poświęcone jest problemowi salonowości muzyki CHOPINA. Autor proponuje zatrzymać to określenie, oczywiście nie w znaczeniu płytkiego efekciarstwa, jakie się temu terminowi zazwyczaj nadaje, lecz w sensie pewnej intymności tej muzyki przeznaczonej nie tyle dla wielkich sal koncertowych, ile dla wykonywania w ściślejszym gronie wybranych znawców. Najlepiej jest zacytować w tym związku własne słowa autora : « Są salony, w których wykonywanie wielkiej, wzniosłej, szlachetnej muzyki byłoby jej profanacją. Są znowuż inne, których profanacją byłoby granie w nich pewnego rodzaju salonowej muzyki, i które, przeciwnie, są najwłaściwszym miejscem dla wykonywania muzyki najwartościowszej. » Otóż dla takich salonów była przede wszystkim przeznaczona muzyka CHOPINA.

Pokrewnym zagadnieniem jest tzw. kobiecość CHOPINA. I tu znowuż autor nie rozwiązuje zagadnienia zbyt symplicystycznie, ani nie odrzucając całkowicie tego określenia, ani nie przyjmując go bez zastrzeżeń. Stwierdzając niewątpliwą ważność męskich pierwiastków w twórczości CHOPINA, jak brawura, godność, werwa i humor, nie zaprzecza, iż twórczość ta posiada wiele cech kobiecych. Ale nie należy jej przez to uważać za zniewieściałą, gdyż są to cechy dodatnie jak wrażliwość, delikatność, czystość, elegancja. Elementy te nie tylko nie obniżają wartości muzyki chopinowskiej, lecz przeciwnie bardzo ją wzbogacają, łącząc się zresztą z pierwiastkami męskimi w organiczną całość. Istotę tego połączenia doskonale wyraża zacytowane przez autora zdanie ENAULT o ręce CHOPINA, iż « miała ona kości żołnierza pokryte kobiecymi mięśniami ».

Największe w tomie studium poświęcone jest problemowi folkloru w muzyce chopinowskiej. I tu sprzeciwia się autor dwóm krańcowym ujęciom, z których jedno zaprzecza, jakoby folklor w ogóle miał wpłynąć istotnie na tę twórczość, drugie zaś wyprowadza niemal całą muzykę chopinowską z folkloru. Podkreślając — co jest zresztą już dobrze znanym faktem — iż CHOPIN nie naśladuje, lecz twórczo sublimuje folklor, wykazuje autor, iż dzieje się to przede wszystkim w mazurkach, gdyż to jest folklor okolic w których CHOPIN spędził dzieciństwo i z którymi był najbardziej zżyty. Ale nawet w mazurkach należy wyraźnie rozgraniczyć elementy nasunięte przez folklor, a czynniki jak harmonika, chromatyzm, kontrapunkt, będące osobistym wkładem kompozytora i nadające tym utworom ich subtelność i arystokratyczność, nie odbierając im przy tym związków z rodzinną glebą. Równocześnie zwraca autor uwagę na fakt, iż dzięki tej sublimacji, mazurki, będąc utworami nawskroś polskimi, stają się równocześnie własnością całego świata cywilizowanego.

Dwa artykuły : « *Pożegnálny walc i jego dedykacja* » oraz « *Ostatni mazurek Chopina* »

są poświęcone drobniejszym zagadnieniom, ale i tu mamy sprostowanie rozpowszechnionych i błędnych opinii.

W sumie książka jest piękna i pożyteczna. Ożywiona jest głębokim kultem dla największego muzyka polskiego i kult ten niewątpliwie udziela się czytelnikowi, co jest szczególnie cenne w książce przeznaczony dla zagranicy. Jednakże kult ten nigdy nie zmusza autora do porzucenia obiektywizmu w sądach i do zapomnienia o ścisłości naukowej. Tym bardziej przekonujące są jego wnioski.

Konstanty Regamey.

JULIUSZ GÓRECKI : *Kamienie na szaniec*, wyd. 3-cie (pierwsze na Obczyźnie), przedmowa Tomasza Arciszewskiego, Światowy Związek Polaków zza Granicy, Londyn 1945, str. VIII + 124 + 2 nlb.

JULIUSZA GÓRECKIEGO « *Kamienie na szaniec* » jest książką o młodzi i dla młodzi. Jest cennym dokumentem historycznym z okresu « niezapomnianych czasów 1939-43, czasów bohaterstwa i grozy ». Zespół « *Buków* », którego rozwój i działalność obserwujemy na kartach powieści, jest tylko jednym z wielu podobnych, istnieniem swym potwierdzających biologiczną niespożytość plemienia. Jest także nawiązaniem i dalszym ciągiem legendy walk niepodległościowych. To rzekomo stracone pokolenie, wychowane w atmosferze przedwrześniowego bluffu pierwsze podejmuje inicjatywę walki i oporu. Ono właśnie rozgrzeje społeczeństwo polskie po klęsce. Z szeregów tego pokolenia wyjdzie później zastęp bojowników i twórców mitu Warszawskiego Powstania. Nieudolne próby « *Celu* » to tylko fałszywy trop, próba niejako i szukanie drogi organizacyjnej. Całość pójdzie innym nurtem, nie rozdrabniając się w partyjnych rozgrywkach.

Lecz nie tylko walka stanowi treść ich życia i cel. Organizowanie tajnych kompletów samokształceniowych i wieczorów dyskusyjnych jest dowodem istnienia troski o jutro. O jutro Polski i Jej dorobku — młodzi. Intensywność przeżyć terażniejszości tym więcej nakazuje myśleć o przyszłości. Praca niepodległościowa kryje w sobie wiele niebezpieczeństw i wypaczeń, których można uniknąć drogą nieustannej samokontroli i autoanalizy.

« ... Gdy analizuję losy « niepodległościowców » z pierwszej wojny światowej — mówię doktor w jednej z dyskusyj — to widzę trzy groźne rafa, o które rozbijały się okręty życia tych ludzi. Rafa pierwsza — to chęć użycia : — Tyle cierpieliśmy, że należy nam się wreszcie rewanż od życia. Rafa druga — to przesadne poczucie własnej wartości, napętlające serca lekceważeniem i goryczą w stosunku do otoczenia. Rafa trzecia — to « ideologia kombatancka » : miejsce dla Ojców Ojczyzny ! Posady, ordery, honory i zaszczyty ! Dla tych, co własną krwią... »

Na wieczorach rozważań i analizy podnosi się jeszcze inne aspekty związane z przygotowaniem przyszłości, najważniejsze może, bo dotyczące zagadnienia wykształcenia ogólnego i zawodowego. Młodzi grozi niebezpieczeństwo, że wejdzie do swych zawodów jako dyletanci i niedouki. Warunki okupacji utrudniają walkę z tym niebezpieczeństwem, najważniejsze, co tutaj można zrobić, to zdawać sobie sprawę z własnych braków i przy każdej sposobności braki te zmniejszać. Myśli te są objawem pocieszającym i nie nowym. Podobny okres przeżywały już koła młodzieżowe po klęsce 63 roku. Samokształceniowe grupy pozytywistów mają wiele cech wspólnych z pokoleniem współczesnym. Idea « *Szyfowych prac* » odrodziła się w zmienionej nieco warunkami formie, zachowując jednak jej główne rysy i sens.

Wśród tej atmosfery powrzesniowej Warszawy, małego sabotażu i dywersji uderza czytelnika może zbyt wielka posągowość postaci bohaterów opowiadania. Wysoki

ich poziom moralny i zbyt wielka dojrzałość czynią ich prawie nadludźmi, odbijającymi się od reszty ich współtowarzyszy. Nie jest to jednak wada. Skądinąd wiemy, że fakty i osoby tu opisane są prawdziwe (wg. nadeszłych ostatnio z Kraju wiadomości, autor p. TADEUSZ KAMIŃSKI, znany przed wojną działacz harcerski, zginął w roku 1945 zabity przez Rosjan; zmarły redagował m. inn. « *Biuletyn Informacyjny* » oraz brał udział w Powstaniu pod pseud. « *Hubert* »). Stąpienie na koturnach moralnego udoskonalania się i patriotyzmu jest tylko wynikiem wychowania w szeregach Harcerstwa i dowodem zarazem ich wierności hasłu: « *Ojczyzna, Nauka i Cnota* ». O tym niech świadczy jeszcze fakt, że Polska Podziemna zleciła wydanie tej książki poza granicami Kraju właśnie Naczelnemu Komitetowi Związku Harcerstwa Polskiego w uznaniu zasług i wysiłków ZHP w zakresie wychowania młodzieży w Polsce niepodległej. Nadczołowieczeństwo harcerskich sylwetek bohaterów jest więc tylko dowodem ich wewnętrznego skupienia i wartości zdobytych pracą nad samym sobą.

W naszej ocenie rzeczywistości przez pryzmat sześcioletniego pobytu poza granicami Kraju zacierają się fakty i ludzie. Stałe obcowanie w jednym środowisku dobranym drogą przypadku powoduje pewne obniżenie płaszczyzn widzenia. Zbyt często pojeni gorączką własnych niepowodzeń, małostkowi w ocenie samych siebie i innych, zatracamy kryteria moralne i zamykamy się w skorupce sfilistrzałego światopoglądu. Ta indyferencja ideologiczna i niewiara w istnienie rzeczy dobrych i ludzi doskonałych, to rafa czwartą, na której może się rozbić życie naszego pokolenia.

« *Kamienie na szaniec* » wyszły drukiem w Warszawie dwukrotnie, w końcu 1943 i w połowie 1944 roku, wydane przez « *Podziemny Dom Wydawniczy M. K. i S-ka* ». Ten fakt trzeba sobie uświadomić, aby zrozumieć ogrom trudu i warunki w jakich książka została napisana i wydana. Widać to zresztą w stylu samej powieści, nieco chaotycznym i reporterskim. Znać pisanie « na gorąco », pamiętnikarsko, co podnosi jej wartość jako dokumentu historycznego.

Chylimy czoła przed ludźmi, którzy swym poświęceniem dali początek Legendzie Polski Walczącej.

Chylimy czoła przed ludźmi, którzy krwią własną Jej Historię pisali. Przed ludźmi, którzy w Jej obronie i za Jej wolność padli...

« *Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec...* »

Zbigniew J. Małecki.

ANDRÉ LENOIR : *Varsovie 1944*, Préface de GEORGES RIGASSI, Editions de la Frégate, Genève 1944, str. 45 + 3 nlb.

Kilka miesięcy po upadku powstania warszawskiego w r. 1944 ukazała się w Szwajcarii skromna broszura poświęcona temu powstaniu. Na śnieżnym tle okładki krwawił się tytuł « *Varsovie 1944* ». Poniżej Krzyż *Virtuti*. Kartę za kartą czytamy spokojny, suchy niemal jak wojskowy raport opis najtragiczniejszych walk minionej wojny. Lakoniczne meldunki gen. Bora, komunikaty niemieckiej O. K. W., sprawozdania korespondentów, głosy prasy polskiej i zagranicznej zestawione sumiennie przez autora, szkicują najważniejsze momenty dramatu. Książka pisana w okresie kiedy okoliczności powstania warszawskiego wywołały namiętną dyskusję na całym świecie, unika jakiegokolwiek polemiki czy dyskusji politycznej. Ogranicza się do podania faktów i tylko faktów sprawdzonych, pozostawiając czytelnikowi ich ocenę i wyrobienie sobie sądu. Jednakże fakty te mają krzyczącą wymowę.

W broszurze tej zasługuje na uwagę czytelnika polskiego przedmowa skreślona przez znanego publicystę szwajcarskiego, wielkiego przyjaciela Polski. W przedmowie tej

bowiem GEORGES RIGASSI podkreślił niezwykle wymownie istotny sens polskiej tragedii. Rzadko dziś spotykamy w Europie tak odważnie wypowiedziany osąd. Dlatego pozwolimy sobie zamknąć tę krótką notatkę zacytowaniem najważniejszych i najistotniejszych ustępów tej przedmowy : « ... Polska, Warszawa oczekują ciągle jeszcze oswobodzenia, mimo olbrzymich ofiar poniesionych dla wspólnej sprawy wolności przez lud polski i przez żołnierzy tego walecznego narodu walczących na wszystkich frontach. Dlatego też można śmiało powiedzieć, że Polska położona w punkcie węzłowym polityki europejskiej, wciśnięta pomiędzy dwa imperializmy, jest symbolem najbardziej wymownym tragedii Europy... Należy z naciskiem podkreślić : los Polski jest ściśle związany z losem całej Europy. Jak długo Polska nie odzyska swej niepodległości, Europa będzie miała nieczyste sumienie. Po sposobie w jaki rozwiązana zostanie sprawa Polski, świat będzie mógł osądzić sens tej wojny i prawdziwe intencje zwycięzców. Rodzaj ludzki będzie zbeszczeszczony jeżeli ten kraj, który wszystko poświęcił dla honoru i wolności, stanie się raz jeszcze łupem gwałtu i ofiarą niesprawiedliwości ».

A. K.

ALEXANDER-CZESŁAW MELEŃ : *Le droit des gens et le système du droit polonais*, thèse présentée à la Faculté de droit de l'Université de Fribourg pour l'obtention du grade de docteur en droit, Imprimerie St-Paul, Fribourg 1945, str. 120.

Rozprawa powyższa napisana jest w sposób bardzo staranny i niezwykle jasny. Znać po niej, że wyszła spod pióra prawnika, który nie jest debutantem w dziedzinie pracy naukowej. Świadczy o tym głęboko przemyślana konstrukcja tematu, który należy do najbardziej delikatnych w systemie prawa międzynarodowego.

Już w swej rozprawie pt. « *Quelques considérations sur les sources du droit des gens* » (Recueil de travaux scientifiques des Polonais internés en Suisse, tom I/1, Brougg 1943, str. 40) wykazał autor dokładną i wszechstronną znajomość w dziedzinie podstawowych problemów prawa narodów. Te same właściwości cechują także jego rozprawę doktorską. Autor postawił sobie w niej za zadanie przedstawienie stosunku prawa narodów do prawa wewnętrznego, w szczególności na podstawie przepisów prawa wewnętrznego polskiego. W związku z powyższym problemem rodzi się szereg zasadniczych pytań z zakresu mocy obowiązującej norm prawa narodów, a mianowicie czy tymże normom czy też przepisom prawa wewnętrznego należy przyznać pierwszeństwo w razie konfliktu norm ; dalej w jakich warunkach i w jakim zakresie sędzia winien stosować normy prawa narodów w stosunku do obywateli.

Po szczegółowej analizie wszystkich znanych teorii naukowych o stosunku prawa narodów do prawa wewnętrznego, omawia autor ich zastosowanie w poszczególnych systemach prawnych, po czym przedstawia zagadnienie zawierania umów międzynarodowych według polskiego prawa konstytucyjnego. W rozdziale V-tym pracy przechodzi autor do sedna zagadnienia tj. mocy obowiązującej prawa narodów w systemie polskiego prawa wewnętrznego. Konstytucja polska, w przeciwieństwie do konstytucji Stanów Zjednoczonych, republikańskiej konstytucji hiszpańskiej, konstytucyj republik południowo-amerykańskich oraz niemieckiej konstytucji weimarskiej nie zawiera żadnego przepisu regulującego wyraźnie stosunek prawa narodów do prawa wewnętrznego. Luka ta siłą rzeczy musiała być wypełniona przez judykaturę, w pierwszym zaś rzędzie przez orzecznictwo Sądu Najwyższego i Najwyższego Trybunału Administracyjnego. W oparciu o bardzo obfity materiał z praktyki tych sądów, dochodzi autor do wniosku, że normy prawa narodów, jako obowiązujące w zasadzie podmioty tego prawa tj. państwa, nie rodzą według systemu prawa polskiego bezpośrednio ani praw ani obowiązków dla poszczególnych obywateli. Zasada ta jednakowoż nie jest bezwzględna. Naprowadzone

w pracy orzeczenia wykazują, że w szeregu wypadkach normy prawa narodów mają moc obowiązującą w stosunkach wewnętrznych i to zarówno publiczno- jak i prywatnoprawnych. Rozróżnienie tych norm prawa narodów, które mają wyłącznie zastosowanie w stosunkach między państwami od takich, które nie pozostają bez wpływu decydującego na prawa poszczególnych obywateli, zapewniają najciekawsze ustępy pracy. Autor stwierdza, że nie ma żadnego bezwzględnego kryterium, na podstawie którego możnaby z całą stanowczością określić zawsze, które normy prawa narodów obowiązują jedynie nazewnątrz państwo w stosunku do innych państw, a które mają zastosowanie i wewnątrz państwa w stosunku do obywateli. Dla każdego poszczególnego przypadku — w oparciu o momenty charakteryzujące dany stan faktyczny — trzeba rozstrzygać, czy normy prawa narodów mogą być zastosowane. W razie wątpliwości, presumpcja przemawia za niestosowaniem norm prawa międzynarodowego w stosunkach wewnętrznych, gdyż umowy międzynarodowe służą zasadniczo uregulowaniu stosunków między państwami.

Następnie omawia autor zasady jakimi kierują się sądy polskie przy interpretacji norm prawa narodów, po czym rozważa zagadnienie konkurencji i konfliktu przepisów prawa wewnętrznego z normami prawa narodów oraz sposobów w jakie problemy te rozwiązuje praktyka polska. Zakończenie obejmuje rozważania dogmatyczne na temat podstawy mocy obowiązującej norm prawa narodów w systemie prawa wewnętrznego polskiego oraz natury prawnej tych norm w ich zastosowaniu wewnętrznym.

Mimo okoliczności, że rozprawa w zasadzie rozwiązuje sporne zagadnienie raczej z punktu widzenia prawa polskiego, jest ona tak interesująco i gruntownie opracowana, że nie tylko służyć może z pożytkiem za wyśmienity drogowskaz do poznania praktyki polskiej w tym zakresie, lecz musi być gorąco polecona każdemu, kto zajmowałby się choćby w sposób bardzo ogólny tym tak trudnym i spornym tematem. Autor przyczynił się swą pracą w sposób wartościowy do rozstrzygnięcia problemu, interesującego teoretyków-naukowców, ale ważnego przede wszystkim dla prawników-praktyków.

Dr E. Hoffmann.

GUSTAW MORCINEK : *Listy spod morwy* (Sachsenhausen — Dachau), Księgarnia Polska, Paryż 1945, str. 99.

Ostatnia rzecz autora « *Wyrąbanego chodnika* » zawiera wspomnienia z pobytu w obozach koncentracyjnych Sachsenhausen i Dachau. Wspomnienia te MORCINEK ubrał w formę listów pisanych do Polski, i zdaniem naszym niesłusznie. Bogaty talent narracyjny i bystry dar spostrzegania zjawisk, niedostępnych dla przeciętnego człowieka, dusi się w sztucznie narzuconej formie literackiej. Odrzuciwszy wszelkie rekwizyty listowe otrzymujemy żywe opowiadanie, a nie ciągle nawracanie do tematu po przez różne dygresje i opisy miejsca pobytu autora. Przewijający się ciągle, jak refrain, motyw krajobrazu alpejskiego widzianego spod morwy i przywiązanie się bezdomnego kotka stanowią już raczej kontrast zbyteczny w stosunku do przeżyć obozowych. Powstaje przez to dysonans, częstokroć nużący czytelnika. Sam przecież pobyt w obozie był już dostatecznym kontrastem, aby jeszcze raz go podkreślać. Rezultatem tego jest pewna dwoistość, rozbieżność stylu całości. Z jednej strony wrażenia skreślone lekko, o dużym ciężarze gatunkowym przeżyć i refleksyj, z drugiej zaś niewątpliwie piękne opisy przyrody alpejskiego podgórza Francji. Że różnice te nie kłócą się między sobą w sensie wartości literackiej, to tylko zasługa dużego talentu MORCINKA.

Nierówność formy jest, zdaniem naszym, wynikiem ogólnego stanu psychicznego autora. Trudno jest przyjść do równowagi po okresie tak ciężkim, jak pięcioletni pobyt w obozie koncentracyjnym. Im przeskok ten jest szybszy, tym większe pozostawia ślady.

Kilka lat spędzonych w podobnych warunkach muszą przecież wyrzucić pewien wpływ na całość psychiki człowieka. Poza tym dużą rolę gra tutaj czas, tj. moment przejścia z jednych warunków do drugich, oraz moment rozpoczęcia spisywania przeżyć i wrażeń. W tym wypadku (i nie tylko w tym, bo może się to odnosić do innych prac opartych o głębsze przeżycia), czas ten jest za krótki. Wrażenia jeszcze się nie ustąpiły, są zbyt świeże i rzecz można chaotyczne. Brak jest perspektywy, którą daje oddalenie się w czasie.

Zjawisko to spotykamy obecnie wszędzie, szczególnie zaś w literaturze anglosaskiej, która korzystając z ogólnego zastojów piśmiennictwa europejskiego, stara się swe braki nadgonić. Dotychczas nigdzie jeszcze nie ukazała się dobra powieść, czy opowiadanie wojenne. Istniejące obecnie, obojętnie czy angielskie, amerykańskie, francuskie, włoskie, rosyjskie czy polskie powieści wojenne, nie zasługują jeszcze na miano dzieł literackich. Są one tylko zwiastunami czegoś, co dopiero powstaje. Lecz powieść wojenna jeszcze się nie narodziła.

« *Listy spod morwy* » nie są jednak powieścią ani opowiadaniem wojennym. Każdy z listów (jest ich razem dwanaście) stanowi skończenie piękny szkic literacki, opowiadanie, czasem nawet nowelę, zależnie od stopnia « rozgrzania » się pracą. MORCINEK posługuje się stylem dziwnie kontrastującym z treścią przedmiotu opowiadania. Czytelnik lekko przesuwając się od opisu do opisu, nagle dopiero uświadamia sobie, że chodzi tu o największą w dziejach ludzkości tragedię człowieka. I tu może leży klucz do oceny arcyzmu opowiadania i talentu autora. To nie realista-ŻEROMSKI (« *Popioły* » — zdobycie Saragossy), ani malarz-SIENKIEWICZ (opisy bitew w « *Trylogii* »), to coś zupełnie odrębnego i swoistego. Być może, że talent MORCINKA rozwinie się teraz jeszcze więcej. Życzyć mu tego należy z całego serca.

Zbigniew J. Małecki.

« *Pologne 1919-1939* », vol. II, *Vie Economique*, Editions de la Baconnière, Neuchâtel 1945, str. 712.

Bogaty ten i interesujący tom, który ukazał się w sierpniu 1945 r. jako pierwszy z wielkiej encyklopedii opisowej o Polsce, zredagowanej w Szwajcarii z inicjatywy i pod dyrekcją p. JANA MODZELEWSKIEGO, b. min. R. P. w Bernie, zajmuje niewątpliwie jedno z czołowych miejsc w literaturze okresu wojennego poświęconej sprawom polskim. Daje on wyczerpujący przegląd zagadnień i osiągnięć gospodarczych Rzeczypospolitej Polskiej w okresie jej niepodległego bytu w latach 1919-1939.

Pierwsza część tomu zamyka w trzech rozdziałach obszerny opis podstawowych elementów gospodarstwa polskiego (ziemia, surowce, ludność), sumiennie zestawiony w oparciu o istniejące w Szwajcarii źródła naukowe, który sam w sobie przedstawia rzecz trwałą wartości dla każdego badacza stosunków polskich.

Druga część obejmuje nie mniej obszerne (czasami nawet za obszerne, w stosunku do wagi zagadnień) opisy poszczególnych działów gospodarstwa narodowego, a więc rolnictwa, przemysłu, handlu zagranicznego i wewnętrznego, inwestycji publicznych i finansów. W układzie materiału tej części zwraca uwagę pewne *novum* w porównaniu z dotychczas praktykowanymi schematami: jest nim wyodrębnienie w osobny rozdział zagadnień inwestycji publicznych (koleje żelazne, drogi lądowe, drogi wodne, porty i żegluga morska, komunikacja powietrzna, poczta, telegraf i telefon, elektryfikacja itp). Inowację tę należy uznać za bardzo celową, gdyż rozdział o inwestycjach łącznie z rozdziałem następnym o finansach daje doskonały pogląd na całość gospodarki publicznej w Polsce, podczas gdy działy poprzedzające (rolnictwo, przemysł, handel) odmalowują bardziej sytuację i rozwój gospodarki prywatnej. Sektor gospodarki publicznej w ogólnym majątku narodowym Polski zajmował wprawdzie

nie wiele więcej miejsca niż np. w Niemczech lub w krajach Zachodu Europy (ca 40 %), nie mniej jednak jego waga, przy znacznie niższym dochodzie społecznym i olbrzymich zaniedbaniach inwestycyjnych jako spuściznie okresu wiekowej niewoli, była w Polsce olbrzymia; stąd też wyodrębnienie tego sektora i poświęcenie mu około $\frac{1}{3}$ całości wydawnictwa jest nie tylko interesującą inowacją lecz również słusznym stwierdzeniem znaczenia tego sektora w rzeczywistości polskiej.

Szczęśliwą myśl miała również redakcja, dzieląc cały materiał — w innym przekroju — na artykuły opisowo-informacyjne, poprzedzone w każdym dziale artykułami syntetyczno-politycznymi, dającymi zwarty obraz rozwoju zagadnień danego działu od momentu startu Niepodległego Państwa Polskiego do wybuchu wielkiej wojny 1939. Tak więc, obok poprzedzającego całe wydawnictwo syntetycznego artykułu DR A. ROSEGO, mamy syntetyczny wykład wytycznych polskiej polityki agrarnej na wstępie działu rolniczego (DR S. MANDECKI), dalej polityki handlowej (DR A. ROSE), polityki przemysłowej (DR A. ROSE), polityki inwestycji publicznych (DR J. RAKOWSKI) i polityki finansowej (DR J. RAKOWSKI). Czytelnik, którego interesuje ogólny obraz położenia i rozwoju gospodarstwa polskiego, może przeczytać tylko artykuły syntetyczne, aby być w tym obrazie dostatecznie zorientowanym. Chce on być poinformowany dokładniej o jakimś zagadnieniu — wówczas sięgnąć może do jednego z 46 artykułów opisowych.

36 autorów, 712 stron druku, 56 artykułów, zaopatrzonych 48 mapami i wykresami, olbrzymia ilość zestawień statystycznych i bogata literatura, cytowana przy każdym artykule — dają w sumie obraz olbrzymiej pracy, wykonanej w bardzo trudnych warunkach, gdyż poza krajem, w oparciu o źródła możliwe do uzyskania na terenie Szwajcarii, które na szczęście okazały się dość obfite. Oczywiście, w tych warunkach, zarówno ze względu na niemożność pozyskania we wszystkich działach najlepszych fachowców, jacy istnieją w Polsce, jak i ze względu na braki w źródłach — poziom artykułów opisowych nie jest równy. Nie mniej Dyrekcji Wydawnictwa udało się pozyskać autorów dobrze zorientowanych w polskim życiu gospodarczym i stworzyć, jak powiedzieliśmy, dzieło o interesującej i trwałej wartości.

Szata zewnętrzna ładna (szkoda tylko, że okładka zbyt słaba do grubości tomu), układ materiału przejrzysty, redakcja i korekta staranna. Czekamy z niecierpliwością na tom I (*Życie polityczne*) i tom III (*Życie kulturalne i społeczne*).

j. r.

LADISLAS REYMONT : *Par une nuit d'automne*, et autres contes traduits du polonais par FRANCK-LOUIS SCHOELL, Librairie de l'Université, Fribourg 1944, str. 112.

CASIMIR TETMAJER : *Marysia la Lointaine*, et autres contes traduits du polonais par FRANCK-LOUIS SCHOELL, wyd. j. w., str. 179.

Dział tłumaczeń utworów literatury polskiej na język francuski wzbogacił się niedawno o dwie pozycje, które skutecznie przyczynić się mogą do lepszego zapoznania się zagranicą z naszym dorobkiem literackim. Są to dwa tomiki poświęcone REYMONTOWI i TETMAJEROWI. Tłumaczem zaś jest prof. FRANCK-LOUIS SCHOELL, który już dał się poprzednio poznać jak najzaszczytniej z tłumaczeń innych utworów literatury polskiej, przede wszystkim « *Chłopów* » REYMONTA. W tomiku obecnie wydanym pt. « *Par une nuit d'automne* » złączył on cztery nowele tego autora, które treścią wiążą się właśnie z tą epopeją ludową, bo dotyczą wszystkie środowiska wiejskiego. Przyswoić czytelnikowi zagranicznemu utwory tak odrębne duchem i formą jak REYMONTA, znaleźć słownictwo odpowiednie polskiej gwarze chłopskiej — o to mógł pokusić się tylko

tłumacz tej miary co prof. SCHOELL. I istotnie zadaniu temu sprostał po mistrzowsku. Czytając nowele REYMONTA w jego tłumaczeniu, czytelnik czuje się od razu przeniesiony w świat polski i zapomina, że tekst jest pisany w języku obcym, tam nawet gdzie tenże najmniej do tego się nadaje. W nowej szacie, nie tracąc nic ze swych cech wybitnie polskich, tekst odznacza się znaną francuską precyzją i jasnością.

Zalety stylu znakomitego tłumacza jeszcze bardziej występują w drugim tomiku prof. SCHOELLA. Przetłumaczyć na język francuski trzy opowiadania wchodzące w cykl tetmajerowski « *Na Skalnym Podhalu* », jest przedsięwzięciem śmiałym. Wszak czytelnik polski sam dobrze wczytać się musi w tekst poety tatrzańskiego, by należycie w treść jego wniknąć, a TETMAJER uznał nawet za stosowne dołączyć « objaśnienia niektórych częstszych wyrazów », aby ułatwić lekturę. Znaleźć odpowiedniki do wyrażeń nieraz przeciętnemu czytelnikowi polskiemu obcych w bogatym słownictwie REYMONTA i TETMAJERA mógł tylko tłumacz rozporządzający równie bogatym własnym słownictwem. I tego dokazał też prof. SCHOELL. I za te nowe tłumaczenia, odznaczające się tak świetnymi walorami, należy mu się uznanie i podziękowanie.

Pewne zastrzeżenia budzić może wybór nowel w obu zbiorach. Niektóre z nich wywołać mogą u czytelnika obcego sąd raczej niekorzystny o stosunkach panujących wśród ludu polskiego; pewne objawy życia wiejskiego w Polsce, przedstawione z właściwym obu naszym wielkim pisarzom realizmem, dać mogą obraz jednostronny, w którym brak jaśniejszych stron życia naszego ludu. Wychodzi to jednak poza ramy literackiej oceny, która wypaść musi jak najpochlebniej.

A. Z.

WACŁAW SOLSKI : *Pociąg odchodzi o północy*, Londyn 1945.

Do nielicznych jeszcze utworów literackich, pisanych na tle długoletnich walk, jakie społeczeństwo polskie w kraju toczyło z niemieckim okupantem, przybyła książka W. SOLSKIEGO pt. « *Pociąg odchodzi o północy* ». Czyta się ją z ogromnym napięciem, jednym tchem. Nazwana przez autora powieścią — nie jest nią w rozumieniu norm literackich, właściwych dla tego odłamu twórczości. Można ją raczej określić mianem sensacyjno-kryminalnego romansu — gdyby nie to, że ludzie i sprawy, stanowiące sprężynę wartko toczącej się akcji, nie mają nic wspólnego ze światem zbrodniarzy, aferzystów i gangsterów. Książka SOLSKIEGO wprowadza nas w podziemia świata konspiracyjnego, w którym ludzie działają z najszlachetniejszych pobudek patriotycznych. Na tym tle śledzimy przygody bohatera jej Wiktora, który jakiejś ciemnej nocy wyskakuje z angielskiego samolotu gdzieś w okolicach Słonimia, aby nieść konspiratorom fachową pomoc w walce przeciw okupantowi.

Ludzie SOLSKIEGO są zaledwie naszkicowani. Żyją, działają, ale nie ma w nich niczego skomplikowanego, co dyktowałoby czytelnikowi głębsze refleksje. Psychologiczna strona opowiadania SOLSKIEGO jest płytka, niewiele mówiąca. Tu i ówdzie tylko, gdzie sytuacja zmusza już poprostu autora do wniknięcia w głębsze pobudki działania jego bohaterów, ucieka się on jakby do wstydliwych niedomówień i skrótów, zupełnie niepotrzebnych. Szkoda wielka, bo ludzie ci nabraliby więcej życia, nie robiliby wrażenia automatów. Być może, że pośpiech podsunął autorowi ten rodzaj podejścia. Przemawia za tym fakt, że tu i ówdzie zdobywa się SOLSKI na napięcie dramatyczne, wynikające z udanego pokuszenia się o bardziej wnikliwą analizę psychologiczną.

Powieść SOLSKIEGO stanowi jeszcze jeden argument, umotywowany zresztą dosyć mocno i szeroko tradycją, że każde zjawisko literackie musi przejść swoją ewolucję, musi dojrzeć w świadomości jego autora — jeśli ma potem pretendować do nazwania go dziełem sztuki. Istotą tej ewolucji jest nietylko warunek przeżycia przez piszącego

pewnych doznań, ale także konieczność ich wewnętrznego przetrwania. Dopiero to ostatnie umożliwi odpowiednio uzdolnionemu autorowi wyrobienie sobie pewnej perspektywy artystycznej, w której ramach dojrzewają następnie poszczególne elementy utworu literackiego i otrzymują swoje, należne im stanowisko, oraz odpowiednią oprawę. Pisanie na gorąco, pod wrażeniem chwili, nie sprzyja nigdy powstawaniu utworów o nie przemijającej szybko wartości. Dlatego też powieść polska, a bodaj że i europejska, której treścią byłaby druga wojna światowa z jej specjalnymi reperkusjami społeczno-politycznymi, jeszcze się nie narodziła.

Zmagania wojenne posiadają już dzisiaj bogatą literaturę « powieściową ». Ale tak, jak ostatniej wojny światowej nie można zaliczyć tylko do wydarzeń militarnych, tak też ta powieść batalistyczna nie wyczerpuje ogromu przeżyć, jakie nagromadziły się w duszy człowieka dzisiejszego. Wojna totalna nie oszczędziła nikogo i zmieniła wartości różnych przeżyć. Podzieliła wprawdzie tradycyjnie ludzkość na dwa typy : człowieka-żołnierza i człowieka cywilnego. Stosunek jednak ich obu do siebie, ich « przedmiotowość literacka », uległy zasadniczemu przewartościowaniu. Człowiek cywilny ze swoją bogatą skalą przeżyć, wyniesionych w czasie bombardowań miast, zdobytych w obozach koncentracyjnych, uzbieranych w okresie wędrówek z miejsca na miejsce, stał się w tej wojnie człowiekiem cierpiącym. Człowiek-żołnierz, opiewany przez poezję wojenną, przez batalistyczną nowelistykę, wtłoczony został tym razem w ciasne ściany czołgu czy samolotu i zatracił cechy dawnego bohaterstwa, podziwianego przez mieszkańców spokojnego *Hinterlandu*. Technika wojennych zmagania, bazująca na materialnym i mechanicznym uzyskaniu przewagi nad przeciwnikiem, zepchnęła go do skromnej roli obsługującego maszynę, ograniczyła jego wysiłek wojenny do ściśle określonych funkcji mózgowych, wymagających nie tyle sprawności fizyczno-duchowej, ile raczej dobrej konstrukcji nerwowej.

Jeśli zestawimy obok siebie robotnika fabryki, pracującego i odpoczywającego w ogniu nalotów nieprzyjacielskich samolotów, jeśli porównamy wędrówki człowieka zesłanego na przymusowe roboty, skazanego na obozy koncentracyjne i poddanego tam najwymyślniejszym torturom, z wyczynami komandosów, przeżyciami lotników i marynarzy — trudno będzie doprawdy przeważyć szalę oceny wielkości doznań obu tych typów ludzi. Nie będzie również paradoksem, jeśli uprzytomnimy sobie, że pojęcie bohaterstwa ma tylko wówczas sens istnienia, jeżeli znajduje dla siebie odpowiedni oddźwięk podziwu. Tymczasem totalizm niedawnej wojny wciągnął w swój wir wszystkich ludzi w Europie bez względu na płeć i wiek. Dostarczył on, czy narzucił, « cywilowi » tak mocnych przeżyć i wstrząsów, że nie znajduje się w nim już miejsca na kontemplację wyczynów wojennych żołnierza.

Są to przykłady i argumenty, rzucające się najbardziej w oczy. Bardziej wnikliwa analiza wkładu wojennego obu tych typów, biorących na swój sposób udział w wojnie totalnej, doprowadziłaby niewątpliwie do daleko głębszych motywów, uzasadniających zrównanie się cywila z żołnierzem, a może nawet oddających pierwszeństwo w bohaters-twie wysiłku wojennego pierwszemu. Literatura europejska stoi jednak przed jeszcze innym problemem, zasłaniającym urok « batalizmu » ostatniej wojny światowej. Jest nim ogromne nagromadzenie się ideowego potencjału, który w działaniach wojennych nie znalazł swego rozwiązania. Potencjał ten daje się wyczuć w każdej dziedzinie powojennego, współczesnego życia. Nad horyzontem Europy, a właściwie całego świata, wiszą ciężkie chmury. Odnosi się wrażenie, że стоимy właściwie u progu rozproszania tego potencjału, że ten ogromny upust krwi, jaki przeznaczenie zaaplikowało organizmowi świata, nie przyczynił się bynajmniej do zażegnania choroby. Konferencje polityków, mające wnieść w dotychczasowy chaos jakiś porządek i ład, obracają się w błędnym kole sprzeczności i ideowych niekonsekwencji. Najjaskrawsze przykłady powyższego

znajdziemy, jeśli uprzytomnimy sobie ewolucję sprawy powojennego państwa polskiego, jeśli rozważyć zaczniemy położenie wielu innych narodowości. Głodu i tęsknoty za moralnością socjalno-polityczną nie zaspokoją dyskusje, w których dominuje argument lepiej uzbrojonej pięści. Od niego bowiem zaczął HITLER. Wyjścia z tej sytuacji szukać musi także literatura powojenna. Otwierają się dla niej szerokie perspektywy, czekają na nią ważne problemy. Wyładować się w niej musi ów potencjał idei, zrodzony w okresie poprzedzającym śmiertelne zmagania, a dojrzewający gwałtownie w ciągu długich lat wojny. W nawale tych zagadnień nie starczy chyba miejsca dla zachwycania się człowiekiem-żołnierzem. Zastania go bowiem człowiek cierpiący, tęskniący za pokojem, który warunkuje jego szczęście i normalny pochód ku lepszemu jutru.

E. Lukas.

DR JAN ŚWIDA : *L'entretien de la mère de l'enfant par le père de celui-ci en dehors de l'article 160, al. 2 du CCS*, Imprimerie St-Paul, Fribourg 1945, str. 103.

W rozprawie tej, która posłużyła wydziałowi prawa Uniwersytetu Fryburskiego za podstawę habilitacji autora na docenta uniwersytetu, stara się dr ŚWIDA wypełnić lukę istniejącą w systemie obowiązującego obecnie szwajcarskiego prawa rodzinnego. W pierwszym rzędzie wykazuje autor istnienie tej luki dla przypadków, które poza przepisami art. 317 i 160 k. c. szwajcarskiego uzasadniają niewątpliwie obowiązek alimentowania matki dziecka. Czyniąc zadość wymogom systematyki, która rozwiązana została bez zarzutu, dzieli autor swą pracę na dwie części. W pierwszej przedstawione zostały warunki, w których matka nie znajdując ochrony prawnej w przepisach pozytywnych, nabywa to roszczenie do utrzymania w drodze analogii opartej na pokrewnych rozwiązaniach przewidzianych przez ustawodawcę, a zwłaszcza z interpretacji ducha ustawy. Druga część pracy poświęcona jest przedmiotowi prawa do utrzymania, a w szczególności jego granicy materialnej oraz czasowej.

Mimo iż temat pracy obraca się w ramach na ogół dość wąskich, pozwolił on autorowi zabłysnąć rzadko spotykaną wiedzą prawniczą, połączoną z dużą wnikliwością. DR ŚWIDA nie ograniczył się tylko do praktycznego rozwiązania problemu, ale wszedł w rozwiązania teoretyczne daleko wychodzące poza ramy pracy. Podkreślił przez to raz jeszcze głębokie, naukowe podejście do określonego sobie zadania, odpowiadające zawsze aktualnej maksymie, że ten kto jakąś gałąź wiedzy chce naprawdę traktować w sposób naukowy, nie powinien ograniczać się do praktycznych wyników, lecz dążyć do wszechstronnego oświetlenia problemu, nie przechodząc nad niczym do porządku, nie przecozając żadnego szczegółu, który posłużyć może wykryciu obiektywnej prawdy naukowej. Podkreślić należy, iż rzadko bardzo praca z zakresu prawa cywilnego jakiegoś państwa napisana przez obcokrajowca spotyka się z takim uznaniem i zainteresowaniem z jakim praca dra ŚWIDY przyjęta została przez koła prawnicze szwajcarskie.

Dr E. Hoffmann.

ADAM VETULANI : *Bibliographie des études scientifiques publiées en Suisse par les internés militaires polonais*, Extrait du Recueil de travaux scientifiques des Polonais internés en Suisse, vol. II, 1, 1944, Imprimerie Effingerhoff S. A., Brougg 1944, str. 13 + 3 nlb.

Bibliografia powyższa poprzedzona jest krótkim wstępem obrazującym okoliczności w jakich internowani zostali w Szwajcarii w lecie r. 1940 żołnierze polscy 2 Dywizji Strzelców Pieszych oraz zarys historii obozów uniwersyteckich, które zostały zorganizowane

wane dla internowanych studentów-żołnierzy. Prof. VETULANI podzielił bibliografię na trzy części. Część pierwsza obejmuje rozprawy i artykuły ogłoszone w językach francuskim, niemieckim i angielskim i to zarówno prace ogłoszone samodzielnie i odrębnie, jak i artykuły w naukowych i fachowych czasopismach szwajcarskich. Ponadto są tu również wymienione prace opublikowane w wydawnictwie specjalnym pt. « *Zbiór prac naukowych Polaków internowanych w Szwajcarii* », którego tom I-szy ukazał się w roku 1943 i II-gi w roku 1944. Ta część bibliografii zawiera 80 pozycji już wydrukowanych i 7 będących w druku w czasie opracowywania bibliografii. Część druga obejmuje wydane przez YMCA drukiem podręczniki dla użytku polskich szkół powszechnych i zawodowych, zorganizowanych w obozach internowania w Szwajcarii. Dział ten obejmuje 19 pozycji wydrukowanych podręczników i 2 będących w druku. Część trzecia zawiera spis alfabetyczny autorów.

Bibliografia jest cennym przyczynkiem przede wszystkim do dziejów tej jedynej w swoim rodzaju emigracji wojennej polskiej i obrazuje jeden z fragmentów nieustannego wysiłku naszego narodu w dziedzinie nauki i kultury. Wymienione w niej prace stanowią niewątpliwie bardzo bogaty dorobek naukowy w najrozmaitszych dziedzinach wiedzy i są przyczynkiem nie tylko dla nauki polskiej ale i dla nauki szwajcarskiej. Jest ona — obok cyfry dyplomów uzyskanych na wyższych uczelniach szwajcarskich — dowodem, że młoda inteligencja polska, którą zmienne koleje wojny rzuciły do Szwajcarii nie zmarnowała okresu przymusowej bezczynności internowania.

Dr Aleksander Meleń.

FRANZ WERFEL : *Jacobovsky und der Oberst* — Komödie einer Tragödie, Bermann-Fischer Verlag, Stockholm 1944, str. 129 + 3 nlb.

Tragikomedia WERFLA, autora znanej « *Pieśni o Bernadecie* », jest ciekawym utworem scenicznym. Sztuka ta cieszyła się podobno wielkim powodzeniem w Ameryce i przez dłuższy czas nie schodziła ze sceny nowojorskiej. Wystawiły ją również na początku zeszłego roku teatry szwajcarskie. Zurychska i berneńska krytyka teatralna nie poskąpiły jej pochwał i uznania. Trzeba przyznać, że zasługuje ona na głębszą uwagę. Jest dobrze zrobiona i na zręcznie zmontowanej platformie daje nam przekrój ludzi i spraw u zarania ostatniej wojny światowej. Autor pokazuje nam społeczeństwo francuskie w przełomowych chwilach 1940 roku, kiedy to zwycięskie armie HITLERA przejeżdżają w błyskawicznym tempie przez Francję.

Tego rodzaju przekroje sceniczne wielkich wydarzeń historycznych wymagają bardzo głębokiego i subtelного przemyślenia, ponieważ stanowią one *sui generis* reasumpcję najrozmaitszych momentów i muszą odpowiedzieć na różne pytania, jakie cisną się na usta czytelnikowi, czy widzowi. Nie będziemy w tym przekroju doszukiwali się zbytniego realizmu historycznego. Wymagamy natomiast odeń pewnej prawdy w podejściu do tak doniosłego wydarzenia dziejowego. Musi ona być widoczna w tych olbrzymich skrótach, mających wytłumaczyć całą skomplikowość zjawiska, które np. w historiografii wypełni sobą liczne tomy studiów i rozważań. Autor takiego utworu scenicznego kieruje się przede wszystkim intuicją poetycką, która musi mu pokazać najbardziej istotne współczynniki tego wydarzenia i podyktować równomierne ich naświetlenie z tego czy innego punktu widzenia. Dlatego perspektywa czasu, w której ramach spełnić można te postulaty, wydaje mi się zwłaszcza w tym wypadku czymś nieodzownym do osiągnięcia obiektywizmu epickiego, który tutaj obowiązuje poetę. Nie wolno mu bowiem być subiektywnym, a jeśli — to tylko w pewnym sensie doboru wyrazu artystycznego.

WERFEL wyprzedza w swej sztuce historiografię. Nie czekając na spełnienie się

wielkiej katastrofy dziejowej, rzuca się niecierpliwie na ocenę jej przyczyn. Jego nerwowa intuicja dyktuje mu nawet rezultaty tej katastrofy w formie wniosków, które podsuwa swojemu czytelnikowi-widzowi. I to właśnie razi w jego sztuce, nadając jej zły posmak pewnej sensacji, obniżając niewątpliwe wartości artystyczne utworu do poziomu demagogicznej sofisterei. Autor nazywa swoją sztukę tragikomedią i pokazuje nam w niej różne typy ludzi, obarczonych nawykami i sposobem myślenia, do jakich wdrożyły ich warunki życia między zakończeniem jednej a wybuchem drugiej wojny światowej. Są to niezaradne dzieci, wplątane wyrokami losu w przełomowe wydarzenia. W tłumie symbolicznych postaci, reprezentujących różne warstwy narodu francuskiego i jego wady społeczne, wyróżniają się postacie Żyda Jakóbowskiego i pułkownika armii polskiej Szczerbińskiego. Wiążą one luźne sceny sztuki w kompozycyjną całość.

Jakóbowski jest typem emigranta politycznego. Prześladowany przez hitleryzm zmienia w szybkim tempie miejsca pobytu w różnych krajach Europy. Ongiś finansista i mecenas życia artystycznego w Niemczech przedhitlerowskich — stacza się do poziomu zaszczytowanego zwierzęcia. Mimo wszystko umie jednak zachować osobisty wdzięk, którym podbija dla siebie serca przygodnego otoczenia. Na skutek gorzkich doświadczeń, zdobytych w licznych wędrowniach, staje się ciekawym typem filozofa-stoika. Długoletnie cierpienia podsuwają mu w każdej chwili tak ogólnoludzkie rozwiązania nawet najbardziej błahych sytuacji codziennych, że postać jego urasta w sztuce do rozmiarów nadczłowieka, świętego.

Nie waha się WERFEL dla lepszego uwypuklenia tej właśnie cechy Jakóbowskiego przed użyciem bardzo mocnego efektu symbolicznego. W przelotnej scenie ukazuje nam św. FRANCISZKA z ASSYZU, uciekającego przed nawałnicą niemiecką na tandemie w towarzystwie Żyda *Wiecznego Tułacza*. W kilku zdaniach dialogu chwytny od razu tendencję symbolizmu tej sceny. Oto najlepsze tradycje kultury i moralności chrześcijańskiej ratuje od zagłady, grożącej jej ze strony neopoganizmu hitlerowsko-faszystowskiego, doświadczenie wiecznego tułacza. Św. Franciszek, zastrachany niedołężny staruszek, przygarnięty litościwie przez starego wyjadacza wszystkich zakątków ziemskich. Co chce przez to autor powiedzieć? Czy ma być ta scena krytyką zasad kultury europejskiej, która w swej bezradności nie umiała zdobyć się zawczasu na stłumienie reakcji, zagrożającej jej istnieniu? Sztuka WERFLA osiąga tutaj swoją najwyższą platformę ideową, na której autor potrąca niebacznie o zagadnienie niesłuchanie zasadnicze i skomplikowane. Takiej swobody artystycznej, a raczej powiedzmy nonszalancji, nie można już zrozumieć — jeśli nawet podejździe się do sztuki z najbardziej liberalnym nastawieniem. Podkreślam, że nie chodzi tu bynajmniej o jakieś tabu. Tak jednak skracany symbolizm zmienia się w aforystyczną sofisterei, wyrokującą w kilku zdaniach o czymś, co przewija się przez dwa tysiące lat dziejów kultury chrześcijańskiej Europy.

Ten passus tragikomedii stanowczo nie udał się WERFLOWI.

Kontrastem nadczłowieka Jakóbowskiego jest wspomniany już wyżej Szczerbiński. Reprezentant armii polskiej, symbol wad... i nielicznych zalet, właściwych naszej tradycji narodowej, wyposażony w mocno zużyte rekwizyty pojęciowe. Autor nie zapomniał nawet dodać mu do boku wiernego ordynansa-totumfackiego Szabuniewicza, który oczywiście stanowi prywatną własność feudalnego pana polskiego i bez protestu godzi się na to, aby np. być przedmiotem podarunku, jaki swej bogdance składa rycerski wielbiciel. Nie będę na tym miejscu bronił płk. Szczerbińskiego, który w tragikomedii WERFLA jest lekkomyślnym pustakiem, poszukiwaczem tanich przygód miłosnych, człowiekiem kierującym się różnymi chwilowymi zachciankami. Do nielicznych jego pseudozalet należy brawurowa odwaga i szlachetność — aczkolwiek tej ostatniej trzeba się domyślać, bo aż tak niezręcznie została przez autora w ostatnich scenach naszkicowana. Ważniejszym jest to, że WERFEL sili się na ogólne uwagi o Polsce, że

ocenia w sposób mocno krzywdzący wypadki września 1939 roku, że pozwala sobie na nieprzemyślane wycieczki pod adresem polskiej polityki zagranicznej itp.

To jest drugie niedociągnięcie tragikomedii WERFLA. Bardzo poważne — nawet z punktu widzenia oceny jego sztuki ze stanowiska czysto estetycznego. Autor bowiem zniża się do poziomu przeciętnego pamflicyisty, nie przebijającego w tanich efektach demagogicznych. Pomijając już zamiary jego, dla których ocena polskości w jej różnych przejawach wypadła tak bardzo niesprawiedliwie — sama postać Szczerbińskiego w swoim założeniu artystycznym stanowi w sztuce dysonans. A szkoda, bo mogła ta tragikomedja stać się ciekawym dokumentem dramatycznych czasów, które przeżywalimy jeszcze tak niedawno. Nie ratuje jej ani filozofia nadczłowieka Jakubowskiego, ani końcówki sceny, w których skruszony szlachetnością swego współzawodnika płk. Szczerbiński zdobywa się na kilka sytuacyjnych gestów.

Z punktu widzenia polskiej sztuka WERFLA — zważywszy jej popularność — wyrządziła nam ogromną krzywdę. Przemówiła bowiem ze sceny niesprawiedliwymi argumentami, które ośmieszają sens naszego wystąpienia i oporu przeciw zakusom niemieckiego imperializmu.

E. Lukas.

LESŁAW WIERCZYŃSKI : *Le parti politique et l'élection proportionnelle dans la loi du 28 juillet 1922 concernant les élections à la Diète Polonaise*, thèse présentée à la Faculté de droit de l'Université de Fribourg pour l'obtention du grade de docteur en droit, Imprimerie St-Paul, Fribourg 1945, str. 2 nlb. + 106.

Praca wyczerpująca i niezwykle aktualna. Nietylko aktualna z tego powodu, iż podobno w Polsce mają się odbyć wolne wybory do Izb Ustawodawczych na podstawach właśnie wyłuszczonej w pracy, ale również ze względu na rozwój nowych tendencji ustrojowych jakie zaczynają nurtować społeczeństwa w okresie zbrojnego armistice, w okresie mającym przynieść wreszcie upragniony pokój. Zagadnienie partii politycznej słabo opracowane w literaturze naukowej w ogólności, znalazło kilka doskonałych podkreśleń w omawianej pracy. Autor przedstawia jasno zagadnienie partii w demokracji indywidualnej, w demokracji reprezentacyjnej, parlamentarnej, wreszcie omawia w sposób zwięzły tym niemniej wyczerpujący zagadnienie tzw. państwa partyjnego « *Etat partitaire* » i rolę partii politycznej w tym systemie. Na marginesie zaznaczyć należy, że IV Republika Francuska staje się wybitnym typem *Etat partitaire*. Ograniczenie ilości partii politycznych, podniesienie ich ze zwykłych stowarzyszeń politycznych do godności organów państwowych jest dowodem, iż Francja zaczyna tworzyć nowy typ ustroju zresztą znany już w okresach poprzednich, ale który pierwszy raz w historii prawa politycznego nie będzie opierał się na fakcie, ale na prawnej, konstytucyjnej podstawie. Dobrze więc się stało, iż w omawianej pracy ten typ ustroju chociaż pokrótce został omówiony.

Definicja pojęcia partii politycznej w ujęciu autora zdaje się być trafna. Prawie cała literatura, definiując pojęcie partii politycznej ujmuje zjawisko partii politycznej z punktu widzenia raczej politycznego lub socjologicznego aniżeli prawnego. Czy to zacytujemy Barthélemy, Burchhardt'a, Le Fur'a, Römeris'a itd. zawsze spotkamy się z takim podejściem w zdefiniowaniu tego pojęcia. W omawianej pracy autor podchodzi do zagadnienia z punktu widzenia prawnego, uważając za partię polityczną ugrupowanie ludzi, którzy w ramach przepisów prawnych starają się wpłynąć na skład organów państwowych, a przez to na tworzenie się takiej, a nie innej woli państwowej. Przedstawivszy wyczerpująco zasady demokratycznego prawa wyborczego do ciał ustawodawczych przechodzi autor do zagadnienia najbardziej go frapującego : zastosowania zasady większości i proporcjonalności w prawie wyborczym. Jak zasada większości

jest powszechnie uznana w doktrynie i prawie pozytywnym jako wyraz prawdziwego ustroju demokratycznego i jego zasadnicza podstawa, tak zasada proporcjonalności, jakkolwiek przez większość praw pozytywnych w życie wprowadzona, w doktrynie ulega ostrej kontrowersji. Niektórzy autorzy odmawiają jej charakteru instytucji prawa publicznego. Autor nie wdając się w kontrowersję nauki przedstawia pokrótce zasadę proporcjonalności przewidzianą w szeregu praw wyborczych rozmaitych państw. Na przedstawieniu zasady proporcjonalności w prawie wyborczym kończy autor ogólną część swojej pracy, którą traktować można jako doskonały fundament do budowy konstrukcji prawniczej w części szczegółowej, odnoszącej się do zasady proporcjonalności w polskim prawie wyborczym z 28 lipca 1922.

Po zobrazowaniu zasady proporcjonalności w pozytywnym prawie polskim, poświęciwszy więcej uwagi listom kandydatów, przechodzi autor skolei do problemu partii politycznej w polskim prawie wyborczym. Zasada proporcjonalności wydaje się być autorowi bardzo słuszną, albowiem jest ona szczególnie wyrażeniem równości demokratycznej. Szkoda, że twierdzenie to słabo jest w pracy umotywowane. Natomiast bardzo słuszną jest uwaga autora, iż wprowadzając w życie zasadę proporcjonalności, prawo zmuszone było zgóry przewidzieć w ciele wyborców grupy o celach politycznych, tzn. partie. Pozostawiając w zasadzie partie polityczne poza nawiasem formalnych przepisów prawnych prawa wyborczego, prawo przyznało im rozległą sferę aktywności politycznej. Co więcej oparło praktycznie cały mechanizm wyborczy na hipotezie ich istnienia. Należy uważać za bardzo trafne twierdzenie, że ustawa z 22. VII. 1922 nie tylko godzi się z realnym istnieniem państwa partyjnego, ale potwierdza jego istnienie przez konstrukcję prawa wyborczego.

Dr Jerzy Gawenda.

Biblioteka Główna UMK



300048323216



HORYZONTY

miesięcznik poświęcony sprawom kultury.

Ilustrowane pismo polskie na emigracji — bezpartyjne i apolityczne.

ZAWIERA :

utwory literackie, poezje, artykuły z dziedziny nauki, sztuki, zagadnień religijnych, społecznych itp.

Współpracują w nim prócz autorów polskich autorzy obcy (w tłumaczeniach na język polski).

HORYZONTY

zawierają 40 stron druku oraz 8-16 artystycznych, całostronicowych ilustracji na kredowym papierze — prócz ilustracji w tekście.

Cena egzemplarza 1.20 Fr. szwaj.

Za granicą równowartość 1.50 Fr. szwaj.

Prenumerata w Szwajcarii : rocznie 12 Fr., półrocznie 7 Fr.

Prenumerata za granicą : rocznie 15 Fr., półrocznie 9 Fr.

BIBLIOTEKA HORYZONTÓW

W najbliższym czasie zaczną ukazywać się książki autorów polskich (przedruki i utwory dotychczas niepublikowane) w objętości około 180-200 stron druku, w cenie 4 Fr. szwaj. za egzempl. brosz., 4.50 Fr. szwaj. za egzempl. oprawny w płótno.

* * *

Poszukujemy współpracowników oraz sprzedawców w krajach europejskich i poza Europą.

Adres Redakcji i Administracji :

HORYZONTY, Fribourg (Suisse), Case post. 247.

Biblioteka Główna UMK



300048323216

Biblioteka Główna UMK



300048323216

